

**Hermann Hesse**

**Peter Camenzind**

*Przełożyła Edyta Sicińska*

## Rozdział 1

Na początku był mit. Jak od wieków wypowiadał się wielki twórca-Bóg w duszach Hindusów, Greków i Germanów, tak samo szuka co dzień od nowa wyrazu w duszy każdego dziecka.

Nie wiedziałem jeszcze, jak zwą się jeziora, góry i potoki moich stron rodzinnych. Ale widziałem rozpostartą w słońcu błękitno-zieloną, gładką toń jeziora, przetkaną drobnymi światełkami, a dokoła niej gęsty wieniec stromych gór. Wysoko, w ich szczelinach, dostrzegałem lśniące kliny śniegu i maleńkie wodospady, a u ich podnóża skośnie biegnące jasne łąki, drzewa owocowe, chaty i szare krowy alpejskie. A że moja biedna dusza, mała i cicha, trwała w wyczekiwaniu, duchy jeziora i gór wpisywały w nią, niby w białą, czystą dotąd kartę, swe piękne, śmiałe czyny. Skalne stoki i upłazy mówiły hardo i z czcią o czasach, których są synami i które wyrzyły na nich swoje stygmaty. Mówiły o czasach, kiedy ziemia pękała i falowała, w męce rodzenia wydając ze swego udręczonego łona turnie i granie. Skały parły z rykiem i łoskotem wzwyż, aby wystrzeliwszy bez celu, załamać się; bliźniacze góry w rozpaczliwej ciasnocie walczyły o miejsce, dopóki jedna z nich nie zwyciężyła i panosząc się, nie odepchnęła i nie zdruzgotała siostry. O owych czasach wciąż jeszcze świadczyły zaklinowane tu i ówdzie w wysokich rozpadlinach głazy, strącone i

pęknięte skały, a przy każdym topnieniu śniegów wody zwały olbrzymie bloki, miażdżąc je jak szkło albo wtlaczając potężnym pchnięciem głęboko w miękkie trawy łąk.

Te skaliste szczyty opowiadały zawsze o tym samym. I nietrudno było je zrozumieć, patrząc na ich urwiste ściany, wyszczerbione, popękane, pełne niezabliźnionych ran. Cierpiałymy okrutnie – mówiły – i jeszcze cierpimy. Ale mówiły to dumnie, surowo i zawzięcie, jak starzy, nieustępliwi wojownicy.

Tak jest, wojownicy. Widziałem, jak walczyły z wodą i wichrem podczas straszliwych nocy przedwiośnia, kiedy nieubłagany fen dał wokół starych szczytów, a wezbrane potoki ryły na zboczach nowe, bolesne rany. W ciągu takich nocy stały ponure, harde, bez tchu, zaciekle wparte korzeniami w grunt, przeciwstawiając wichurze spękane ściany i czoła, skupiając wszystkie siły w zawziętym przyczajeniu. A przy każdej nowej ranie wydawały groźny pomruk wściekłości i trwogi i poprzez szum najdalszych siklaw brzmiał gniewnym, urwanym tonem ich straszliwy jęk.

Widziałem hale, stoki i wypełnione ziemią szczeliny, pokryte kobiercem traw, kwiatów, paproci i mchów, którym stary język ludu ponadawał dziwne, pełne skojarzeń nazwy. Jako dzieci i wnuki gór żyły sobie barwne i niewinne, tam gdzie wyrosły. Dotykałem ich, przyglądałem się im, wchłaniałem ich zapach i uczyłem się ich nazw. Poważniej i głębiej poruszał mnie widok

drzew. Widziałem, jak każde z nich wie swoje osobne życie, tworzy odmienny kształt i koronę i rzuca odrębny cień. W swej samotnej walce wydawały się pokrewne górcom, gdyż wszystkie, zwłaszcza te wyżej stojące, musiały toczyć cichy, nieustępliwy bój o byt i rozrost – z wiatrem, pogodą i skałami. Dźwigając swe brzemie, każde drzewo musiało mocno uczeplić się podłożu i każde wskutek tego miało swój własny kształt i swoiste rany. Były tu sosny, które długo szarpane wichrami miały gałęzie tylko z jednej strony, były też i takie, których rudy pnie jak węże chyliły się nad skalnymi nawisami, tak że drzewo i skała, tuląc się do siebie, nawzajem się podtrzymywały. Patrzyły na mnie jak wojownicy i wzbudzały w moim sercu lęk i szacunek.

Mężczyźni nasi i kobiety podobni byli do nich: twardzi, surowo ciosani i małowówni, a najlepsi z nich mówili najmniej. Od nich nauczyłem się przyglądać ludziom jak drzewom lub skałom, zastanawiać się nad nimi oraz szanować ich nie mniej i kochać nie więcej od milczących sosen.

Nasza wioska Nimikon leży na trójkątnej, pochyłej płaszczyźnie nad jeziorem, wciśniętej między dwa występy górskie. Jedna droga prowadzi do pobliskiego klasztoru, druga do sąsiedniej miejscowości, odległej o cztery i pół godziny drogi; do pozostałych leżących nad jeziorem wiosek można się dostać jedynie wodą. Nasze drewniane domy zbudowane są w starodawnym stylu i nie mają określonego wieku. Prawie nigdy nie widuje się

nowych, a stare naprawia się stopniowo i zależnie od potrzeby – w tym roku sień, kiedy indziej kawał dachu; niejedną też belkę albo łąkę, która dawniej może należała do ściany izby, odnajduje się później jako krokiew na dachu. Jeśli zaś i do tego już nie jest zdatna, a mimo to jeszcze szkoda ją spalić, używa się jej następnym razem do wyłatania stajni lub szopy albo do naprawy zniszczonych drzwi. Podobnie ma się rzecz z mieszkańcami tych domów; każdy gra swoją rolę, dopóki może, potem, choć niechętnie, wstępuje w krąg istot nieużytecznych i w końcu znika w mroku, nie wywołując tym szczególnego wrażenia. Kto po długoletnim pobycie na obczyźnie wraca do nas, nie zastaje żadnych zmian poza tym, że kilka starych dachów odnowiono i kilka nowych się zestarzało; dawni starcy wprawdzie zniknęli, ale są już za to inni, którzy mieszkają w tych samych chatach, noszą te same nazwiska, pilnują takiej samej ciemnowłosej dziatwy, a twarzami i zachowaniem prawie nie różnią się od tych, którzy pomarli.

Naszej gminie brak było częstszego dopływu obcej krwi i nowego życia spoza wioski. Mieszkańcy, szczep wcale krzepki, są niemal wszyscy blisko spowinowaceni ze sobą i co najmniej trzy czwarte z nich nosi nazwisko Camenzind. Nazwisko to zapełnia stronicę ksiąg parafialnych i widnieje na cmentarnych krzyżach; pojawia się też na domach wymalowane farbą olejną albo z grubsza wyryte w drzewie; można je odczytać na wozach właściciela przedsiębiorstwa przewozowego, na wiadrach

stajennych i na łodziach. Również nad drzwiami mego ojca wymalowany był napis: „Ten dom wybudowali Jost i Franciszka Camenzind”, ale nie chodziło tu o ojca, lecz o jego dziadka, a mojego pradziadka; i gdyby mnie kiedyś przyszło umrzeć bezdzietnie, wiem, że znowu jakiś Camenzind zamieszka pod tym samym dachem, w starym gnieździe, o ile oczywiście przetrwa ono jeszcze do tego czasu.

Mimo pobożności żyli w społeczności naszej ludzie źli i dobrzy, arystokracja i pospólstwo, możni i ubodzy, a obok wielu mądrych żyła sobie też ucieszna gromadka narwańców, nie mówiąc już o kretynach. Było to małe odbicie wielkiego świata, jakie znajduje się wszędzie; a ponieważ wielcy i mali, spryciarze i durnie byli nierozdzielnie ze sobą spokrewnieni i spowinowaceni, surowa pycha i głupia lekkomyślność często ocierały się o siebie pod tym samym dachem, tak że dosyć było w naszym życiu miejsca na komizm i głębię tego, co ludzkie. Wiecznie natomiast padał na wszystko cień jakiegoś ukrywanego albo podświadomego przygnębia. Zależność od potęg przyrody i pełne trosk, pracowite życie wpoły z biegiem czasu naszemu i tak starzejącemu się już rodowi pewną skłonność do melancholii, która zresztą nie miała w sobie nic twórczego. To właśnie było powodem, że ludzie cieszyli się z tych kilku narwańców, którzy choć jeszcze dość spokojni i poważni, wnosili jednak trochę uciechy oraz okazji do śmiechu i kpinek. Gdy któryś z nich nowym figlem poruszył umysły,

zadowolone uśmiechy przemykały po zmarszczonych, ogorzałych obliczach synów Nimikonu, a do radości z samego figla dołączało się jeszcze jako subtelny faryzejski smaczek poczucie własnej wyższości, która aż mlaskała z rozkoszy, pewna, że jej nie grożą podobne omyłki i potknięcia. Do tych licznych, którzy stali pośrodku między sprawiedliwymi i grzesznikami, a chętnie uczestniczyliby w przyjemnościach jednych i drugich, należał także mój ojciec. Nie było takiego błazeńskiego figla, który nie napełniłby go rozkosznym niepokojem; wówczas wahał się sam pocieszenie między pełnym zainteresowaniem podziwem dla sprawcy i błogą świadomością własnej nieskazitelności.

Do narwańców zaś należał mój wuj Konrad, choć pod względem rozumu bynajmniej nie ustępował ojcu i innym wsiowym znakomitościom. Był to raczej mądrała, trawiony niespokojnym duchem wynalazczym, jakiego mu inni śmiało mogli pozazdrościć. Ale po prawdzie nic mu się nie udawało. To, że zamiast spuścić nos na kwintę i wpaść w bierną melancholię, ciągle zabierał się do czegoś nowego, okazując przy tym wybitne poczucie tragikomizmu własnych poczynań, było niewątpliwie zaletą, ale poczytywano mu to za śmieszne dziwactwo i zaliczano go do bezpłatnych błaznów gminy. Stosunek mego ojca do niego wahał się stale między podziwem a pogardą. Każdy nowy projekt szwagra wywoływał u niego ogromną ciekawość i podniecenie, które bezskutecznie starał się ukryć za maskowanymi ironią

pytaniem i aluzjami. Gdy potem wuj, w przekonaniu, że sukces jest pewny, zaczął odgrywać rolę wielkiego człowieka, ojciec za każdym razem dawał się porwać i solidaryzował się z geniuszem w wyrachowanym braterstwie. Trwało to jednak tylko tak długo, dopóki nie nastąpiła nieunikniona klęska, którą wuj przyjmował ze wzruszeniem ramion, ojciec natomiast, rozgniewany, obrzucał go kpinami i obelgami, a potem nie odzywał się do niego przez całe miesiące.

Konradowi właśnie zawdzięczała nasza wioska, iż po raz pierwszy ujrzano żaglówkę – ofiarą przy tym padła łódka mego ojca. Żagiel i olinowania wykonał wuj starannie podług drzeworytów z kalendarza i ostatecznie może nie jego to wina, że nasza łódeczka była zbyt wąska, aby na niej żeglować. Przygotowania trwały wiele tygodni. Ojciec pod wpływem napięcia, nadziei i obawy stał się niespokojny jak żywe srebro, a cała wieś o niczym tyle nie rozprawiała, co o nowym projekcie Konrada Camenzinda. Był to pamiętny dla nas dzień, gdy w pewien wietrzny ranek późnym latem łódź miała po raz pierwszy wypłynąć na jezioro. Ojciec, w lękliwym przeczuciu możliwości katastrofy, trzymał się z daleka i również mnie, ku mojemu wielkiemu zmartwieniu, zabronił udziału w przejażdżce. Jedynie syn piekarza Fusli towarzyszył mistrzowi żeglugi. Tymczasem cała wieś zebrała się na naszym żwirowym placyku oraz w ogródku, przyglądając się niebywałemu widowisku. Rześki wiatr wschodni wiał w dół jeziora. Początkowo piekarczyk



musiał wiosłować, dopóki łódź porwana bryzą nie pomknęła z dumnie wyдутym żaglem. Z podziwem patrzyliśmy, jak znika za najbliższym występem gór, i wstydząc się naszych ironicznych wątpliwości, przygotowaliśmy się do powitania zmyślnego wuja po powrocie jako zwycięzcy. Ale kiedy łódź przybyła z powrotem nocą, nie miała już żagla, załoga była na wpół żywa, a syn piekarza powiedział kaszląc:

– Dużoście stracili. Mało brakowało, a mielibyście w niedzielę dwie stypy.

Ojciec musiał załatać czółno dwoma nowymi deskami i od tej pory błękitna tafla jeziora nigdy już nie odbijała żagla. Za Konradem, gdy się do czegoś spieszył, długi czas wołano: „Rozwiń żagiel, Konradzie!” Ojciec przeżuwał w sobie złość i długo jeszcze, spotykając biednego szwagra, odwracał oczy i spluwał siarczyście na znak bezbrzeżnej pogardy. Trwało to do czasu, dopóki Konrad nie zjawił się u niego z projektem ogniotrwałego pieca piekarskiego, który wynalazcę uczynił ogólnym pośmiewiskiem, a mego ojca kosztował całe cztery talary w gotówce. Biada temu, kto śmiał mu przypomnieć owe cztery talary! Kiedyś, gdy znowu bieda była w domu, matka wspomniała mimochodem, że jednak przydałyby się teraz te lekkomyślnie wyrzucone pieniądze. Ojciec poczerwieniał aż po szyję, ale pohamował się i rzekł tylko:

– Wolałbym być je przepić wszystkie w jedną niedzielę!  
Pod koniec zimy zawsze nadciąga fen. Z drzeniem i

trwogą słucha góral jego głębokiego poszumu, choć na obczyźnie tęskni za nim w trawiącej go nostalgii.

Gdy fen się zbliża, mężczyźni i kobiety, góry, zwierzyzna i bydło wyczuwają go wiele godzin naprzód. Jego przybycie, poprzedzane niemal zawsze chłodnymi wiatrami z przeciwnej strony, zapowiada ciepły, głęboki szum. Błękitno-zielone jezioro nagle staje się czarne jak atrament i stroi się raptownie w szybkie, białe grzywy. Wkrótce wody jego, przed chwilą jeszcze milczące i spokojne, uderzają wściekłą falą o brzegi, niczym morze. Jednocześnie cały krajobraz ścieśnia się trwożnie. Na szczytach, majaczących zazwyczaj w niedosiężnej dali, można teraz policzyć skały, a w wioskach, widocznych zwykle jako brunatne, odległe plamy, rozróżnia się dachy, facjatki i okna. Wszystko się przysuwa – góry, hale i domy – jak spłoszona trzoda. A potem zaczyna się gniewny szum, ziemia drży. Smagane wiatrem fale jeziora przelatują w powietrzu niby smugi dymu i bezustannie słysząc, zwłaszcza nocą, rozpaczliwą walkę wichru z górami. W niedługi czas potem wieść o zasypanych potokach, rozwalonych domach, rozbitych czólnach i zaginionych ojcach i braciach obiega wioski.

W dzieciństwie bałem się fenu, wprost nienawidziłem go. Ale wraz z budzeniem się chłopięcej dzikości pokochałem tego buntownika wiecznie młodego, tego zuchwałego bojownika i zwiastuna wiosny. To było takie wspaniałe, gdy pełen życia, impetu, nadziei rozpoczynał swą dziką walkę, pędząc, śmiejąc się i jęcząc, gdy z

wyciem gnał przez przełęcz, zżerał śnieg z gór i szorstkimi dłońmi gwał oporne, stare sosny, zmuszając je do westchnień. Później pogłębiłem moją miłość i witałem w fenie słodkie, urocze, przebogate Południe, z którego stale od nowa wytryskują strumienie błogości, ciepła i piękna, aby rozprysnąć się na górach i w końcu wykrwawić na płaskiej, chłodnej Północy. Nie ma nic dziwniejszego i wspanialszego od owej słodkiej gorączki halnego wiatru, która ogarnia wówczas mieszkańców gór, zwłaszcza kobiety, odbierając im sen i łagodnie drażniąc wszystkie zmysły. To Południe stale od nowa rzuca się płomiennie i burzliwie na pierś szorstkiej, biedniejszej Północy, zwiastując zaśnieżonym alpejskim wioskom, że teraz nad pobliskimi purpurowymi jeziorami Italii znowu kwitną prymule, narcyzy i drzewa migdałowe.

Gdy fen przemienie i spłyną ostatnie brudne lawiny, następuje najpiękniejszy okres. Wtedy zewsząd pną się w górę ukwiecone, żółtawe hale, ośnieżone szczyty i lodowce stoją czyste na swych błogich wyżynach, a jezioro nabiera ciepła i błękitu, odzwierciedlając słońce i pochód obłoków.

Wszystko to potrafi wypełnić dzieciństwo, a od biedy nawet całe życie. Wszystko bowiem mówi głośno i wyraźnie językiem Boga, językiem, jaki nigdy nie wyszedł z ust człowieka. Kto usłyszał go w dzieciństwie, ten będzie go słyszał przez całe swe życie, słodki, mocny i straszny, i nigdy się od niego nie wyzwoli. Ten, kto pochodzi z gór, może latami studiować filozofię albo

nauki przyrodnicze i wykreślać z myśli starego Pana Boga, ale gdy poczuje fen albo usłyszy lawinę grzmiącą lasem, serce zadrży mu w piersi i znów pomyśli o Bogu i o śmierci.

Do domku mojego ojca przylegał maleńki ogródek otoczony płotem. Rosła w nim jakaś gorzkawa sałata, buraki i kapusta, poza tym matka założyła w nim rozczulająco wąską, biedną rabatkę kwiatową, na której marniały beznadziejnie i nędznie dwa krzewy róż, krzaczek georginii i garstka rezedy. Do ogródka przytykał jeszcze mniejszy, żwirem wysypany placzyk, dochodzący aż do jeziora. Leżały tam dwie uszkodzone beczki, kilka desek i pali, a na dole w wodzie uwiązane było nasze czółno, które wówczas jeszcze co kilka lat łatano i smołowano. Dni, w które to się odbywało, utkwily mi mocno w pamięci. Bywały to ciepłe popołudnia na początku lata; w słońcu unosiły się nad ogródkiem siarkowożółte motyle, jezioro gładkie jak oliwa, błękitne i spokojne mieniło się lekko, szczyty omglone były rzadkim oparem, a na małym placyku woniało potężnie smołą i olejną farbą. Czółno pachniało też jeszcze przez całe lato smołą. Ilekroć w wiele lat później uderzyła mnie gdziekolwiek nad morzem owa woń – osobliwa mieszanina zapachu wody i odoru smoły – od razu zjawiał mi się w oczach nasz placzyk nad jeziorem i widziałem znowu ojca bez marynarki, z pędzlem w ręku, widziałem sine obłoczki unoszące się z jego fajki w ciche, ciepłe przestworza i niepewny, trwożliwy lot cytrynków.

W takie dni ojciec okazywał niezwykle dobry humor; wygwizdywał trele, co doskonale potrafił, i pozwalał sobie nawet czasem na krótkie jodłowanie, ale tylko półgłosem. Matka gotowała wówczas coś smakowitego na wieczernę i myślę dziś, że robiła to w skrytej nadziei, iż Camenzind nie pójdzie tego wieczoru do karczmy. A jednak szedł.

Nie mogę powiedzieć, aby rodzice jakoś szczególnie popierali lub hamowali rozwój mego młodocianego umysłu. Matka miała zawsze mnóstwo roboty, a ojciec zapewne niczym na świecie nie zajmował się tak mało jak problemami wychowawczymi. Miał dość mitręgi, aby z biedą utrzymać w porządku swoich kilka drzewek owocowych, uprawić poletko ziemniaków i dopilnować siana. Mniej więcej zaś co parę tygodni, zanim wyszedł wieczorem z domu, brał mnie za rękę i milcząco zniknął ze mną na stryszku nad stajnią. Tam odbywał się dziwny obrzęd kary i pokuty: dostawałem porcję kijów, przy czym ani ojciec, ani ja sam dokładnie nie wiedzieliśmy za co. Były to milczące ofiary na ołtarzu Nemezys i składano je bez łajania z jego strony czy wrzasków z mojej, jako daninę należną jakiejś tajemniczej potędze. Zawsze, ile razy zdarzyło mi się w późniejszych latach słyszeć o „ślepych” losie, przypominały mi się owe tajemnicze sceny. Wydawały mi się niezwykle plastycznym wyobrażeniem tego pojęcia. Mój poczciwy ojciec bezwiednie uprawiał wtedy ową prostą pedagogikę, którą samo życie zwykło wobec nas stosować, zsyłając na nas

od czasu do czasu grom z jasnego nieba, a nam pozostawiając dociekanie, jakimi grzechami właściwie ściągnęliśmy na siebie gniew wyższych potęg. Niestety nigdy nie oddawałem się takim dociekaniom albo też czyniłem to bardzo rzadko. Raczej przyjmowałem owe ratalnie wymierzane kary opornie lub spokojnie, ale bez należnego rachunku sumienia, ciesząc się zawsze w takie wieczory, że złożyłem swój haracz i czeka mnie znowu kilka tygodni spokoju.

Bardziej stanowczo przeciwstawiałem się próbom mojego staruszka mającym na celu zagnanie mnie do roboty. Niepojęta i rozrzutna natura złączyła we mnie dwa sprzeczne dary: niepospolitą siłę fizyczną i niestety nie mniejszy wstręt do pracy. Ojciec nie szczędził trudu, aby uczynić ze mnie użytecznego syna i pomocnika, ja zaś wykręcałem się wszelkimi sposobami od zadanych mi robót i jeszcze w gimnazjum dla żadnego ze starożytnych herosów nie żywiłem tyle współczucia, co dla Heraklesa, ponieważ zmuszano go do owych słynnych a obrzydłych prac. Na razie nie znałem nic piękniejszego nad beczynne wałęsanie się po górach i halach albo nad wodą.

Przyjaźniłem się z górami, jeziorem, wichrem i słońcem, mówiły one do mnie, wychowywały mnie i przez długi czas były mi milsze i bliższe od ludzi i ich losów. Moimi ulubienicami zaś, które przekładałem ponad lśniące jezioro, smutne sosny i słoneczne skały, były chmury.

Pokażcie mi na szerokim świecie człowieka, który by lepiej znał chmury i bardziej je kochał ode mnie! Albo pokażcie mi na świecie rzecz piękniejszą od chmur! Są one igraszką i pociechą dla oka, są błogosławieństwem i darem bożym, są też znakiem gniewu i potęgi śmierci. Są delikatne, miękkie i pełne pokoju jak dusze noworodków, są piękne, bogate i szczodre jak dobre anioły, a zarazem ciemne, nieubłagane i bezwzględne jak zwiastuny śmierci. Unoszą się srebrzyście cienką warstwą, żeglują roześmianą bielą o złotych krawędziach, toną, odpoczywając, w żółtych, czerwonych i sinych barwach. Skradają się posepnie i wolno jak mordercy, innym razem pędzą na łeb, na szyję, jak szaleni jeźdźcy, lub też wiszą smutne i marzące w bladych przestworzach jak melancholijni pustelnicy. Mają kształt szczęśliwych wysp i postać błogosławionych aniołów, podobne są groźnym rękom, wzdętym żaglom, ciągnącym żurawiom. Unoszą się między bożym niebem i biedną ziemią niby piękne odwzorowania wszelakich tęsknot ludzkich, przynależne do obu, sny ziemi, w których tuli ona swą splamioną duszę do czystych niebios. Są wiecznym symbolem wszelakich wędrówek, wszelakich poszukiwań, namiętności i powrotów. I tak jak one wiszą między ziemią a niebem trwożnie, tęsknie i hardo, tak dusze ludzkie zawisły trwożnie, tęsknie i hardo między czasem a wiecznością.

O, chmury, te piękne, unoszące się w dal, nieznużenie wędrujące chmury! Byłem nieświadomym dzieckiem i

kochałem je, przyglądałem się im, a nie wiedziałem, że również ja przejdę przez życie jak chmura – wędrując, wszędzie obcy, zawieszony między czasem i wiecznością. Od dzieciennych lat były mi drogimi przyjaciółkami i siostrami. Nie potrafię przejść przez ulicę, żebyśmy do siebie nie kiwnęli głowami, nie pozdrowili się i nie zatrzymali przez chwilę, zatopieni w sobie. Nie zapominałem również tego, czego się wówczas o nich nauczyłem: ich kształtów, barw, ich pochodów, gier, korowodów, tańców i spoczynków, i ich dziwnych, ziemsko-niebiańskich opowieści. Zwłaszcza opowieści o Królownie Śniegu. Sceną jej są niezbyt wysokie góry w porze przedzimowej przy ciepłym nizinym wietrze. Królowna Śniegu zjawia się z małą świtą, schodząc z ogromnej wysokości, i szuka sobie miejsca spoczynku w rozległych kotlinach górskich albo na jakiejś szerokiej kopie. Podstępny wiatr przygląda się zawistnie, jak nie przeczuwając niczego złego, królowna rozbija swój obóz. Skrada się pożądliwie pod górę i napada ją znienacka z wściekłym świstem. Rzuca na piękną królownę podarte, czarne strzępy chmur, urąga jej, ujada i chciałby ją przepędzić. Przez chwilę królowna objawia zaniepokojenie, czeka, znosi wszystko, po czym, potrząsając głową, wraca, niekiedy milcząca i ironiczna, na swe wyżyny. Czasami zaś gromadzi wokół siebie nagle wystraszone przyjaciółki, odstania olśniewająco królewskie oblicze i odsuwa kobolda chłodną dłonią. On waha się, wyje, ucieka, ona zaś układa się cicho, szeroko



osnuwając swą siedzibę bladą mgłą, a kiedy mgła opadnie, kotliny i szczyty jaśnieją świeżym, miękkim śniegiem.

W historyjce tej było coś bardzo szlachetnego, uduchowionego, jak triumf piękna – co zachwycało mnie i niczym radosna tajemnica wzruszało moje małe serce.

Wkrótce nadszedł też czas, że wolno mi było zbliżyć się do chmur, wejść między nie i niektóre z nich oglądać z góry. Miałem dziesięć lat, kiedy po raz pierwszy wspiałem się na szczyt, Sennalpstock, u którego podnóża leży nasza wioska Nimikon. Po raz pierwszy ujrzałem wtedy grozę i piękno gór. Głęboko rozdarte przepaście, pełne lodu i śniegowej wody, szklistozielone lodowce, posępne moreny, a nad wszystkim wysokie i okrągłe jak dzwon niebo. Gdy ktoś spędził dziesięć lat wepchnięty między góry a jezioro, przytłoczony bliskimi szczytami, nie zapomni dnia, w którym po raz pierwszy ujrzał ogromne, rozległe niebo, a przed sobą niezmierny horyzont. Już w czasie podejścia byłem zdumiony, że dobrze mi z dołu znane turnie i ściany skalne są tak przytłaczająco wielkie. Teraz, zupełnie oszołomiony widokiem, zobaczyłem nagle z przerażeniem i radością, jak naciera na mnie bezkresna dal. Więc świat był taki ogromny! Cała nasza wioska, zagubiona gdzieś w dole, wyglądała stąd jak mała, jasna plama. Szczyty, które z doliny wydawały się bliskimi sąsiadami, leżały oddalone od siebie o wiele godzin.

Wtedy ogarnęło mnie przecucie, że to, co dotychczas

widziałem, było jedynie przelotnym rzutem oka, a nie rzetelnym spojrzeniem na świat, i że mogły tam stać i walić się góry, i dziać wielkie rzeczy, o których nigdy najmniejsza nawet wzmianka nie dotarłaby do naszej zapadłej wioski. Jednocześnie zaś drżało coś we mnie niby wskazówka kompasu, potężnie i nieświadomie pracując ku owej wielkiej dali. Teraz dopiero w pełni zrozumiałem piękno i melancholię chmur, kiedy zobaczyłem, przez jaki nieskończony bezkres wędrują.

Moi dwaj dorośli towarzysze, odpoczywając przez chwilę na lodowato zimnym wierzchołku, chwalili moją dzielną wspinaczkę i śmiali się z mojej wprost nieprzytomnej radości. Ja zaś, ochłonawszy z pierwszego wielkiego zdumienia, jak byczek ryknąłem z uciechy i podniecenia w czyste przestworza. Była to moja pierwsza nieartykułowana pieśń na cześć piękna. Spodziewałem się grzmiącego echa, ale mój okrzyk przebrzmiał na cichych wysokościach bez śladu jak słaby gwizd ptaka. Zawstydzilem się bardzo i umilkłem.

Ten dzień przełamał jakieś lody w moim życiu. Teraz bowiem przeżycia następowały jedno po drugim. Zabierano mnie coraz częściej na wspinaczki, również i trudniejsze, a ja z dziwnie niespokojną rozkoszą wnikałem w głębie górskich tajemnic. Potem mianowano mnie pastuchem kóz. Na jednej z hal, gdzie zazwyczaj wypędzałem moje stado, znajdował się zasłonięty od wiatrów zakątek, zarośnięty kobaltową gencjaną i różową skalnicą. Było to najmiłsze dla mnie miejsce na świecie.

Wsi nie było stamtąd widać, a także jezioro migotało ponad skałami tylko wąskim, gładkim skrawkiem. Za to kwiaty pałały roześmianymi żywymi barwami, błękitne niebo leżało jak dach namiotu na ośnieżonych iglicach gór, a niedaleki wodospad dźwięczał bez ustanku do wtóru delikatnemu pobrękiwaniu dzwonków kóz. Tam wylegiwałem się w cieple, dziwiłem się białym obłokom i jodłowałem półgłosem, aż kozy, zauważywszy moje lenistwo, zaczynały sobie pozwalać na różne zakazane harce i figle. Toteż już w pierwszych tygodniach przykry zgrzyt zamącił mój raj Feaków, kiedy wraz ze zbłąkaną kozą spadłem do szczeliny. Kozą zabiła się, mnie bolał rozbity łeb, a na domiar wszystkiego dostałem okropnie w skórę. Uciekłem mojemu staremu i wśród zaklęć i biadań przyprawiono mnie z powrotem do domu.

Przygody te łatwo mogły być moimi pierwszymi i ostatnimi. Wówczas nie napisałbym tej książeczki i obeszłoby się bez niejednego trudu i niejednego głupstwa. Ożeniłbym się prawdopodobnie z jakąś kuzynką albo może leżałbym gdzieś zamarznięty w wodzie lodowca. Też nie najgorzej. Ale wszystko obróciło się inaczej i nie przystoi mi porównywać tego, co się stało, z tym, co się nie wydarzyło.

Ojciec mój od czasu do czasu spełniał jakieś drobne posługi w walsdorfskim klasztorze. Pewnego razu zachorował i kazał mi zawiadomić klasztor, że nie przyjdzie. Ja jednak nie zrobiłem tego, tylko pożyczyłem od sąsiada papier i pióro, napisałem grzeczny list do

braciszków zakonnych, dałem go kobiecie, która chodziła tam na posyłki, a sam wymknąłem się w góry.

W następnym tygodniu, wracając któregoś dnia do domu, patrzę, a tu siedzi sobie zakonnik i czeka na tego, kto napisał taki ładny list. Trochę się przeląknęłam, ale pochwalił mnie i próbował namówić mego starego, żeby mi pozwolił u niego się uczyć. Wuj Konrad był wówczas akurat znowu w łaskach i zasięgnięto jego rady. Naturalnie zapalił się od razu do projektu, że muszę się uczyć, a później studiować, aby zostać uczonym i panem. Ojciec dał się przekonać. Tak więc od tej pory również moja przyszłość należała do sfery niebezpiecznych projektów wuja, na równi z ogniotrwałym piecem piekarskim, żaglówką i wieloma innymi fantastycznymi wymysłami.

Zabraliśmy się od razu na dobre do nauki, zwłaszcza do nauki łaciny, historii biblijnej, botaniki i geografii. Wszystko to bardzo mnie bawiło i nigdy nie spodziewałem się, że ta cudzoziemszczyzna może mnie kiedyś pozbawić ojczyzny i pięknych lat młodości. Zresztą, nie sama tylko łacina o tym zadecydowała. Ojciec byłby ze mnie zrobił chłopca, choćbym nawet całe *Viri illustres* umiał na pamięć. Ale mądry ten człowiek przejrzał do głębi mój charakter, którego istotą i kardynalną wadą było nieprzewyciężone lenistwo. Uciekałem od roboty, kiedy tylko się dało, i zamiast pracować, uganiałem po górach, wałęsałem się nad jeziorem albo zaszywałem się gdzieś na hali, czytając,

marząc i zbijając baki. Wiedząc o tym, puścił mnie w końcu z domu.

Tu nadarza się sposobność, aby powiedzieć parę słów o moich rodzicach. Matka była ongiś ładna, ale jedynym śladem tego pozostała krzepka, prosta budowa i urocze, ciemne oczy. Była wysoka, niezwykle silna, pracowita i cicha. Chociaż miała przynajmniej tyle rozumu co ojciec, a siłą fizyczną górowała nad nim, nie rządziła w domu, lecz pozostawiała ster mężowi. On był wzrostu średniego, miał cienkie, niemal delikatne ręce i nogi, a głowę pełną uporczywości i chytrości. Twarz o jasnej cerze pokrywały drobne, niezmiernie ruchliwe zmarszczki. Wśród nich zaznaczała się krótka, pionowa bruzda na czole. Ciemniała, ilekroć ruszał brwiami, i nadawała mu zgryźliwie cierpiętniczy wygląd; zdawało się wówczas, że próbuje sobie coś ogromnie ważnego przypomnieć, sam nie mając przy tym najmniejszej nadziei, że mu się to kiedykolwiek uda. Można było dostrzec w nim pewną melancholię, ale nikt na to nie zważał, ponieważ wszystkich mieszkańców naszej okolicy cechuje stały, lekki smutek, wywołany długimi zimami, niebezpieczeństwami, mozolnym przebijaniem się przez życie i odosobnieniem od reszty świata.

Po obojgu rodzicach odziedziczyłem istotne cechy mego charakteru. Po matce skromną mądrość życiową, sporą ufność w Boga i ciche, małomówne usposobienie. Po ojcu zaś strach przed ostatecznymi decyzjami, brak talentu do gospodarzenia pieniędzmi i umiejętność

popijania dużo i z rozwagą. Ale ta ostatnia cecha nie zaznaczała się jeszcze w owym młodocianym wieku. Po ojcu mam oczy i usta, po matce zaś ciężki, wytrwały chód, budowę ciała i niezmożoną siłę fizyczną. W dziedzictwie po ojcu i w ogóle naszej rasie dostał mi się wprawdzie na drogę życia chytry chłopski rozum, ale także smętny charakter i skłonność do bezpodstawnej melancholii. Ponieważ przez długi czas sądzone mi było borykać się wśród obcych, z dala od stron ojczystych, niewątpliwie byłoby lepiej, gdybym zamiast tego posiadał nieco żywsze usposobienie i więcej pogodnej lekkomyślności.

Tak wyposażony przez naturę, zaopatrzony też w nowe ubranie, rozpocząłem moją podróż w życie. Dary rodziców zdały egzamin, bo od tej pory stanąłem w świecie na własnych nogach. Mimo to musiało mi czegoś nie dostawać, czego ani nauka, ani życie w świecie już mi nie dodały. Mogę bowiem dziś jeszcze tak jak kiedyś wspiąć się na górę, maszerować albo wiosłować dziesięć godzin i w razie konieczności zabić gołymi rękami człowieka, ale sztuki życia brak mi dziś tak samo jak wtedy. Dawne jednostronne obcowanie z przyrodą, roślinami i zwierzętami nie wyrobiło we mnie jakichś szczególnych cnót społecznych i nawet teraz sny moje są niezbitym dowodem tego, jak bardzo niestety pociąga mnie życie czysto animalne. Śni mi się bowiem nader często, że leżę na brzegu morza w postaci zwierzęcej, przeważnie jako foka, i odczuwam wtedy tak ogromną

przyjemność, że po przebudzeniu się bynajmniej nie z radością lub dumą, lecz jedynie z żalem uświadamiam sobie zaszczyt odzyskania człowieczeństwa.

Wychowywano mnie normalnym trybem w gimnazjum, ucząc i żywiąc bezpłatnie, i zadecydowano, że będę filologiem. Dlaczego – nie wiadomo. Nie ma bardziej bezużytecznego i nudniejszego fachu, a w dodatku bardziej mi obcego.

Lata uczniowskie minęły szybko. Między bójkami a nauką bywały godziny pełne nostalgii, godziny zuchwałych rojeń o przyszłości, chwile czci i uwielbienia dla wiedzy. Od czasu do czasu przebijało także tutaj moje wrodzone lenistwo, przysparzając mi niejednej przykrości i kary i ustępując potem znowu jakiejś nowej fali entuzjazmu.

– Peterze Camenzind – mawiał mój profesor greki – jesteś uparciuchem lubiącym chodzić własnymi drogami i przez to jeszcze rozbijesz sobie kiedyś ten swój twardy łeb.

Przyjrzałem się tłustemu okularnikowi, wysłuchałem jego przemowy i uznałem, że jest śmieszny.

– Peterze Camenzind – mawiał nauczyciel matematyki – jesteś wprost geniuszem w leniuchowaniu i żałuję, że nie ma niższego stopnia od zera. Oceniam twój dzisiejszy wyczyn na minus dwa i pół.

Przyjrzałem mu się, pożałowałem go, ponieważ miał zeza, i uznałem, że jest bardzo nudny.

– Peterze Camenzind – powiedział kiedyś profesor

historii – nie jesteś dobrym uczniem, lecz mimo to będzie z Ciebie kiedyś dobry historyk. Jesteś leniwy, ale umiesz odróżniać rzeczy wielkie od małych.

Również i tym zdaniem nie bardzo się przejąłem. Pomimo to miałem respekt dla profesorów, ponieważ sądziłem, że posiadli wiedzę, a dla wiedzy podświadomie odczuwałem nieokreślony, ogromny szacunek.

I chociaż wszyscy nauczyciele zgadzali się ze sobą co do mego lenistwa, robiłem jednak postępy i w klasie należałem do średnich uczniów. Wyczuwałem, że szkoła i wiedza szkolna – to dopiero niedoskonały fragment, czekałem więc na to, co będzie później. Poza tymi pierwszymi przygotowaniem, poza tym całym szkolarstwem domyślałem się czystych wartości duchowych, jakiejś niezbitej, niewątpliwej wiedzy o prawdzie. Z niej dowiem się, co oznacza ciemny chaos dziejów, jaki jest sens walk toczonych przez narody i lęklivego pytania tkwiącego w każdej poszczególnej duszy.

Jeszcze silniej i żywiej nurtowała mnie innego rodzaju tęsknota. Bardzo pragnąłem mieć przyjaciela.

Był między nami poważny chłopak o ciemnych włosach, dwa lata starszy ode mnie. Nazywał się Kaspar Hauri. Miał pewny i spokojny sposób bycia i poruszania się, głowę podniesioną śmiało i poważnie jak mężczyzna, a wśród kolegów odznaczał się małomównością. Przez wiele miesięcy spoglądałem na niego z wielką admiracją, na ulicy chodziłem za nim, żywiąc tęskną nadzieję, że



mnie zauważy. Byłem zazdrosny o każdego mieszcza, któremu się kłaniał, i o każdy dom, do którego wchodził lub z którego wychodził. Byłem jednak o dwie klasy niżej od niego, a on prawdopodobnie czuł się już wyższy od swojej klasy. Nigdy nie padło między nami choćby jedno słówko. Zamiast niego przyłączył się do mnie bez jakichkolwiek starań z mej strony pewien mały, chorowity chłopak. Był młodszy ode mnie, nieśmiały i mało uzdolniony, ale miał piękne, cierpiące oczy i smutne rysy twarzy. Ponieważ był słabowity i z lekka ułomny, doznawał wielu przykrości w swej klasie i szukał we mnie obrońcy, jako że posiadałem siłę i uznanie innych. Wkrótce rozchorował się tak, że nie mógł już uczęszczać do szkoły. Nie odczuwałem jego braku i szybko o nim zapomniałem.

Do naszej klasy chodził także pewien jasnowłosy wisus, kuglarz, muzyk, aktor i błazen w jednej osobie. Nie bez trudu pozyskałem jego przyjaźń; obrotny, mały rówieśnik traktował mnie zawsze nieco protekcjonalnie, ale bądź co bądź miałem teraz przyjaciela. Odwiedzałem go w jego izdebce, przeczytałem z nim kilka książek, robiłem mu greckie zadania, w zamian za co on pomagał mi w rachunkach. Chodziliśmy też razem na spacer, wyglądając przy tym zapewne jak niedźwiedź z łasicą. To on zawsze mówił, nigdy się nie pesząc, niezmiennie wesoły, dowcipny, pełen werwy, a ja przysłuchiwałem się, śmiałem i cieszyłem, że mam tak zuchowatego przyjaciela.

Pewnego popołudnia zaskoczyłem jednak małego szarlatana, kiedy w sieni szkoły popisował się przed kilkoma kolegami którymś ze swoich ulubionych zabawnych występów. Właśnie skończył naśladować profesora i zawołał:

– A zgadnijcie, kto to jest!

Zaczął głośno odczytywać kilka wierszy Homera. Przy tym kopiował mnie bardzo wiernie, moje zakłopotanie, bojaźliwe czytanie, góralską szorstką wymowę, a także mój stały odruch towarzyszący skupieniu, mianowicie mrużenie i przymyknięcie lewego oka. Wyglądało to nader śmiesznie i było robione ogromnie dowcipnie, a zarazem bezlitośnie.

Kiedy zamknął książkę i przyjmował zasłużone oklaski, zaszedłem go od tyłu i zemściłem się. Nie znalazłem słów, ale całe moje oburzenie, zawstydzenie i złość wyraziłem dobitnie jednym siarczystym policzkiem. Zaraz potem zaczęła się lekcja i profesor usłyszał pojękiwania, zauważył też czerwony, zapuchnięty policzek mego byłego przyjaciela, który na domiar był jego pupilkiem.

– Kto cię tak urządził?

– Camenzind.

– Camenzind, wstań! Czy to prawda?

– Tak jest.

– Dlaczego go uderzyłeś?

Milczenie.

– Czy dał ci powód?

– Nie.

A więc ukarano mnie surowo, a ja po stoicku upajałem się rozkoszą niewinnego męczeństwa. Ponieważ jednak nie byłem ani stoikiem, ani świętym, tylko uczniakiem, po odbyciu kary pokazałem nieprzyjacielowi język w całej jego długości. Zgorszony profesor ofuknął mnie:

– Czy ty się nie wstydzisz? Co to ma znaczyć?

– Ma znaczyć, że on jest podły i że nim gardzę. A do tego jest też tchórzem.

Tak skończyła się moja przyjaźń z aktorem. Nie miał następcy i lata dojrzewania musiałem spędzić bez przyjaciela. Chociaż poglądy moje na życie i ludzi zmieniały się od tego czasu kilkakrotnie, policzek ów wspominam zawsze z głęboką satysfakcją. Mam nadzieję, że blondynek również go nie zapomniał.

Mając siedemnaście lat, zakochałem się w córce adwokata. Była piękna i dumny jestem z tego, że całe życie kochałem się zawsze tylko w ładnych kobietach. Kiedy indziej opowiem, co wycierpiałem przez nią i przez inne. Nazywała się Rosi Girtanner i dzisiaj jeszcze godna jest miłości nie takich mężczyzn jak ja.

Wtedy szumiała we mnie niespożyta siła młodości. Wdawałem się w dzikie bójki z kolegami, odczuwałem dumę z tego, że jestem najlepszym zapaśnikiem, graczem w piłkę, biegaczem i wioślarzem, a przy tym stale nurtowała mnie melancholia, ale chyba nie w związku z moimi amatorami. Była to po prostu słodka melancholia przedwiośnia, która ogarniała mnie bardziej niż innych, tak że lubowałem się w wyobrażeniach smutku, w

myślach o śmierci i pesymistycznych marzeniach.

Oczywiście nawinał się także kolega, który dał mi do przeczytania *Księgę pieśni* Heinego w tanim, popularnym wydaniu. Właściwie nie było to już czytanie – wypełniałem puste wiersze całą wrażliwością mego serca, cierpiałem wraz z autorem, tworzyłem z nim i wpadłem w liryczne marzycielstwo, które musiało zapewne wyglądać na mojej twarzy jak przysłowiowy kwiatek u kożucha. Dotychczas nie miałem pojęcia o „literaturze pięknej”. Teraz, po Heinem, przyszła kolej na Lenaua, Schillera, potem na Goethego i Szekspira, i nagle blada mara zwana literaturą stała się dla mnie wielkim bóstwem.

Z błogim dreszczem chłonałem z tych ksiąg chłodny i rzeński wiew życia, które nigdy nie istniało naprawdę, a mimo to było prawdziwe i chciało teraz wypełnić moje wzburzone serce przyływem swych fal i rozgrywać w nim swoje losy. W moim kąciku, w izdebce na poddaszu, gdzie docierało tylko bicie zegara z pobliskiej wieży i suchy klekot gnieźdzących się opodal bocianów, bohaterowie Goethego i Szekspira bywali stałymi gośćmi. Objawiła się przede mną boskość i śmieszność wszystkiego, co ludzkie: zagadka naszego skłóconego, nieokiełznanego serca, głębokie tajnie historii świata i wspaniały cud ducha, który rozświecła nasze krótkie dni i dzięki mocy poznania wynosi nasz mały żywot w krąg konieczności i wieczności. Gdy wychylałem głowę przez wąskie okienko, widziałem, jak słońce świeci na dachy i ciasne uliczki, słuchałem ze zdziwieniem niewyraźnego

gwaru drobnych odgłosów pracy i codzienności i odczuwałem samotność i tajemniczość mego poddasza, zaludnionego wielkimi duchami, jako dziwnie piękną bajkę. W miarę jak coraz więcej czytałem i coraz dziwniej i bardziej obco odczuwałem widok dachów, ulic i dnia powszedniego, zaczynało mnie nurtować nieśmiałe i niepokojące podejrzenie, że może również ja jestem wieszczem, a rozpostarty przede mną świat czeka na mnie, abym odkrył część jego skarbów, zdjął z nich zasłonę przypadkowości i pospolitości, a to, co odkryję, wydarł zagładzie i uwiecznił mocą poety.

Zabrałem się nieśmiało do pisania i z czasem kilka zeszytów zapełniłem wierszami, szkicami i krótkimi opowiadaniem. Przepadły i niewielką prawdopodobnie posiadały wartość, ale wywoływały we mnie niepokój, a zarazem sprawiały ukrytą rozkosz. Z wielkim trudem zdobyłem się po tych próbach na krytyczne spojrzenie i dopiero w ostatnim roku uczęszczania do szkoły nastąpiło nieuniknione pierwsze wielkie rozczarowanie. Dałem już spokój moim pierwocinom i w ogóle zacząłem z nieufnością odnosić się do całej tej pisaniny, kiedy przez przypadek wpadło mi w ręce kilka tomików Gottfrieda Kellera. Natychmiast przeczytałem je dwa i trzy razy z rzędu. Wtedy zrozumiałem nagle, jak dalekie były moje niedojrzałe marzenia od prawdziwej, poważnej, wielkiej sztuki; spaliłem wiersze i nowele i spojrzałem na świat ze smutnym i przykrym uczuciem, jak po ciężkim pijaństwie.

## Rozdział 2

Jeśli chodzi o miłość – w tej dziedzinie przez całe życie pozostałem chłopcem. Uczucie do kobiet było dla mnie zawsze wzniosłą adoracją, strzelistym płomieniem wydartym z mroków mej duszy, dłońmi wzniesionymi w modlitwie ku błękitnym niebiosom. Pod wpływem matki, a także idąc za własnym, niejasnym wyczuciem, wielbiłem wszystkie kobiety jako nieznaną, piękny i tajemniczy rodzaj ludzki, który góruje nad nami dzięki wrodzonemu pięknu i harmonii duszy i który musimy czcić, gdyż oddalony jest od nas niby gwiazdy i niebieskie szczyty i wydaje się bliższy Bogu. Ponieważ szorstkie życie nie poskapiło mi swej goryczki, miłość do kobiet dała mi tyleż słodczy, co smutku; kobiety pozostały wprawdzie dalej na swym wysokim cokole, moja jednak uroczysta rola adorującego kapłana zmieniała się nazbyt łatwo w żenująco śmieszna – wykpionego błazna.

Rosi Girtanner spotykałem niemal codziennie, idąc na obiad. Była to panna lat siedemnastu, hoża i zgrabna. W szczupłej, śniadej i świeżej twarzy uderzało to samo ciche, uduchowione piękno, jakim tchnęła dziś jeszcze twarz jej matki, a przedtem babki i prababki. Ten stary, wytworny i błogosławiony ród z pokolenia na pokolenie szczyił się całym szeregiem urodziwych kobiet; wszystkie były ciche i wykwiłtne, wszystkie hoże, dostojne i nieskazitelnie piękne. Istnieje portret dziewczyny z rodziny Fuggerów,

namalowany przez nieznanego mistrza z XVI wieku, jeden z najwspanialszych obrazów, jakie mi się zdarzyło widzieć. Takie mniej więcej były kobiety z rodu Girtannerów i taka też była Rosi.

O tym wszystkim oczywiście wtedy jeszcze nie wiedziałem. Widziałem tylko Rosi w jej cichym, pogodnym dostojeniu i czułem szlachetność jej prostoty. Wieczorami siadywałem o zmierzchu, dumając tak długo, aż mi się udało wywołać jasno i plastycznie wizję jej postaci, a wtedy przez mą chłopięcą duszę przebiegał słodki ukryty dreszcz. Ale wkrótce owe chwile rozkoszy zwały się i zaczęły mi sprawiać gorzki ból. Poczułem nagle, jak obca mi jest ta dziewczyna, uświadomiłem sobie, że nie zna mnie ani o mnie nie pyta, a moje piękne marzenia są w stosunku do niej świętokradztwem. I właśnie wtedy, gdy odczuwałem to najbardziej ostro i boleśnie, obraz jej na chwilę stawał mi przed oczami tak żywo i prawdziwie, że serce me zalewała ciężka, cierpka fala, sprawiając mi dziwny ból, który czułem aż w najdalszych tętnicach.

Za dnia w czasie lekcji albo zażartej bójki zdarzało się, że uczucie to wracało. Wtedy zamykałem oczy, opuszczałem ręce i miałem wrażenie, że zapadam się w jakąś ciepłą otchłań, z której wyrywało mnie dopiero wezwanie profesora albo uderzenie pięści kolegi. Budziłem się z odrętwienia, wybiegałem na dwór i osobliwie rozmarzony dziwiłem się światu. Wówczas spostrzegałem nagle, jakie wszystko jest ładne i kolorowe,

jak całe otoczenie jest przesycone światłem i tchnieniem, jak szklistozielona jest rzeka, jak czerwone są dachy i błękitne góry. Ale otaczające piękno nie rozpraszało mego przygnębienia, raczej chłonałem je w milczeniu i smutku. Im wszystko było piękniejsze, tym bardziej obce mi się wydawało, gdyż nie brałem w tym udziału i stałem poza obrębem. Stąd ponure moje myśli wracały znowu do Rosi: gdybym w tej chwili umarł, nie wiedziałyby o tym, nie zainteresowałyby się ani nie zmartwiła!

Mimo to nie pragnąłem, by zwróciła na mnie uwagę. Chętnie uczyniłbym dla niej coś niezwykłego albo podarował jej coś, ale tak, żeby nie wiedziała, od kogo dar pochodzi.

I rzeczywiście dużo dla niej robiłem. Właśnie nadeszły krótkie wakacje i wysłano mnie do domu. Tam codziennie dokonywałem nadzwyczajnych czynów – w moim pojęciu zawsze ku czci Rosi. Na trudny szczyt góry wspiałem się najbardziej stromą ścianą. Przedsiębrałem ryzykowne jazdy czółnem po jeziorze, przepływając duże odległości w krótkim czasie. Raz, gdy po takiej przejażdżce wróciłem opalony i zgłodniały, wpadłem na pomysł, by do wieczora obyć się bez jedzenia i picia. Wszystko dla Rosi Girtanner. Chwałę jej imienia niosłem na samotne granie i niedostępne przełęcz.

Również moja przesłęczana w klasie młodość domagała się swych praw. Rozrosłem się potężnie w ramionach, twarz i kark ogorzały i mięśnie w całym ciele nabierały mocy.



W przedostatni dzień wakacji złożyłem mej miłości ofiarę z kwiatów, która wymagała ode mnie dużego wysiłku. Wprawdzie wiedziałem, że na kilku przystępnych stokach, na wąskich skrawkach ziemi rosną szarotki, ale te bezbarwne i bezwonne, chorowite srebrne kwiaty wydawały mi się zawsze bezduszne i niezbyt ładne. Wiedziałem natomiast o kilku osamotnionych krzewach róży alpejskiej, zagnanych w głąb stromej rozpadliny. Kwitły one późno i były kusząco trudne do zdobycia. Cóż, musi się udać. A ponieważ dla młodości i miłości nie ma rzeczy niemożliwej, z podrapanymi rękami i kurczem w udach dotarłem wreszcie do celu. Krzyknąć z uciechy nie mogłem w swym ryzykownym położeniu, ale serce śpiewało mi i szalało z radości, kiedy ostrożnie przeciąłem odporne gałęzie i miałem zdobycz w rękach. Z powrotem musiałem schodzić tyłem, z kwiatami w zębach, i jeden Bóg wie, w jaki sposób udało mi się, zuchwalcowi, zejść cało do podnóża ściany. Na całej górze pora kwitnienia róż alpejskich dawno minęła – ja trzymałem w ręku ostatnie w tym roku gałązki o delikatnie rozwijających się pąkach.

Następnego dnia podczas całej pięć godzin trwającej podróży nie wypuszczałem kwiatów z rąk. Z początku serce ciągnęło mnie przemożnie ku miastu pięknej Rosi; ale im bardziej góry się oddalały, tym silniej wrodzona miłość do stron rodzinnych wzywała mnie z powrotem. Tak dobrze pamiętam tę podróż! Sennalpstock dawno już zniknął mi z oczu, teraz także bliższe zębate szczyty

ginęły jedne po drugich i każdy z nich zegnałem nieuchwytnym uczuciem bólu. W końcu zniknęły wszystkie góry rodzime i roztoczył się przede mną rozległy, płaski, jasnozielony krajobraz. W czasie mej pierwszej podróży wcale mnie to nie poruszyło. Obecnie natomiast ogarnął mnie niepokój, lęk i smutek, jak gdybym był skazany na to, by jechać w coraz bardziej płaskie krainy i nieodwołalnie utracić góry i prawo obywatelstwa w stronach rodzinnych. Jednocześnie miałem ciągle przed oczyma ładną, szczupłą twarz Rosi, tak subtelną, a zarazem obcą, chłodną i obojętną, że ból i rozgoryczenie zapierały mi dech. Za oknami przesuwały się pogodne, schludne miasteczka z wysmukłymi wieżami i białymi szczytami domów, ludzie wysiadali i wsiadali, rozmawiali, witali się, śmiali, palili, żartowali – pełni wesela mieszkańcy nizin, swobodni, obcy, otrzaskani ze światem ludzie. Natomiast ja, ciężki chłop z gór, siedziałem wśród nich milczący, smutny i zacięty. Czułem, że już nie mam ojczyzny. Zdawałem sobie sprawę, że oderwano mnie na zawsze od gór, a mimo to nigdy nie będę taki jak człowiek z nizin, taki pogodny i wyrobiony towarzysko, taki gładki i pewny siebie. On zawsze będzie się ze mnie śmiał, on ożeni się kiedyś z Rosi Girtanner i zawsze będzie stać mi na drodze oraz wyprzedzi mnie o krok we wszystkim.

Tego rodzaju myśli towarzyszyły mi do samego miasta. Po przyjeździe od razu udałem się na poddasze, otworzyłem swą skrzynkę i wyjąłem z niej duży arkusz

papieru. Nie należał on do najcieńszych i kiedy owinałem weń moje alpejskie róże, a paczkę owiązałem specjalnie z domu przywiezionym sznurkiem, nie wyglądała bynajmniej na dar miłości. Z powagą zaniósłem ją na ulicę, gdzie mieszkał adwokat Girtanner, korzystając z pierwszej odpowiedniej chwili wszedłem przez otwartą bramę, rozejrzałem się nieco po pogrążonej w półmroku wieczornym sieni i złożyłem moje niekształtne zawiniątko na szerokich frontowych schodach.

Nikt mnie nie widział i nigdy nie dowiedziałem się, czy moje miłosne pozdrowienie dotarło do Rosi. Niemniej wspinałem się po upłazach i narażałem życie, by złożyć wiązanek róż na schodach jej domu, i w tym było coś słodkiego, smutnego i radosnego jednocześnie, coś poetycznego, co sprawiało mi przyjemność – jeszcze dziś ją odczuwam. Jedynie w chwilach cynizmu wydaje mi się niekiedy, że owa przygoda z różami była – podobnie jak wszystkie moje późniejsze historie miłosne – donkiszoterią.

Ta moja pierwsza miłość nie miała zakończenia; jak niewyzwolone pytanie rozplynęła się w mojej młodości i biegła obok późniejszych mych przeżyć miłosnych niby cicha starsza siostra. Ciągle jeszcze nie umiem sobie wyobrazić nic bardziej wytwornego, czystego i pięknego od owej młodej, szlachetnie urodzonej patrycjuszki. A kiedy w wiele lat później na wystawie dawnego malarstwa w Monachium ujrzałem ów bezimienny, pełen tajemniczego uroku portret córki Fuggerów, zdawało mi

się, że cała moja marzycielska, smutna młodość staje przede mną i wpatruje się we mnie badawczo niezgłębionymi, zadumanymi oczami.

Tymczasem dojrzewałem z wolna i statecznie, zmieniając się stopniowo w młodzieńca. Fotografia moja z owych czasów przedstawia kościstego, wysokiego chłopaka wiejskiego w źle uszytym ubraniu uczniowskim, z nieco przygaszonym spojrzeniem i nieforemnymi rękami i nogami wyrostka. Tylko głowa ma w sobie przedwczesną dojrzałość i siłę. Z pewnego rodzaju zdziwieniem stwierdziłem u siebie mijanie okresu chłopięcego i z mglistym uczuciem radości oczekiwałem czasów studenckich.

Miałem studiować w Zurychu, a w wypadku szczególnych osiągnięć protektorzy moi napomykali o możliwości wysłania na dalsze studia. Wszystko to jawiło mi się jako piękny, klasyczny obraz: miła, poważna altana z popiersiami Homera i Platona, ja pochylony w niej nad foliałami, a ze wszystkich stron szeroki, jasny widok na miasto, jezioro, góry i piękną dal. W usposobieniu mym zaszła zmiana: zacząłem myśleć trzeźwiej, a jednocześnie nabrałem rozmachu i cieszyłem się przyszłym szczęściem z niezachwianą wiarą, że zostanę uznany za godnego kandydata.

W ostatnim roku szkolnym zainteresowały mnie studia nad językiem włoskim i zawarłem pierwszą znajomość ze starymi nowelistami, których dokładniejsze poznanie zachowałem sobie jako temat pierwszej dodatkowej pracy

semestralnej w Zurychu. Potem nadszedł dzień, kiedy pożegnałem się z moimi profesorami i gospodarzem stacji, zapakowałem swą małą skrzynkę, zabiłem ją gwoździami i z uczuciem łagodnego smutku powąłęsałem się po raz ostatni koło domu Rosi.

Wakacje, które potem nastąpiły, dały mi gorzki przedsmak życia oraz szybko i gwałtownie podarły piękne skrzydła marzeń. Najpierw zastałem matkę chorą. Leżała w łóżku, prawie nic nie mówiła i nawet mój przyjazd nie wywarł na niej wrażenia. Nie byłem przeczulony, bolało mnie jednak, że moja radość i młodzieńcza duma nie znajdują żadnego oddźwięku. Potem ojciec oświadczył, że wprawdzie nie sprzeciwia się moim dalszym studiom, ale nie jest w stanie dać mi na nie pieniędzy. Jeśli małe stypendium nie wystarczy, będę musiał sam w jakiś sposób zdobyć potrzebne na to środki. W moim wieku on już dawno jadł chleb zarobiony własną pracą. I tak dalej, i tak dalej.

Z wędrówkami, wiosłowaniem i chodzeniem po górach również było tym razem gorzej, ponieważ musiałem pomagać w domu i w polu, a w chwilach wolnych od pracy nie miałem na nic ochoty, nawet na czytanie. Oburzał mnie i nużył widok pospolitego, codziennego życia, które bezczelnie domagało się swoich praw, pozerając całą bujność i radość, jakie ze sobą przywiozłem. Skądinąd ojciec, uwolniwszy się od problemu pieniężnego, był wprawdzie jak zwykle szorstki i małomówny, lecz nie odnosił się do mnie nieżyczliwie –

i to jednak mnie nie cieszyło. Skryty szacunek połączony z lekką pogardą, jakim napawała go moja edukacja szkolna i książki, także był drażniący, irytujący. Poza tym myślałem bardzo dużo o Rosi na złość samemu sobie i utwierdzałem się znowu w niedobrym przeświadczeniu, że nigdy nie nabiorę ogłady i pewności siebie. Zastanawiałem się nawet całymi dniami, czy nie będzie mądrzej pozostać w wiosce i pogodziwszy się z nieustępliwym, smętnym przymusem żałosnego domowego życia, zapomnieć o łacinie i górnych nadziejach. Snułem się po świecie udęczony i zniechęcony, nawet przy łożu chorej matki nie znajdując pociechy ani spokoju. Obraz owej wyśniewanej altany z popiersiem Homera jakby na urągowisko coraz to stawał mi przed oczami, a ja burzyłem go, wylewając nań cały gniew i całą niechęć mej umęczonej duszy. Tygodnie dłużyły się nieznośnie, jak gdybym miał na ten beznadziejny okres złości i konfliktów strwonić całą młodość.

Byłem zaskoczony i oburzony, że życie tak gwałtownie i doszczętnie potrafiło obrócić wniwecz moje szczęśliwe marzenia. Z kolei jednak mogłem ze zdumieniem przekonać się, jak nagle i potężnie doszło do przewyciężenia terażniejszej udęki. Przedtem życie ukazało mi swą powszednią szarzyznę, teraz niespodziewanie objawiło przed mym zakłopotanym okiem swe wiekuiste głębie i obarczyło moją młodość prostym, wielkim doświadczeniem.

Pewnego upalnego dnia, wczesnym rankiem, kiedy jeszcze leżałem w łóżku, zachciało mi się pić, wstałem więc, by pójść do kuchni, gdzie zawsze stała konewka świeżej wody. Musiałem przy tym przejść przez pokój rodziców. Usłyszałem dziwny jęk matki. Zbliżyłem się do łóżka, ale chora nie patrzyła na mnie i nie odpowiadała, tylko postękiwała sucho i trwożnie, mrugając powiekami – twarz jej była sinoblada. Nie przeraziło mnie to specjalnie, chociaż się nieco zaniepokoiłem. Ale potem zobaczyłem jej dłonie leżące na prześcieradle, spokojne jak śpiące rodzeństwo. Po rękach tych poznałem, że matka umiera, gdyż były śmiertelnie znużone i bezwolne – takich rąk nie ma żaden żywy człowiek. Zapomniałem o pragnieniu. Ukląknąłem przy łóżku, położyłem dłoń na czole chorej i szukałem jej wzroku. Kiedy skierowała na mnie spojrzenie, było ono dobre i łagodne, lecz bliskie zgaśnięcia. Nie przyszło mi nawet na myśl, że powinienem obudzić ojca, który spał obok, oddychając głośno. Przeklęczałem blisko dwie godziny, patrząc, jak moja matka przyjmuje śmierć. Umierała cicho, poważnie i dzielnie, jak na nią przystało, i dała mi swą śmiercią piękny przykład.

Cisza panowała w izdebce, która wypełniała się z wolna jasnością świtu; dom i wieś były jeszcze pogrążone we śnie, a ja miałem czas, aby myślami towarzyszyć duszy umierającej matki i popłynąć z nią ponad domem i wsią, jeziorem i śnieżnymi szczytami w chłodny, wolny bezkres czystego, porannego nieba. Smutku odczuwałem niewiele,

ponieważ pełen byłem zdumienia i czci, widząc, jak rozwiązuje się wielka zagadka, a pierścień życia zamyka się z lekkim drzeniem. A poza tym ciche męstwo umierającej było tak wzniosłe, że z jego gorzkiej chwały jakiś orzeźwiająco jasny promień padł także na moją duszę. Nie zdawałem sobie sprawy, że obok śpi ojciec, że nie ma księdza, że ani sakrament, ani modlitwy nie towarzyszą swą świętością tej duszy powracającej do domu. Czułem tylko przejmujące tchnienie wieczności przepływające przez rozwidniającą się izbę i udzielające się mnie samemu.

W ostatniej chwili, kiedy jej oczy już zgasły, pocałowałem po raz pierwszy w życiu zimne, przywiedłe usta mej matki. Obcy chłód tego zetknięcia przejął mnie nagłą grozą; usiadłem na krawędzi łóżka i poczułem, że powoli, jakby ociągając się, spływa mi jedna duża łza po drugiej, po policzkach, brodzie i rękach. Wkrótce potem obudził się ojciec. Spostrzegł mnie i spytał rozespanym głosem, co się stało. Chciałem mu odpowiedzieć, ale nie potrafiłem zdobyć się na ani jedno słowo, tylko wyszedłem z pokoju, jak we śnie dotarłem do swojej izdebki, gdzie wolno i bezwiednie włożyłem ubranie. Za chwilę stary zjawił się u mnie.

– Matka umarła – powiedział. – Wiedziałeś o tym?

Skinąłem głową.

– Czemu mnie nie obudziłeś? Księdza też nie było! A niechże cię!... – zaklął siarczyście.

Wtedy w głowie poczułem taki ból, jak gdyby w niej



pekła żyłka. Podeszedłem do niego, chwyciłem go mocno za ręce – w porównaniu ze mną był wątłym chłopcem – i spojrzałem mu w twarz. Nie rzekłem ani słowa, ale on umilkł i stropił się. Kiedy potem obaj przeszliśmy do matki, ojca również porwała potęga śmierci, nadając jego twarzy wyraz obcy i uroczysty. Pochylił się nad zmarłą i zaczął zupełnie cicho i po dziecinnemu zawodzić – niby ptak – wysokim, cienkim głosem. Poszedłem zawiadomić sąsiadów. Wysłuchali mnie, nie stawiając żadnych pytań, tylko podali mi rękę i zaofiarowali swą pomoc naszemu osieroconemu gospodarstwu. Ktoś pobiegł do klasztoru po księdza, a gdy wróciłem, sąsiadka już była w naszej stajni i obrządzała krowę.

Nadszedł wielebny i zjawiły się niemal wszystkie kobiety ze wsi. Wszystko odbyło się skrupulatnie i sprawnie, jakby samo z siebie, nawet o trumnę postarano się bez naszego udziału i po raz pierwszy mogłem się przekonać, że dobrze w ciężkich chwilach być gdzieś zadomowionym i przynależeć do małej, niezawodnej gromady. Na drugi dzień może powinienem był się jeszcze głębiej nad tym zastanowić.

Kiedy bowiem pobłogosławiono i złożono do grobu trumnę, a dziwacznie szorstkie, rzewnie staroświeckie cylindry – między nimi również cylinder mego starego – zniknęły w pudłach i szafach, biedny ojciec uległ chwili słabości. Zaczął się nagle uzalać nad sobą i przedstawił mi w osobliwych, przeważnie biblijnych zwrotach swoją niedolę. Biadał, że teraz, gdy pochował żonę, musi jeszcze

utracić syna, który wyjeżdża w obce strony. Nie było końca tym wywodom. Słuchałem go z przerażeniem i byłem nieomal gotów przyrzec mu, że pozostanę.

W chwili jednak kiedy już miałem to powiedzieć, odczułem coś dziwnego. Nagłe w ciągu ułamka sekundy pojawiło się przede mną wszystko, o czym od najwcześniejszego dzieciństwa myślałem, czego pragnąłem i tęsknie wyczekiwałem, skupione przed zniemacka rozwartym wewnętrznym spojrzeniem. Ujrzałem czekające mnie ogromne, piękne zadania, książki, które przeczytałem, i książki do napisania. Słyszałem szum fenu i widziałem odległe, święte jeziora i wybrzeża grające wszystkimi barwami Południa. Widziałem przechadzających się mężczyzn o mądrych, uduchowionych twarzach i piękne, wykwintne kobiety, widziałem biegnące w dal gościńce i przełęcz wiodące przez Alpy, koleje spieszące przez różne kraje, wszystko naraz, a jednocześnie każdą rzecz z osobna i wyraźnie, a za tym wszystkim bezkres czystego widnokręgu, przecięty pędzącymi chmurami. Uczyć się, tworzyć, patrzeć, wędrować – cała pełnia życia zaśniła przelotnym błyskiem srebra przed moim okiem i znowu jak za lat chłopięcych drgnęło coś we mnie nieświadomym, przemożnym pędem ku niezmierzonej dali świata.

Milczałem, pozwalając ojcu mówić, i tylko potrząsałem głową, czekając, aż jego podniecenie osłabnie. Stało się to dopiero wieczorem. Wtedy oznajmiłem mu, że mam niezłomny zamiar studiować i szukać sobie nowej

ojczyzny w świecie ducha, od niego zaś nie żądam żadnego wsparcia. Wówczas przestał na mnie nalegać i tylko przyglądał mi się urażony, kręcąc głową, ponieważ sam również pojął, że od tej chwili pójdę własnymi drogami i szybko stanę się jego życiu zupełnie obcy. Kiedy dziś w trakcie pisania przypomniałem sobie ten dzień, zobaczyłem znowu ojca takim jak w ów wieczór, gdy siedział na stołku przy oknie. Jego mądra chłopska głowa o ostrych rysach tkwiła nieruchomo na cienkiej szyi, krótkie włosy zaczynały siwieć, a w twardej, surowej twarzy nieustępliwa męskość walczyła ze smutkiem i nadchodzącą starością.

O nim i o moim ówczesnym pobycie pod jego dachem pozostaje mi do opowiedzenia jeszcze jedno drobne, lecz niebłahe wydarzenie. W ostatnim tygodniu przed wyjazdem ojciec pewnego wieczoru włożył czapkę i ujął za kłamkę.

– Gdzie idziesz? – zapytałem.

– A co ci do tego? – odparł.

– Mógłbyś mi powiedzieć, jeśli to nic zdożnego – zauważyłem.

Wtedy roześmiał się i zawołał:

– Możesz iść ze mną, nie jesteś już dzieckiem.

Wobec tego poszedłem z nim. Do gospody. Kilku chłopów siedziało tu przed dzbankiem hallauera, dwóch nieznanomych furmanów piło absynt, przy jednym ze stołów gromada młodych chłopców z wielkim hałasem grała w karty – w jassa.

Byłem przyzwyczajony do wypicia od czasu do czasu lampki wina, ale tym razem zdarzyło mi się po raz pierwszy wejść do szynku bez specjalnej konieczności. Wiedziałem ze słyszenia, że ojciec jest wytrawnym pijakiem. Pił dużo i dobrze, toteż gospodarstwo nasze bez jakiejś szczególniejszej opieszałości z jego strony znajdowało się zawsze w beznadziejnie marnym stanie. Uderzyło mnie, ile szacunku okazywał mu gospodarz i goście. Zamówił litr waadtlandera, kazał mi nalewać i pouczał przy tym, jak należy to robić. Trzeba z początku trzymać flaszkę nisko, potem strugę w miarę wydłużać, a w końcu flaszkę znowu opuścić możliwie najniżej. Następnie zaczął opowiadać o różnych winach, które znał i pijał przy rzadkich okazjach, będąc czasem w mieście albo po włoskiej stronie. Z powagą i szacunkiem mówił o ciemnoczerwonym veltlinerze, którego znał trzy gatunki. Przyciszonym, wnikliwym głosem przeszedł następnie do niektórych waadtlandzkich win butelkowych. W końcu prawie szeptem i z miną opowiadacza bajek mówił o winie z Neuchatel. Spotyka się pewne jego roczniki, których piana przy nalewaniu przybiera w szklance kształt gwiazdy – zwilżonym palcem wyrysował mi tę gwiazdę na stole. Potem pogrążył się w niesłychanych domysłach o istocie i smaku szampana, którego nigdy nie pił, a o którym sądził, że jedną butelką dwóch chłopów upije się w pestkę.

Umilkł zamyślony i zapalił fajkę. Zauważył, że nie mam co palić, więc dał mi dziesięć rappów na cygara.

Siedzieliśmy tedy naprzeciw siebie, dmuchaliśmy sobie dymem w oczy i wypijaliśmy wolnymi łykami pierwszy litr. Żółty, pikantny waadtlander niezwykle mi smakował. Powoli chłopci z sąsiedniego stołu zaczęli wtrącać się do rozmowy i w końcu jeden po drugim, pochrzäkując, przynosili się ostrożnie do nas. Wkrótce moja osoba stała się ośrodkiem zainteresowania i okazało się, że zdobyta przeze mnie swego czasu sława alpinisty jeszcze nie przebrzmiała. Zgadało się o rozmaitych zuchwałych wspinaczkach i szaleńczych upadkach, osnutych mgłą legendy: jedni powątpiewali o nich, inni bronili ich prawdziwości. Tymczasem wysączyliśmy już prawie drugi litr i krew we mnie zagrała. Zupełnie wbrew swej naturze zacząłem się głośno przechwalać, opowiedziałem też o śmiałej wspinaczce po górnej ścianie Sennalpstock, gdzie zdobyłem róże dla Rosi Girtanner. Nikt mi nie wierzył. Zaklinałem się, że to prawda – śmiano się. Wpadłem w gniew. Wyzywałem każdego, kto mi nie wierzy, na pięści i dawałem do poznania, że od biedy dam sobie radę z nimi wszystkimi. Wtedy pewien stary, zgrzybiały chłopiec przeszedł do kredensu, przyniósł stamtąd duży kamienny dzban i postawił go na stole.

– Powiem ci coś! – zaśmiał się. – Skoroś taki silny, rozwal pięścią ten dzban. Wówczas zafundujemy ci tyle wina, ile się w nim zmieści. Jeśli zaś tego nie potrafisz, ty stawiasz wino.

Ojciec mój zgodził się natychmiast. Wstałem więc, owinałem dłoń chustką i walnąłem. Pierwsze dwa

uderzenia nie odniosły skutku. Za trzecim dzban rozleciał się w kawałki.

– Stawiać! – zawołał ojciec, promieniejąc z radości.

Stary niby się zgodził.

– Dobrze – powiedział – stawiam tyle wina, ile się w dzbanie zmieści. Ale dużo tego już nie będzie.

Oczywiście w czerepie nawet kubek się nie zmieścił, a mnie do bólu w ręce przybyły jeszcze kpiny. Również ojciec śmiał się teraz ze mnie.

– W takim razie ty wygrałeś! – krzyknąłem i napełniwszy czerep z naszej butelki, wylałem go staruchowi na głowę. Teraz znowu my byliśmy górą i nas oklaskiwali goście.

Jeszcze jakiś czas zabawialiśmy się w podobnie niewybredny sposób. Potem ojciec przywlókł mnie do domu i podnieceni, hałaśliwi tłukliśmy się po izbie, w której niecałe trzy tygodnie temu stała trumna matki. Spałem jak suseł, a nazajutrz czułem się rozbity i pusty. Ojciec, sam rześki i wesół, kpił sobie ze mnie i cieszył się wyraźnie ze swojej wyższości nade mną. Ja zaś przysiągłem sobie po cichu już nigdy nie pić i z tęsknotą wyczekiwałem dnia odjazdu.

Dzień ów nadszedł i wyjechałem, ale przysięgi nie dotrzymałem. Od tej pory poznałem żółtego waadtlandera, veltlinera o ciemnoczerwonej barwie, gwiazdziste wino Neuchatel oraz wiele innych win i jestem z nimi za pan brat.

## Rozdział 3

Wydostawszy się z przyziemnej i przygnębiającej atmosfery domu rodzinnego, rozwinąłem szeroko skrzydła radości i swobody. Jeśli na ogół źle na tym w życiu wyszedłem, zaznałem przynajmniej w pełni osobliwej, marzycielskiej rozkoszy okresu młodości. Niby młody wojownik odpoczywający wśród kwiecia na skraju lasu, żyłem w błogim niepokoju, rozdarty między wolą walki a chęcią igraszek, jak jasnowidzący wieszcz stałem nad ciemnymi otchłaniami, wsłuchany w szum wielkich rzek i wichrów, z duszą gotową do pojmowania akordu i harmonii wszystkiego, co żywe. Do głębi uszczęśliwiony piłem z pełnych kielichów młodości, cicho znosiłem słodkie cierpienia miłości do pięknych, nieśmiało wielbionych kobiet i aż do dna zakosztowałem najszlachetniejszego szczęścia młodego wieku, jakie daje męska, radosna, czysta przyjaźń.

W nowym bukskinowym ubraniu i z małą skrzynką pełną książek oraz innego dobytku przyjechałem do miasta, gotowy zdobyć sobie miejsce na świecie i jak najszybciej dowieść nieokrzesanym swojakom, że jestem z innej mąki niż reszta Camenzindów. Trzy cudowne lata mieszkałem w tej samej mansardzie o rozległym widoku – wiatr tu hulał, a ja, ucząc się, pisząc, tęskniąc, czułem ciepłą bliskość całego piękna ziemi wokół siebie. Nie zawsze jadałem gorące posiłki, ale każdego dnia i każdej

nocy, o każdej godzinie śpiewało, płakało i śmiało się moje serce, pełne jakiejś ogromnej radości, tuląc do siebie gorąco i namiętnie ukochane życie.

Zurych był pierwszym dużym miastem, jakie mnie żółtodziobowi dane było ujrzeć, i przez kilka pierwszych tygodni ciągle otwierałem szeroko oczy. Wprawdzie ani mi w głowie powstało podziwiać naprawdę miejskie życie lub go zazdrościć – w tym właśnie byłem chłopem; ale bawiła mnie różnorodność ulic, domów i ludzi. Oglądałem rojne od pojazdów ulice, przystań, place, ogrody, okazałe gmachy i kościoły; patrzyłem, jak zapobiegliwi ludzie gromadnie spieszą do pracy, widziałem wałęsających się studentów, powozy eleganckiego świata, chełpliwych dandysów, spacerujących cudzoziemców. Modnie wystrojone, wyniosłe kobiety bogaczy przypominały mi pawie w kurniku, ładne, dumne i nieco śmieszne. Właściwie nie byłem nieśmiały, tylko sztywny i hardy, i bynajmniej nie wątpiłem, że mam wszystkie dane po temu, aby głębiej wniknąć w ruchliwe życie miast i kiedyś sam znaleźć w nim odpowiednie dla siebie miejsce.

Młodość podeszła do mnie w postaci pięknego młodzieńca, który studiował w tym samym mieście i zajmował dwa ładne pokoje na pierwszym piętrze domu, gdzie mieszkałem. Co dzień słyszałem, jak u siebie grał na fortepianie, i wtedy po raz pierwszy pojąłem coś z czaru muzyki, tej pełnej słodyczy i najbardziej kobiecej ze sztuk. Potem widywałem przystojnego chłopca, jak wychodził z domu, z książką albo nutami w lewej ręce, w



prawej zaś z papierosem, którego dymek rozwiewał się za jego gibką, smukłą postacią. Nieśmiałe uczucie ciągnęło mnie ku niemu, ale trzymałem się z daleka, bojąc się obcowania z człowiekiem zamożnym, przy którego lekkim, swobodnym sposobie bycia moje ubóstwo i brak ogłady tylko by mnie upokarzały. Wtem sam przyszedł. Pewnego wieczoru ktoś zapukał do moich drzwi, a ja przestraszyłem się niemal, ponieważ nigdy jeszcze nie miałem gości. Piękny student wszedł, podał mi rękę, wymieniając swoje nazwisko, i zachowywał się tak swobodnie i wesoło, jakbyśmy się znali od dawna.

– Chciałem zapytać, czy nie miałby pan ochoty trochę pograć razem ze mną – zagadnął uprzejmie.

W życiu nie dotknąłem jeszcze żadnego instrumentu. Powiedziałem mu o tym, dodając, że oprócz jodłowania nic nie umiem, ale że często słucham jego pięknej i urzekającej gry na fortepianie.

– Jak się człowiek może omylić! – wykrzyknął wesoło. – Sądząc z pańskiego wyglądu, byłbym przysiągł, że pan jest muzykiem. To dziwne! Ale pan umie jodłować? O, proszę, niech pan raz zajodluje! Ogromnie to lubię!

Zmieszałem się niezmiernie i tłumaczyłem mu, że nie potrafię jodłować na zawołanie i w dodatku w pokoju. Trzeba być na jakimś szczycie albo przynajmniej gdzieś na wolnym powietrzu i musi to wypłynąć z własnej ochoty.

– Wobec tego niech pan jodluje na jakiejś górze! Może jutro? Bardzo pana o to proszę. Może byśmy mogli

wyfrunąć razem pod wieczór. Powłóczymy się i pogadamy trochę, na górze pan zajodluje, a potem zjemy sobie w jakiejś wiosce kolację. Chyba ma pan czas?

O tak, czasu mi nie brakowało. Zgodziłem się skwapliwie. Następnie poprosiłem go, żeby mi coś zagrał, i zszedłem z nim do jego dużego, ładnego mieszkania. Kilka nowocześnie oprawionych obrazów, fortepian, pewien uroczy nieład i delikatna woń papierosów stwarzały w tym przyjemnym pokoju nastrój jakiegoś swobodnego, wygodnego wykwintu, a zarazem przytulności, stanowiący dla mnie coś zupełnie nowego. Ryszard siadł do fortepianu i zagrał kilka taktów.

– Zna pan to, prawda? – skinął ku mnie. Wyglądał wspaniale, gdy odwróciwszy piękną głowę, patrzył na mnie błyszczącymi oczyma.

– Nie – odparłem – nic nie znam.

– To Wagner! – odkrzyknął – ze *Śpiewaków norymberskich* – i grał dalej.

Dźwięki płynęły lekko i mocno, tęsknie i pogodnie, pobudzając jak letnia, rzeźwiąca kąpiel. Równocześnie przyglądałem się z utajoną rozkoszą smukłej szyi i plecom grającego oraz jego białym dłoniom muzyka. Ogarnęło mnie przy tym to samo lękliwe, pełne podziwu uczucie tkliwości i szacunku, z jakim kiedyś patrzyłem na owego ucznia o ciemnych włosach, pomieszane z nieśmiałym przeczuciem, że ten piękny, wytworny młodzieniec może rzeczywiście zostanie moim przyjacielem i ziści moje dawne, niezapomniane pragnienie takiej właśnie

przyjaźni.

Następnego dnia wstąpiłem po niego. Rozmawiając, weszliśmy wolno na niezbyt wysoki wzgórek, popatrzyliśmy na miasto, jezioro i ogrody i rozkoszowaliśmy się dojrzałym pięknem godziny przedwieczornej.

– A teraz pan zajodluje! – zawołał Ryszard. – Jeśli pan się ciągle jeszcze krępuje, niech pan obróci się do mnie plecami. Ale proszę głośno!

Chyba go zadowolilem. Jodłowałem z pasją i radością w różową dal wieczoru, we wszystkich tonacjach i z wszystkimi załamaniem głosu. Kiedy przestałem, chciałem coś powiedzieć, ale urwał od razu i zasłuchany wskazał ręką w stronę gór. Z odległych wyżyn szła odpowiedź, cicha, rozwlekła i nabrzmiewająca, pozdrowienie pasterza albo jakiegoś wędrowca, a my słuchaliśmy jej w radosnym milczeniu. Gdyśmy tak razem stali, zamienieni w słuch, błogim dreszczem przeniknęła mnie świadomość, że po raz pierwszy stoję obok przyjaciela i że we dwójkę spoglądamy w piękny, różowymi obłokami zasnutą bezkres życia. Wieczne jezioro poczęło się mienić miękkimi barwami, a tuż przed zachodem słońca zobaczyłem, jak z opadających mgieł wyłania się kilka hardych, zuchwale wyszczerbionych szczytów alpejskich.

– Tam są moje strony rodzinne – powiedziałem. – Środkowa turnia to Rote Fluh, w prawo jest Geisshorn, na lewo, nieco dalej, okrągły Sennalpstock. Miałem dziesięć lat i trzy tygodnie, kiedy po raz pierwszy stanąłem na tej

szerokiej kopie.

Wyteżałem wzrok, aby dojrzeć któryś z bardziej południowych szczytów. Po chwili Ryszard powiedział coś, czego nie zrozumiałem.

– Co pan mówił? – zapytałem.

– Mówię, że wiem już, jaką pan sztukę uprawia.

– Jaką?

– Pan jest poetą.

Zaczerwieniłem się i trochę zezłościłem, ale zarazem zdziwiłem się, w jaki sposób to odgadł.

– Nie! – wykrzyknąłem – nie jestem poetą. W szkole wprawdzie pisałem wiersze, ale już od dawna tego nie robię.

– Czy mogę je kiedyś przeczytać?

– Spaliłem je. Ale nie pokazałbym ich panu, nawet gdybym je jeszcze miał.

– Były to z pewnością bardzo nowoczesne rzeczy, suto zaprawione Nietzschem?

– Co to takiego?

– Nietzsche? Wielkie nieba, nie zna pan Nietzschego?

– Nie. Skąd miałbym go znać?

Był zachwycony, że nie znam Nietzschego. Ja zaś rozgniewałem się i zapytałem, przez ile lodowców już przeszedł. Kiedy powiedział, że przez żaden, ja z kolei udawałem takie samo ironiczne zdziwienie. Wtedy położył mi rękę na ramieniu i powiedział poważnie:

– Pan jest przeczulony. Ale pan sam nie wie, jaki z pana godny zazdrości i niezepstuty człowiek i jak niewielu

takich istnieje. Widzi pan, za rok albo za dwa będzie pan także znał Nietzschego i cały ten kram, i to o wiele lepiej niż ja, ponieważ pan jest dokładniejszy i mądrzejszy, ale lubię pana właśnie takim, jakim pan jest. Nie zna pan Nietzschego ani Wagnera, ale bywał pan na wysokich szczytach i ma pan dzielną twarz górala. I z całą pewnością jest pan też poetą. Widzę to po oczach i po czole.

Również fakt, że przyglądał mi się tak szczerze i swobodnie i że wypowiadał głośno swoje zdanie o mojej osobie, dziwił mnie i wydawał mi się niezwykły.

O wiele jednak bardziej byłem zdziwiony i uszczęśliwiony, kiedy w osiem dni później w ogrodzie tłumnie uczęszczanej piwiarni zaproponował mi mówienie sobie „ty”, przy czym zerwał się na oczach wszystkich, ucałował mnie, objął i zaczął ze mną jak wariat tańczyć dokoła stołu.

– Co sobie ludzie pomyślą! – upomniałem go nieśmiało.

– Pomyślą: ci dwaj są niezwykle szczęśliwi albo też niezwykle pijani, większość zaś nic nie pomyśli.

W ogóle Ryszard – choć był starszy, mądrzejszy, lepiej wychowany i we wszystkim bardziej obyty i wybredniejszy niż ja – wydawał mi się często istnym dzieckiem w porównaniu ze mną. Na ulicy zalecał się na wpół uroczyście, na wpół kpiąco do kilkunastoletnich pensjonarek, najpoważniejsze utwory fortepianowe przerywał nieoczekiwanie dziecinnymi wprost kawałami,

a kiedy raz przyszła nam fantazja wejść do kościoła, zamyślony i poważny, odezwał się nagle w samym środku kazania:

– Czy nie sądzisz, że pastor wygląda jak stary królik?

Porównanie było trafne, ale uważałem, że mógł mi to równie dobrze powiedzieć później. Oznajmiłem mu wprost, co myślę.

– Kiedy miałem słuszość – dąsał się. – A później byłbym zapomniiał.

Fakt, że żarty jego bynajmniej nie zawsze były dowcipne, a nawet często zmierzały li tylko do zacytowania dwuwiersza Buscha, [Wilhelm B u s c h (1832—1908) — niemiecki humorysta, malarz i karykaturzysta.] nie raził mnie ani też innych, bo nie dowcip i inteligencję kochaliśmy w nim i podziwiali, ale niezmaconą radość jego jasnego, dziecinnego usposobienia, która co chwila tryskała z niego, otaczając go atmosferą lekkości i wesołości. Mogła się ujawnić choćby tylko jakimś odruchem, cichym śmiechem, filuternym spojrzeniem, ale nigdy nie potrafiła się długo ukrywać. Jestem przekonany, że nawet we śnie musiał się czasem roześmiać albo wykonać jakiś gest rozbawienia.

Dzięki znajomości z Ryszardem spotykałem często innych młodych ludzi, studentów, muzyków, malarzy, literatów, różnych cudzoziemców, bo każda ciekawsza, niecodzienna lub artystyczna natura, pojawiająca się w mieście, zaraz wchodziła w jego orbitę. Trafiały się w tym towarzystwie duchy poważne, pełne wewnętrznych zmaganiań, filozofowie, esteci i socjaliści, od których

mogłem się wiele nauczyć.

Z najrozmaitszych dziedzin wychwytywałem przypadkowo jakieś fragmentaryczne wiadomości, sam dużo czytałem i w ten sposób nabrałem z czasem niejakiego pojęcia o tym, co gnębiło lub porywało najruchliwsze umysły epoki. Dobroczynnie i zapładniająco oddziaływało na mnie to wnikanie w życie intelektualnej międzynarodówki. Jej pragnienia, przeczucia, prace i ideały były dla mnie nęcące i zrozumiałe, choć sam nie czułem w sobie popędu, aby walczyć o sprawę tego czy innego obozu. W większości wypadków, jak zauważyłem, cała energia myśli i namiętności zwracała się ku stosunkom i urządzeniom społecznym, ku sprawom państwa, nauki, sztuki lub metod pedagogicznych. Ale bardzo rzadko, jak mi się zdawało, spotykało się potrzebę pracy nad sobą samym bez jakiegoś zewnętrznego celu i chęć wyjaśnienia swego osobistego stosunku do czasu i wieczności. Także i we mnie popęd ów był jeszcze przeważnie na pół w uśpieniu.

Nie zawierałem żadnych innych przyjaźni, ponieważ kochałem Ryszarda uczuciem wyłącznym i zazdrosnym. Próbowałem go też odwieść od kobiet, z którymi przestawał dużo i poufale. Z przesadną punktualnością stawiałem się na każde najbliższe ustalone z nim spotkanie i byłem urażony, jeśli musiałem czekać. Kiedyś prosił, abym o umówionej godzinie zabrał go na wiosłowanie. Wstąpiłem, ale nie zastałem go w domu i czekałem trzy godziny daremnie na jego powrót. Na drugi

dzień ze złością wypomniałem mu jego niedbalstwo.

– Czemu nie poszedłeś po prostu sam wiosłować? – roześmiał się zdziwiony. – Zupełnie o tym zapomniałem, ostatecznie nie ma chyba nieszczęścia.

– Przywykłem ściśle dotrzymywać słowa – odparłem porywczo. – Co prawda zdążyłem przywyknąć do tego, że mało cię wzrusza, czyja gdzieś czekam na ciebie, czy nie. Gdy ktoś ma tylu przyjaciół co ty!

Spojrzał na mnie z niezmiernym zdumieniem.

– Więc aż tak się przejmujesz każdą drobnostką?

– Moja przyjaźń nie jest dla mnie drobnostką!

To słowo wielce go turbuje,

Więc wnet poprawę obiecuje...

– zacytował Ryszard uroczystym tonem, chwycił mnie za głowę i ocierając obyczajem wschodnich kochanków koniec nosa o mój nos, głaskał mnie, dopóki mu się na wpół rozgniewany, na wpół rozśmieszony nie wyrwałem; ale przyjaźń była ocalona.

W mojej mansardzie leżały pożyczone, często cenne tomy współczesnych filozofów, poetów i krytyków, pisma literackie z Niemiec i Francji, nowe sztuki teatralne, paryskie felietony i dzieła modnych estetów wiedeńskich. Poważniej i chętniej niż tymi szybko czytаныmi rzeczami zajmowałem się swymi starowłoskimi nowelistami oraz studiami historycznymi. Pragnieniem moim było jak najszybciej porzucić filologię i studiować wyłącznie



historię. Obok dzieł z historii powszechnej i z zakresu historycznej metodologii czytałem zwłaszcza źródła i monografie dotyczące okresu późnego średniowiecza w Italii i Francji. Przy tej sposobności po raz pierwszy bliżej poznałem najmilszego dla mnie z ludzi, Franciszka z Asyżu, najbardziej świętego i boskiego spośród wszystkich świętych. Tak to marzenie moje, w którym widziałem otwartą przed sobą pełnię życia i ducha, urzeczywistniało się co dzień, pojąc me serce ambicją, radością i młodzieńczą próżnością. Na sali wykładowej absorbowała mnie poważna, surowa, czasami nieco nudna nauka. W domu zajmowałem się przedziwnie nabożnymi albo krew mrozącymi historiami średniowiecza oraz arcymiłymi starymi nowelistami, których piękny i szczęśliwy świat ogarniał mnie niczym cienisty i senny zakątek bajkowy, lub też poddawałem się wzburzonej fali modernistycznych ideałów i namiętności. W chwilach wolnych słuchałem muzyki, śmiałem się razem z Ryszardem, brałem udział w spotkaniach jego przyjaciół, przestawałem z Francuzami, Niemcami, Rosjanami, uczęszczałem na czytanie cudaczych, nowoczesnych książek, wstępowałem tu i ówdzie do pracowni malarskich lub uczestniczyłem w towarzyskich zebraniach wieczornych, na których zjawiało się mnóstwo niespokojnych i nieskrystalizowanych młodych ludzi, przesuających się przede mną niby w jakimś fantastycznym karnawałowym korowodzie.

Pewnej niedzieli Ryszard zwiedził ze mną małą

wystawę nowych dzieł malarskich. Przyjaciel zatrzymał się przed obrazem przedstawiającym kilka kóz na hali. Było to pracowicie i przyjemnie namalowane, ale trochę staroświeckie i właściwie bez większych walorów artystycznych. W pierwszym lepszym salonie widuje się aż za dużo takich ładnych, nic nie znaczących obrazków. Bądź co bądź ten podobał mi się jako dość wierny wizerunek rodzimych hal. Zapytałem Ryszarda, co go w tym obrazku pociąga.

– To tutaj – powiedział, wskazując nazwisko autora w rogu. Nie umiałem odcyfrować czerwonoobrazowych liter.

– Ten obraz – mówił Ryszard – nie jest wielkim dziełem sztuki. Bywają ładniejsze. Ale nie ma ładniejszej malarki od tej, która go namalowała. Nazywa się Erminia Aglietti i jeśli chcesz, możemy jutro pójść do niej i powiedzieć jej, że jest wielką artystką.

– Znasz ją?

– Owszem. Gdyby jej obrazy były tak ładne jak ona sama, byłaby już dawno bogata i przestałaby malować. Robi to bowiem bez zamiłowania i tylko dlatego, że traf chciał, iż nie nauczyła się niczego innego, z czego mogłaby żyć.

Ryszard wkrótce zapomniał o tej sprawie i dopiero w kilka tygodni później do niej powrócił.

– Spotkałem wczoraj pannę Aglietti. Chcieliśmy ją przecież już dawno odwiedzić. Chodźmy więc! Masz chyba czysty kołnierzyk? Bo ona zwraca na to uwagę.

Kołnierzyk był czysty, wobec czego udaliśmy się do

Erminii Aglietti, ja z pewnym wewnętrznym ociąganiem, gdyż swobodny, nieco nonszalancki ton Ryszarda i jego kolegów w stosunku do malarek i studentek wcale mi się nie podobał. Mężczyźni odnosili się do nich dość bezceremonialnie, grubiańsko lub ironicznie, dziewczęta zaś były praktyczne, mądre i przebiegłe i nigdzie nie odnajdywałem ani śladu tej jasnej, czystej atmosfery, którą tak chętnie otaczałem kobiety i która kazała mi je wielbić.

Z lekka zakłopotany wszedłem do pracowni. Byłem wprawdzie dobrze obznajmiony z nastrojem pracowni malarskich, ale w tej chwili po raz pierwszy wchodziłem do atelier kobiety. Wyglądało dość zwyczajnie i panował w nim wielki ład. Trzy czy cztery gotowe obrazy wisiały w ramach, jeden nie całkiem jeszcze podmalowany stał na sztaludze. Resztę ścian zakrywały bardzo schludne, apetycznie wyglądające szkice ołówkowe i do połowy pusta szafa z książkami. Malarka przyjęła nas chłodno. Odłożyła pędzel i w fartuchu malarskim oparła się o szafę. Odniosłem wrażenie, że niechętnie poświęciłaby nam więcej czasu.

Ryszard zaczął jej prawić niesłychane komplementy na temat wystawionego obrazu. Wyśmiała go i wyprosiła sobie takie rzeczy.

– Ale, proszę pani, przecież mogłem mieć zamiar kupić ten obraz! Zresztą te krowy na nim są tak prawdziwe...

– To kozy – sprostowała spokojnie.

– Kozy? Oczywiście, kozy! Chciałem powiedzieć, że są

tak podpatrzone, iż byłem zdumiony. Kozy są jak żywe, takie naprawdę kozowate. Niech pani zapyta mego przyjaciela Camenzinda, który sam pochodzi z gór, on przyzna mi rację.

W tym miejscu poczułem, słuchając zmieszany i rozbawiony jego paplaniny, że malarka skierowała wzrok na mnie i lustruje mnie uważnie. Przyglądała mi się długo, bez skrępowania.

– Pan jest góralem?

– Tak jest, proszę pani.

– Widać to. No, a co pan sądzi o moich kozach?

– O, są z pewnością bardzo dobre. Przynajmniej ja ich nie wziąłem za krowy tak jak Ryszard.

– Bardzo pan łaskaw. Pan jest muzykiem?

– Nie, studentem.

Więcej nie rzekła do mnie ani słowa. Miałem sposobność przypatrzeć się jej. Postać była zakryta i zniekształcona długim fartuchem malarskim, a twarz nie wydała mi się ładna. Miała rysy ostre i drobne, oczy nieco surowe, włosy bujne, czarne i miękkie; co mnie raziło i niemal odpychało, to karnacja. Przypominała mi po prostu włoski ser ziołowy gorgonzola i nie zdziwiłbym się, gdybym znalazł dziurki w tej zielonkawej cerze. Jeszcze nigdy nie widziałem tej południowej bladości, a teraz, w niekorzystnym porannym świetle pracowni, wyglądała przeraźliwie kamiennie, nie jak marmur, tylko jak zmurszały, bardzo wybielały kamień. Nie umiałem też oceniać twarzy kobiecej podług jej formy, lecz w nieco

jeszcze chłopięcy sposób zwykłem w niej szukać raczej wdzięku i różanych powabów.

Również Ryszard był zniechęcony dzisiejszymi odwiedzinami. Tym bardziej byłem zdziwiony, a właściwie przestraszony, kiedy po jakimś czasie oznajmił mi, że panna Aglietti cieszyłaby się, gdyby mnie mogła rysować. Chodzi tylko o parę szkiców, bez twarzy – moja barczysta postać ma w sobie coś bardzo typowego.

Zanim omówiliśmy tę rzecz szczegółowiej, nastąpiło inne drobne wydarzenie, które zmieniło całe moje życie i na lata wytyczyło mi przyszłość. Pewnego ranka obudziłem się pisarzem.

Za namową Ryszarda napisałem kiedyś kilka szkiców, traktowanych jedynie jako ćwiczenie stylistyczne, w których możliwie wiernie przedstawiłem typy z naszego kółka, drobne epizody, rozmowy i tym podobne motywy, a także parę esejów na tematy literackie i historyczne.

Pewnego ranka, gdy jeszcze leżałem w łóżku, Ryszard wszedł do pokoju i położył mi na kołdrze trzydzieści pięć franków.

– To twoje – oznajmił tonem człowieka interesu.

Kiedy nie mogłem dopytać się, o co chodzi, wyciągnął wreszcie z kieszeni gazetę i pokazał mi przedrukowaną w niej jedną z moich nowel. Przepisał kilka moich rękopisów, zaniósł je do zaprzyjaźnionego redaktora i cichaczem sprzedał w moim imieniu. I oto wraz z honorarium trzymałem teraz w ręce pierwszą rzecz, którą mi wydrukowano.

Nigdy jeszcze nie czułem się tak osobliwie. Właściwie gniewałem się na tę jego zabawę w Opatrzność, ale upajający pierwszy smak dumy pisarskiej, ładna sumka oraz myśl o ewentualnej, na małą skalę sławie literackiej były jednak silniejsze i w końcu przeważały.

W kawiarni Ryszard przedstawił mnie redaktorowi. Ten spytał, czy może zatrzymać inne prace pokazane mu przez Ryszarda, i zaproponował, bym mu od czasu do czasu nadsyłał nowe. Zawierały jakoby jakiś szczególny ton, zwłaszcza prace historyczne, których chciałby więcej otrzymać i za które dobrze by mi zapłacił. Teraz dopiero zdałem sobie sprawę z doniosłości tego wszystkiego. Nie tylko mógłbym co dzień solidnie zjeść i zapłacić drobne długi, ale i uwolnić się od narzuconych mi studiów, a wkrótce może, pracując w mojej ulubionej dziedzinie, zdołałbym utrzymać się całkowicie z własnych zarobków.

Na razie redaktor przysłał mi do domu stos nowych książek do recenzji. Pochłonałem je wszystkie, co zajęło mi kilka tygodni; ponieważ zaś honoraria wypłacano dopiero pod koniec kwartału, a licząc na nie, żyłem sobie dostatniej niż zazwyczaj, zostałem pewnego dnia bez pieniędzy i musiałem znowu na odmianę wrócić do diety głodowej. Kilka dni wytrzymałem w mej budzie o chlebie i kawie, potem głód wypędził mnie do jadłodajni. Zabrałem trzy książki z egzemplarzy recenzyjnych, aby dać je w zastaw za konsumpcję. Próbowałem już zbyć je bez skutku u antykwariusza. Obiad był doskonały, ale przy czarnej kawie serce me zatrwożyło się nieco.

Nieśmiało wyznałem kelnerce, że nie mam pieniędzy, chcę natomiast oddać w zastaw książki. Wzięła jedną z nich do ręki, jakiś tom wierszy, przewertowała go z zaciekawieniem i zapytała, czy mogłaby przeczytać. Czytuje bardzo chętnie, ale nigdy nie może się zdobyć na kupno książek. Czułem, że jestem ocalony, i zaproponowałem jej, by zatrzymała te trzy tomiki zamiast zapłaty za jedzenie. Zgodziła się i z biegiem czasu wzięła ode mnie w ten sposób książek za siedemnaście franków. Za mniejsze tomiki poezji żądałem na przykład sera z chlebem, za powieści to samo z winem, pojedyncze nowele miały tylko wartość filiżanki kawy z chlebem. O ile pamiętam, były to przeważnie mierne rzeczy, pisane chorobliwie modernistycznym stylem, i poczciwa dziewczyna musiała chyba odnieść osobliwe wrażenie o współczesnej literaturze niemieckiej. Z rozbawieniem wspominam owe przedpołudnia, kiedy w pocie czoła kończyłem galopem jakąś książkę i pisałem o niej kilka słów, aby mieć ją gotową na południe i otrzymać coś do zjedzenia. Przed Ryszardem próbowałem starannie ukryć moje kłopoty, nie wiadomo dlaczego bowiem wstydzilem się ich i z jego pomocy korzystałem tylko niechętnie i jedynie na bardzo krótko.

Nie uważałem siebie za prawdziwego pisarza. To, co czasami pisywałem, było felietonem, nie literaturą. Ale nosiłem się z tajoną nadzieją, że pewnego dnia dane mi będzie stworzyć poemat, jakąś wielką, śmiałą pieśń tęsknoty i życia.

Pogodnie jasne zwierciadło mej duszy zacieśniało niekiedy coś w rodzaju melancholii, ale na razie nie zaćmiewało go poważnie. Melancholia ta trwała czasem przez jeden dzień lub jedną noc, objawiając się rozmarzonym, samotniczym smutkiem, potem znikwała bez śladu i wracała po tygodniach albo miesiącach. Z czasem przywykłem do niej jak do zaufanej przyjaciółki i nie odczuwałem męki, tylko niespokojne znużenie, nie pozbawione swoistej słodyczy. Gdy nachodziła mnie nocą, zamiast spać, wyglądałem godzinami oknem, patrząc na czarne jezioro, na rysujące się na bladym niebie sylwetki gór i piękne gwiazdy ponad nimi. Wówczas ogarniało mnie często lęklivé błogie, silne uczucie, jakoby całe to nocne piękno spoglądało na mnie ze słusznym wyrzutem. Jakoby gwiazdy, góry i jezioro tęskniły za kimś, kto zrozumiałby piękno i cierpienie ich niemego bytowania i wyraził je słowami, oraz jakobym ja był tym jedynym, a moim prawdziwym powołaniem było oddać piękno przyrody w poezji. W jaki sposób miało się to stać, nigdy nad tym nie rozmyślałem, czułem jedynie, że piękna, poważna noc oczekuje mnie niecierpliwie, milcząco mnie wzywając. Nie pisałem nigdy w takim nastroju. Ale poczuwałem się do jakiejś odpowiedzialności względem owych mrocznych głosów i zwykle po takich nocach ruszałem na kilkudniowe, samotne piesze wędrówki. Wydawało mi się, że w ten sposób mogę ziemi, ofiarowującej mi się w niemych błaganiu, okazać trochę miłości, z czego się potem znowu



sam śmiałem. Te wędrówki stały się podstawą mego dalszego życia; dużą bowiem część późniejszych lat spędziłem na tygodniowych i miesięcznych wędrówkach po kilku krajach. Przywykłem do dalekich marszów z niewielką ilością pieniędzy i kawałkiem chleba w kieszeni, przyzwyczailem się przebywać całymi dniami samotnie w drodze i często nocować pod gołym niebem.

Piszząc, zupełnie zapomniałem o malarce. Wtem nadeszła karteczka od niej: „Kilkoro przyjaciół i przyjaciółek będzie u mnie w czwartek na herbatce. Proszę też przyjść i przyprowadzić swojego przyjaciela. ”

Wybraliśmy się i zastaliśmy małe artystyczne kółko. Prawie sami artyści nieznani, zapomniani, bez sukcesów – było w tym coś wzruszającego, choć wszyscy wydawali się całkiem zadowoleni i weseli. Goście dostali herbatę, chleb z masłem, szynkę i sałatkę. Ponieważ nie zastałem nikogo znajomego i w ogóle nie byłem rozmowny, pofolgowałem głodowi i przez jakieś pół godziny jadłem cicho i wytrwale, gdy tamci popijali tymczasem herbatę i gadali. Kiedy potem jeden po drugim także chciał się poczęstować, okazało się, że ja sam zjadłem prawie cały zapas szynki. Byłem przekonany, że co najmniej jeszcze jeden półmisek znajduje się w rezerwie. Ponieważ uśmiechano się teraz ukradkiem i dostało mi się kilka ironiczných spojrzeń, zezłościłem się i przekląłem Włoszkę razem z jej szynką. Wstałem, usprawiedliwiłem się krótko przed nią, oświadczając, że kiedy indziej przyniosę własną kolację ze sobą, i sięgnąłem po

kapelusz.

Wtedy panna Aglietti wyjęła mi go z ręki i spojrzawszy na mnie ze spokojnym zdziwieniem, prosiła serdecznie, nie zdawkowo, żebym został. Na jej twarz padało światło stojącej lampy, przyćmionej tiulowym abażurem, i mimo rozdrażnienia dostrzegłem nagle i zrozumiałem cudowną, dojrzałą piękność tej kobiety.

W jednej chwili wydałem się sobie bardzo niegrzeczny i głupi, i jak skarcony uczeń usiadłem w odosobnionym kącie. Nie ruszyłem się już stamtąd i wertowałem jakiś album z widokami jeziora Como. Inni popijali herbatę, kręcili się tu i tam, śmiali się i mówili jeden przez drugiego, a gdzieś z głębi dochodziło strojenie skrzypiec i wiolonczeli. Ktoś odsunął kotarę i przed zaimprovizowanymi pulpitemi ujrzeliśmy czterech młodych ludzi, gotowych do wykonania kwartetu smyczkowego. W tym momencie malarka podeszła do mnie, postawiła przede mną na stoliku filiżankę herbaty i usiadła obok z dobrotliwym skinieniem głowy. Kwartet zaczął grać i grał długo, ale ja nic z tej muzyki nie słyszałem, tylko pochłaniałem oczyma smukłą, wytworną, pięknie ubraną damę, o której urodzie wątpiłem, lecz której zjadłem zapasy. Z radością i przestraciem przypominałem sobie, że chciała mnie rysować. Potem pomyślałem o Rosi Girtanner, o wyprawie na turnie po róże alpejskie, o historii Królowy Śniegu. Wszystko to wydawało mi się teraz jedynie przygotowaniem do dzisiejszego wieczoru.

Kiedy muzyka się skończyła, malarka nie odeszła, jak się obawiałem, lecz została przy mnie i zaczęła ze mną rozmawiać. Pogratulowała mi noweli, którą czytała w gazecie. Żartowała z obstąpionego przez kilka młodych panien Ryszarda, którego niefrasobliwy śmiech wybijał się chwilami ponad wszystkie inne głosy. Potem ponownie spytała, czy może mnie rysować. Wtedy nasunął mi się pewien pomysł. Bez jakiegokolwiek przejścia poprowadziłem rozmowę dalej po włosku, za co nie tylko obdarzony zostałem radośnie zaskoczonym spojrzeniem jej żywych południowych oczu, ale jeszcze miałem tę wielką przyjemność, że usłyszałem ją mówiącą swoim językiem, językiem odpowiadającym jej ustom, oczom i całej postaci – dźwięczną, elegancką i potoczystą *lingua toscana* z czarującym lekkim nalotem narzecza Tessinu. Ja sam nie mówiłem ani ładnie, ani płynnie, ale bynajmniej mnie to nie peszyło. Miałem przyjść nazajutrz, aby jej pozować.

– *Arivederci!* – powiedziałem przy pożegnaniu i ukłoniłem się tak nisko, jak tylko umiałem.

– *Arivederci domani!* [ Do zobaczenia jutro! (wł.)] – skinęła głową z uśmiechem.

Od jej domu szedłem coraz dalej, za miasto, aż gościniec dotarł do grzbietu górskiego i nagle roztoczył się przede mną ciemny kraj, spoczywający w piękności nocy. Jakaś samotna łódka z czerwoną latarnią sunęła przez jezioro, rzucając kilka migotliwych szkarłatnych smug na czarną wodę, z której jedynie tu i ówdzie

odosobniona, wąska grzywa fali wyłaniała się cienkim srebrnobladym zarysem. Z pobliskiego ogrodu dochodziły dźwięki mandoliny i śmiechy. Niebo było prawie do połowy zachmurzone, a nad wzgórzami wiał mocny, ciepły wiatr.

I jak wiatr pieścił, wicherzył i gwałcił konary drzew owocowych i czarne korony kasztanów, że jęczały, śmiały się i drżały, tak samo igrała ze mną namiętność. Na szczycie wzgórza ukląknęłam, położyłam się na ziemi, potem zerwałam się, jęcząc, tupałam o ziemię, rzucałam kapeluszem, wciskałam twarz w trawę, potrząsałam drzewami, płakałam, śmiałam się, szlochałam, wstydziałam się, byłam szczęśliwy i śmiertelnie zatrwożony. Po godzinie wszystko we mnie zgasło i zamarło w mrocznej duchocie. Nie myślałam o niczym, nie postanowiłam niczego, nie czułam nic. Jak lunatyk zszedłam ze wzgórza, powąłęsałam się po mieście, w jakiejś uliczce na uboczu zobaczyłam mały szynk, otwarty jeszcze o tak późnej porze, wstąpiłam doń bezwolnie, wypiliśmy dwa litry waadtlandera i wróciłam nad ranem straszliwie pijany do domu.

Na drugi dzień po południu panna Aglietti przestraszyła się, gdy do niej przyszedłam.

– Co się z panem dzieje? Czy pan chory? Przecież pan strasznie wygląda!

– Nic ważnego – odpowiedziałam. – Zdaje mi się, że dziś w nocy byłam bardzo pijany, to wszystko. Proszę, niech pani zaczyna.

Posadziła mnie na krześle i poprosiła, abym się nie ruszał. Tak też uczyniłem, bo wkrótce usnąłem i przespałem całe popołudnie w pracowni. Prawdopodobnie skutkiem unoszącego się w niej zapachu terpentyny śniło mi się, że maluje się nasze czółno w domu. Leżałem obok na żwirze i widziałem, jak ojciec krząta się z garnkiem i pędzlem; również matka tam była, a kiedy ją zapytałem, czy nie umarła – powiedziała cicho: „Nie, bo gdyby mnie tu nie było, stałbyś się w końcu takim samym hulaką jak twój ojciec. ”

Gdy się obudziłem, spadłem z krzesła i spostrzegłem ze zdziwieniem, że znajduję się w pracowni Erminii Aglietti. Jej samej nie widziałem, ale słyszałem ją, jak w sąsiednim pokoiku pobrzękiwała filizankami i łyżeczkami, i wywnioskowałem stąd, że widocznie już pora kolacji.

– Czy pan się obudził? – zawołała.

– Tak jest. Długo spałem?

– Cztery godziny. Czy panu nie wstyd?

– Owszem. Ale miałem taki ładny sen!

– Niech pan opowie.

– Owszem, jeśli pani przyjdzie i mi przebaczy.

Przyszła, ale z przebaczeniem chciała jeszcze poczekać, aż opowiem jej mój sen. Opisałem go zatem i w toku opowiadania cofnąłem się daleko w zapomniane, dawne czasy, a kiedy umilkłem i ściemniło się już zupełnie, opowiedziałem jej i sobie samemu dzieje całego mego dzieciństwa. Podała mi rękę i wyglądając pomietą marynarkę, poprosiła, abym jutro znowu przyszedł na

rysowanie, a ja czułem, że zrozumiała także i wybaczyła moją dzisiejszą niegrzeczność.

W następnych dniach pozowałem jej przez wiele godzin. Nie mówiliśmy prawie nic do siebie. Siedziałem albo stałem spokojnie jak zaczarowany, słuchałem miękkiego chrzęstu węgla rysowniczego, wchłaniałem lekki zapach farb olejnych i nie czułem nic prócz tego, że jestem blisko ukochanej kobiety i nieustannie czuję na sobie jej wzrok. Białe światło zalewało ściany pracowni, kilka sennych much brzęczało na szybach, a w pokoiku obok nucił płomyk spirytusowy, gdyż po każdym pozowaniu częstowała mnie filiżanką kawy.

W domu dużo rozmyślałem o Erminii. Fakt, że nie mogłem wielbić jej sztuki, bynajmniej nie zmniejszał mojej namiętności. Ona sama była piękna, dobra, jasna i niezachwiana – co mnie obchodziły jej obrazy? Raczej dopatrywałem się w jej wytrwałej pracy czegoś heroicznego: kobieta w walce o byt, cicha męczennica, niezłomna bohaterka. Zresztą nie ma nic bardziej bezowocnego od rozmyślań nad kimś, kogo się kocha. Tego rodzaju medytacje przypominają niektóre piosenki ludowe i żołnierskie, gdzie zdarza się tysiąc rozmaitych rzeczy, ale uparcie powraca ten sam refren, choć w danej chwili zupełnie nieodpowiedni.

Obraz pięknej Włoszki tkwi więc w mej pamięci, jasny wprawdzie, ale bez tych licznych drobnych linii i rysów, które w obcych ludziach dostrzega się nieraz o wiele lepiej niż u bliskich. Nie pamiętam już, jak się czesała, jak

się ubierała i tak dalej, nawet nie pamiętam, czy była wysoka, czy niska. Gdy pomyślę o niej, widzę szlachetnie uformowaną głowę kobiecą o ciemnych włosach, niezbyt duże oczy o bystrym spojrzeniu w bladej, ruchliwej twarzy i skończenie pięknie zarysowane, wąskie usta o cierpkiej dojrzałości. Gdy pomyślę o niej i o całym owym okresie zakochania, przypominam sobie zawsze tylko ów wieczór na wzgórzu, gdzie falował ciepły wiatr od jeziora i gdzie płakałem, radowałem się i szalałem. A także inny wieczór, o którym zaraz opowiem.

Zdałem sobie sprawę, że powinienem malarce złożyć jakieś wyznanie i starać się ją zdobyć. Gdyby była daleko ode mnie, byłbym ją spokojnie dalej adorował i cierpiał w milczeniu. Ale widywać ją niemal codziennie, rozmawiać z nią, podawać jej rękę i bywać w jej domu, stale z cierniem w sercu – tego długo nie wytrzymałem.

Artyści i ich przyjaciele urządzali małą zabawę w pełni lata. Zabawa odbywała się w pewien łagodny wieczór w pięknym ogrodzie nad jeziorem. Piliśmy wino i wódkę z lodem, słuchaliśmy muzyki i przyglądaliśmy się czerwonym lampionom zawieszonym w długich girlandach pomiędzy drzewami. Goście rozmawiali, żartowali, śmiali się i wreszcie zaczęli śpiewać. Jakiś młody malarzyna odgrywał romantyka; miał zawadiacki beret, wyciągnął się na wznak wzdłuż balustrady i bawił długoszyją gitarą. Kilku znaczniejszych artystów albo nie przybyło, albo siedzieli oni wśród starszych na uboczu. Z kobiet kilka młodszych przyszło w jasnych sukienkach

letnich, reszta zaś była w zwykłych, niedbałych strojach. Szczególnie raziła mnie pewna starsza, brzydka studentka: nosiła męski kapelusz słomkowy na źle ostrzyżonych włosach, paliła cygara, piła sporo wina i mówiła głośno i dużo. Ryszard jak zwykle przebywał wśród młodych dziewcząt. Ja mimo całego podniecenia byłem opanowany, piłem mało i czekałem na Erminię Aglietti, która obiecała, że wypłynie dziś ze mną łódką na jezioro. Przyszła w istocie, podarowała mi kilka kwiatów i wsiedliśmy do małego czółna.

Jezioro było nocą gładkie jak oliwa i bezbarwne. Szybko pchnąłem lekkie czółno daleko na cichą toń, widząc ciągle naprzeciw siebie smukłą kobietę, opartą wygodnie i z zadowoleniem przy sterze. Wysokie niebo było jeszcze szafirowe i zakwitało powoli pojedynczymi matowymi gwiazdami. Na brzegu tu i tam rozlegały się dźwięki muzyki i odgłosy zabaw ogrodowych. Ospała woda przyjmowała wiosła z cichym bulgotem, gdzieś tam płynęły inne łódki, ciemne, ledwo widoczne na spokojnej tafli, ale ja mało na nie zwracałem uwagi, tylko wpiłem się oczami w sterniczkę, nosząc moje zamierzone oświadczenia miłosne jak ciężką żelazną obręcz wokoło niespokojnego serca. Piękno i poezja tej wieczornej scenerii, jazda czółnem, gwiazdy, ciepłe, spokojne jezioro, wszystko to napełniało mnie trwogą, ponieważ przypominało ładną dekorację teatralną, na której śródkiem mam odegrać sentymentalną rolę. Zalekły, onieśmielony głęboką ciszą – gdyż milczeliśmy oboje –



wiosłowałem co sił.

– Jaki pan mocny! – odezwała się malarka zamyślona.

– Chce pani powiedzieć: gruby? – zapytałem.

– Nie, mam na myśli mięśnie – zaśmiała się.

– Owszem, silny to jestem.

To nie był odpowiedni wstęp. Zasmucony i zirytowany wiosłowałem dalej. Po chwili poprosiłem ją, aby mi coś opowiedziała o swoim życiu.

– A co by pan chciał usłyszeć?

– Wszystko – powiedziałem. – Najchętniej jakąś miłosną historię. Wtedy opowiem pani także moją, jedyną zresztą. Jest bardzo krótka i ładna i zabawi panią.

– Co pan mówi? Niechże pan opowie!

– Nie, najpierw pani. Pani i tak już wie dużo więcej o mnie niż ja o pani. Chciałbym wiedzieć, czy pani była kiedyś prawdziwie zakochana, czy też, jak się obawiam, jest pani na to o wiele za mądra i za dumna.

Erminia zastanowiła się chwilę.

– To znowu jeden z tych pańskich romantycznych pomysłów – powiedziała – kazać kobiecie w nocy opowiadać miłosne historie na tych czarnych wodach. Ale ja tego niestety nie umiem. Wy, poeci, przyzwyczajeni jesteście wszystko, co ładne, wyrażać słowami, a tych, którzy mniej mówią o swoich uczuciach, posadzacie od razu o brak serca. Co do mnie, omylił się pan, bo nie sędzę, by można było kochać goręcej i głębiej niż ja. Kocham człowieka, który jest związany z inną kobietą, I on kocha mnie również. Jednak oboje nie wiemy, czy

dane nam będzie kiedykolwiek połączyć się ze sobą. Pisujemy do siebie, spotykamy się też niekiedy...

– Wolno zapytać, czy panią ta miłość uszczęśliwia, czy przyprawia o rozpacz, czy też jedno i drugie?

– Ach, miłość nie po to jest na świecie, by nas uszczęśliwiać. Myślę, że jest po to, aby nam pokazać, jak silni potrafimy być w cierpieniu i dźwiganiu brzemienia.

Znałem to i nie mogłem zapobiec, że zamiast odpowiedzi wydobył się z moich ust jakby jęk.

Usłyszała go.

– Ach – powiedziała – pan to też już zna? Pan przecież jest jeszcze taki młody! Teraz więc niech się pan wypowiedzi. Ale tylko jeśli pan ma naprawdę ochotę...

– Może kiedy indziej, panno Erminio. Już i tak czuję się dzisiaj jakoś markotno i przykro mi, że może pani także zepsułem nastrój. Czy zawrócimy?

– Jak pan chce. Jak daleko właściwie ujechaliśmy?

Nie odpowiedziałem wparłem wiosła z szumem w wodę, zawróciłem i wiosłowałem, jakby się zbliżała burza. Łódka mknęła szybko po powierzchni wody i w całej tej zawierusze żalu i wstydu, kotłującej się we mnie, czułem, jak pot wielkimi kroplami spływa mi po twarzy, a równocześnie było mi zimno. Gdy w dodatku pomyślałem o tym, jak bliski byłem odegrania roli klęczącego adoratora, którego odprawia się z macierzyńską życzliwością, dreszcz przenikał mnie do szpiku kości. Przynajmniej to zostało mi oszczędzone, a z resztą żalosnych uczuć należało się jakoś uporać. Jak opętany

wiosłowałem w stronę domu.

Piękna pani wydawała się z lekka zaskoczona, kiedy przy brzegu pożegnałem się krótko i zostawiłem ją samą.

Jeziro było tak gładkie, muzyka tak wesoła i papierowe latarnie tak świątecznie czerwone jak przedtem, ale mnie wydawało się to wszystko teraz głupie i śmieszne. Zwłaszcza muzyka. Malarzynę w aksamitnej kurtce, który ciągle jeszcze obnosił się chełpliwie ze swoją gitarą na szerokiej jedwabnej wstędze, byłbym najchętniej rozgniół na miazgę. A jeszcze czekały nas sztuczne ognie! Co za dziecinada!

Pożyczyłem od Ryszarda kilka franków, zsunąłem kapelusz na tył głowy i wyruszyłem za miasto; maszerowałem coraz dalej, mijała godzina za godziną, aż mi się spać zachciało. Położyłem się na łące, ale po godzinie obudziłem się znowu, mokry od rosy, sztywny i przemarznięty, i udałem się do najbliższej wioski. Był wczesny ranek. Kosiarze koniczyny szli zakurzoną uliczką, rozespani fornale gapili się u wrót stajennych, z każdego kąta wyzierała pracowitość wiejskiego lata. „Powinieneś być pozostać chłopem” – mówiłem sobie, przemykając się zawstydzony przez wieś, i zmęczony biegłem dalej, dopóki mi pierwsze ciepło słońca nie zezwoliło na spoczynek. Na skraju młodego zagajnika bukowego rzuciłem się na wyschniętą trawę i spałem w ciepłym słońcu aż do późnego popołudnia. Kiedy się obudziłem z głową pełną zapachu łąk i ciałem tak błogo ocieżałym, jak zdarza się to tylko po długim leżeniu na

kochanej, boskiej ziemi, cały festyn, przejażdżka łódką i wszystko inne wydawało mi się dalekie, smutne i przebrzmiałe jak czytana przed miesiącami powieść.

Przez trzy dni nie wracałem. Wygrzewałem się na słońcu i zastanawiałem się, czyby nie powędrować aż do domu i nie pomóc ojcu przy drugich sianokosach.

Oczywiście wszystko to jeszcze nie ukoło bólu. Po moim powrocie do miasta początkowo unikałem jak zarazy spotkania z malarką, ale nie udawało się to na dłuższą metę, i ile razy później spojrzała i przemówiła do mnie, żal ścisnął mi gardło.

## Rozdział 4

Co nie udało się swego czasu memu ojcu, to zdziałała teraz udręka miłosna. Zrobiła ze mnie pijaka.

Na moje życie i charakter wpłynęło to silniej niż cokolwiek innego z dotychczas opowiedzianych przeżyć. Mocny, słodki bożek stał się moim wiernym przyjacielem i pozostaje nim do dzisiejszego dnia. Kto jest tak możny jak on? Kto jest tak piękny, tak fantastyczny, rozmarzony, pogodny, a melancholijny? Jest bohaterem i czarodziejem. Uwodzicielem i bratem Erosa. Potrafi dokonać rzeczy niemożliwych; biedne serce ludzkie napełnia pięknymi i dziwnymi poezjami. Mnie, odludka i wieśniaka, przemienił w króla, poetę i mędrca. Opustoszałe łódki życia napełnia nowymi losami i spycha rozbitków z powrotem w szybki nurt wielkiego życia.

Takie jest wino. Wszelako rzecz ma się z nim tak jak ze wszystkimi cudownymi łaskami i sztukami. Słodki bożek pragnie być kochany, poszukiwany, rozumiany i z trudem zdobywany. Nieliczni to umieją, a on uśmierca setki i tysiące. Postarza ich, zabija lub gasi w nich płomień ducha. Swoich ulubieńców zaprasza jednak na biesiady i wznosi tęczowe mosty ku wyspom szczęśliwym. Gdy są zmęczeni, podkłada im poduszkę pod głowę, a gdy padną ofiarą smutku, obejmuje ich delikatnym, czułym uściskiem jak przyjaciel i jak pocieszająca dziecię matka. Przemienia zamęt życia w wielką legendę i gra na

potężnej harfie pieśń stworzenia.

To znów jest dzieckiem, ma długie, jedwabiste loki, wąskie barki i delikatne ręce. Przytula się do twego serca i wznosząc szczupłą twarz, spogląda na ciebie, zdziwiony i rozmarzony, miłymi, dużymi oczami – w ich głębi wspomnienie rajy i niezatraconego bożego dzieciństwa faluje wilgotne i pełne blasku jak źródło tryskające w lecie.

Wino przypomina także głęboką rzekę, wędrującą z szumem przez wiosenną noc. I przypomina morze, kołyszące na chłodnej fali słońce i wicher.

Gdy rozmawia ze swymi faworytami, zalewa ich porywista burzliwa fala, morze tajemnic, wspomnień, poezji, przeczuć. Znajomy świat maleje, niknie, a dusza z lękliwą radością rzuca się w bezdrożną dal nieznanego, gdzie wszystko jest obce, a zarazem swojskie i gdzie przemawia język muzyki, poezji i marzenia.

Najpierw jednak muszę wrócić do opowieści.

Zdarzało się, że godzinami potrafiłem być niefrasobliwie wesoły, że studiowałem, pisałem i słuchałem muzyki Ryszarda, ale ani jeden dzień nie minął całkowicie bez bólu. Czasami nawiedzał mnie dopiero nocą w łóżku, tak że zwijałem się w jęku i zasypiałem późno wśród łez. Albo budził się po spotkaniu z Erminią Aglietti. Przeważnie jednak nadchodził późnym popołudniem, kiedy zbliżały się piękne, łagodne, znużone wieczory lata. Wtedy szedłem nad jezioro, brałem łódkę, wiosłowałem, aż się zgrzałem i zmęczyłem, po czym

powrót do domu wydawał mi się niemożliwy. Szedłem więc do szynku albo do ogródka jakiejś gospody. Próbowałem tam rozmaitych win, piłem i dumałem, i bywałem często na drugi dzień na wpół chory. Dziesiątki razy ogarniało mnie przy tym uczucie tak ohydnej żalości i obrzydzenia, że postanawiałem nigdy już nie pić. Ale potem znowu szedłem i piłem. Z czasem nauczyłem się odróżniać wina i ich działanie i rozkoszowałem się nimi do pewnego stopnia świadomie, choć jeszcze dość naiwnie i prostacko. W końcu zasmakowałem w czerwonym veltlinerze. Przy pierwszej szklance miał dla mnie smak cierpki i podniecający, potem mącił mi myśli aż do stanu cichego, nieprzerwanego rozmarzenia, a następnie zaczynał czarować, tworzyć, snuć poematy. Wtedy wszystkie krajobrazy, jakie mi się kiedykolwiek podobały, widywałem w jakichś wspaniałych oświetleniach, a ja sam wędrowałem wśród nich, śpiewałem, marzyłem i czułem, jak krąży we mnie wzmożone, ciepłe życie. Kończyło się to nad wyraz przyjemnym smutkiem, jak gdybym słyszał piosenki ludowe grane na skrzypcach i jak gdybym wiedział, że gdzieś jest wielkie szczęście, które ominąłem i utraciłem.

Jakoś się tak złożyło, że z biegiem czasu coraz rzadziej piłem sam, znajdując sobie przeróżne towarzystwo.

Gdy byłem otoczony ludźmi, wino działało na mnie inaczej. Stawałem się rozmowny, ale nie podniecony, czułem tylko chłodną, osobliwą gorączkę. Jakaś mnie samemu ledwie znana strona mego charakteru rozkwitała

ni stąd, ni zowąd, nie należała jednak do ozdobnych kwiatów ogrodu, raczej do gatunku ostów i pokrzyw. Równocześnie bowiem z elokwencją ogarniał mnie bystry chłód; czyniąc mnie pewnym siebie, wyniosłym, krytycznym i dowcipnym. Gdy trafiałem na ludzi, których obecność raziła mnie, przedrzeźniałem ich i złościłem, to subtelnie i ścichapek, to ordynarnie i uporczywie, tak długo, póki nie odeszli. Ludzi w ogóle od dzieciennych lat nie lubiłem zbytnio i nie byli mi potrzebni, a teraz zacząłem im się przyglądać krytycznym i ironicznym okiem. Ze szczególnym zamiłowaniem wymyślałem i opowiadałem krótkie historyjki, w których bez litości i z pozornym obiektywizmem przedstawiałem w satyrze stosunki między ludźmi, gorzko je wyszydając. Sam nie wiedziałem, skąd mi się wziął taki pogardliwy ton; trysnął z mego charakteru jak dojrzewający wrzód, którego długo nie mogłem się pozbyć.

Gdy znów zdarzyło mi się przesiedzieć wieczór samotnie, marzyłem o górach, gwiazdach i smutnej muzyce.

W owych tygodniach napisałem wiele uwag o społeczeństwie, kulturze i sztuce naszej epoki, małą zjadliwą książeczkę, której podłożem były rozmowy w knajpie. Z moich dość pilnie kontynuowanych studiów historycznych powstawały różne przyczynki do epoki, co dawało satyrom rodzaj solidnego oparcia.

Na podstawie tej pracy otrzymałem w pewnej większej redakcji stanowisko stałego współpracownika, z czego



mogłem nieomal wyżyć. Wkrótce potem wyszły także owe szkice jako samodzielny tomik i miały niejaki powodzenie. Wtedy ostatecznie rzuciłem filologię. Znajdowałem się już teraz w wyższych rejonach. Nawiązywały się kontakty z niemieckimi pismami, wynosząc mnie z dotychczasowego ukrycia i biedoty do rzędu pisarzy uznawanych. Zarabiałem na siebie, zrezygnowałem z uciążliwego stypendium i na pełnych żaglach zdążyłem ku mizernemu życiu zawodowego pisarzyny.

Pomimo sukcesów i próżności, pomimo satyr i cierpień miłosnych unosiła się nade mną pełna pogody i melancholii ciepła aura młodości. Pomimo całej ironii i odrobiny nieszkodliwego zblazowania zawsze widziałem przed sobą w marzeniach jakiś cel i szczęście, jakieś spełnienie. Co by nim miało być, nie wiedziałem. Czułem tylko, że życie musi mi kiedyś rzucić pod stopy szczególnie roześmiane szczęście – sławę, może miłość, zaspokojenie tęsknoty, wywyższenie mej osoby. Byłem jeszcze paziem, który śnił o szlachetnych paniach, o pasowaniu na rycerza i wielkich splendorach.

Zdawało mi się, że stoję na początku drogi, zdążającej wzwyż. Nie wiedziałem, że wszystkie dotychczasowe doświadczenia były tylko przypadkami i że mojemu charakterowi i życiu brak jeszcze głębokiego, własnego tonu. Jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że trawi mnie tęsknota, dla której ani miłość, ani sława nie stanowią granicy ziszczenia.

Tak więc z całą ochotą młodości rozkoszowałem się moją małą, nieco cierpką sławą. Miło mi było siedzieć przy dobrym winie wśród mądrych, ruchliwych umysłów i widzieć, jak zwracają się ku mnie, gdy zaczynam mówić, z zaciekawieniem i uwagą.

Czasami dostrzegałem, jak wielka tęsknota woła w tych wszystkich współczesnych duszach o wyzwolenie i jak przedziwnymi drogami je prowadzi. Wierzyć w Boga uchodziło za głupie i niemalże nieprzyzwoite, wierzone natomiast w najróżniejsze nauki i nazwiska, w Schopenhauera, w Budę, w Zaratustrę i wielu innych. Bywali młodzi, bezimienni poeci, którzy w stylowych mieszkaniach odprawiali nabożeństwa przed posągami i obrazami. Wstydziliby się pochylić przed Bogiem, ale padali na kolana przed Zeusem z Otrikoli. Bywali asceci, którzy zadreęczali się umartwieniami, a ich strój wołał o pomstę do nieba. Ich bożek zwał się Tołstoj albo Budda. Bywali artyści, którzy dobrze obmyślanymi i stonowanymi tapetami, muzyką, potrawami, winami, perfumą albo cygarami wprowadzali się w niecodzienne nastroje. Rozprawiali wymownie i z udaną szczerością o muzycznych liniach, akordach barw i podobnych sprawach i wszędzie polowali na „osobistą nutę”, polegającą przeważnie na jakimś drobnym, nieszkodliwym złudzeniu czy wariactwie. W gruncie rzeczy cała ta wymuszona komedia bawiła mnie i śmieszyła, jednak nieraz czułem z osobliwą grozą, ile poważnej tęsknoty i szczerego talentu płonęło w tym,

spalając się na popiół.

Z całego tego fantastycznego korowodu nowomodnych poetów, artystów i filozofów, których wówczas ze zdumieniem i przyjemnością poznałem, nie mogę wymienić nikogo, kto by się wybił. Był wśród nich pewien równy mi wiekiem Niemiec z północy, natura pełna wdzięku i subtelności, człowiek miły, delikatny i wrażliwy na wszystko, co miało jakikolwiek związek ze sztuką. Wróżono mu wielką poetycką sławę i parokrotnie słyszałem jego wiersze, które zostały mi w pamięci jako coś niezmiernie subtelnego, o uduchowionym pięknie. Może z niego jedynego wśród nas mógł wyrósć prawdziwy poeta. Przypadkiem dowiedziałem się później jego krótkich dziejów. Zrażony jakimś literackim niepowodzeniem, przewrażliwiony, wycofał się z życia publicznego i wpadł w ręce nikczemnego mecenasa, który, zamiast go zachęcić i sprowadzić znowu na drogę rozsądku, szybko do reszty go zniszczył. W willach tego bogacza uprawiał z jego przeczulonymi damami estetyczne gadulstwo, urastając w swej wyobraźni do roli zapoznanego bohatera. Schodząc na beznadziejne manowce i karmiąc się wyłącznie muzyką Chopina i prerafaelickimi ekstazami, pozbawił się pomału rozumu.

Ową niewypierzoną zgrają osobliwie odzianych i uczesanych poetów oraz pięknoduchów przypominam sobie ze zgrozą i politowaniem, ponieważ dopiero później dostrzegłem niebezpieczeństwo tego towarzystwa. Moja góralska, chłopska natura uchroniła mnie jednak przed

udziałem w tym rozwichrzeniu.

Szlachetniejsza i bardziej uszczęśliwiająca od sławy i wina, od miłości i mądrości była moja przyjaźń. To ona, tylko ona rozruszała mą wrodzoną ociężałość i zachowała mym młodym latom nieskażoną świeżość i rumieńce jutrzeńki. Również dziś nie znam nic doskonalszego na świecie nad uczciwą, rzetelną przyjaźń między mężczyznami, a gdy mnie czasem w dni rozpamiętywań ogarnia coś jakby nostalgia za młodością, chodzi mi wtedy jedynie o przyjaźń studencką.

Od czasu zakochania się w Erminii zaniedbałem nieco Ryszarda. Z początku działało się to nieświadomie, ale po kilku tygodniach odezwało się sumienie. Wypowiadałem mu się, on wyznał mi, że z żalem widział zbliżające się i rosnące nieszczęście, a ja od nowa przystałem do niego serdecznie i zazdrośnie. Wszystko, co sobie wtedy przyswoiłem z owych lekkich, swobodnych umiejętności życiowych, zawdzięczam jemu. Był pogodny i piękny na ciele i duszy, a życie zdawało się nie mieć dla niego cieni. Mądry i bystry, dobrze znał namiętności i błędy epoki, ale one ześlizgiwały się po nim, nie wyrządzając mu szkody. Chód, mowa, cała jego istota były sprężyste, harmonijne i godne kochania. A jak umiał się śmiać!

Dla moich studiów nad winem okazywał mało zrozumienia. Czasem towarzyszył mi, ale po dwóch szklankach dawał za wygraną i z naiwnym zdumieniem spoglądał na moją znacznie większą zdolność konsumpcyjną. Lecz kiedy widział, że cierpię, bezsilnie

ulegając melancholii, grał mi na fortepianie, czytał lub prowadził na przechadzkę. W czasie naszych krótkich wycieczek często dokazywaliśmy jak dwaj mali chłopcy. Pewnego razu w ciepłe południe odpoczywaliśmy w leśnej dolinie, obrzucaliśmy się szyszkami i pod sentymentalne melodie śpiewaliśmy kuplety z *Cnotliwej Heleny*. [ *Fromme Helene* Wilhelma Buscha.] Wartki, czysty potok wabił nas tak długo swym chłodnym szmerem, aż rozebraliśmy się i położyli w zimnej wodzie. Wtedy Ryszardowi strzeliło do głowy zabawić się w teatr. Usiadł na omszałej skale i przedstawiał Lorelei, a ja na dole byłem żeglarzem w kruchej łódce. Wyglądał przy tym tak dziewiczo wstydliwie i stroił takie miny, że ja, zamiast udawać dziką rozpacz, pokładałem się po prostu ze śmiechu. Nagle rozległy się głosy, na ścieżce pojawili się turyści i w naszej nagości musieliśmy się czym prędzej ukryć pod wymytnym przez wodę, nawisającym brzegiem. Kiedy niczego nie przeczuwające towarzystwo mijało nas, Ryszard zaczął wydawać rozmaite dziwne odgłosy: chrząkał, kwiczał, fukał. Turyści zatrzymali się zaskoczeni, rozejrzeli się, wpatrywali w wodę i niewiele brakowało, a byliby nas odkryli. Wtedy mój przyjaciel wyłonił się do połowy ciała ze swej kryjówki, spojrzał na zgorszzone towarzystwo i rzekł głębokim głosem, z gestem kaznodziei:

– Odejdźcie w pokoju!

Natychmiast zniknął znowu i uszczypnąwszy mnie w ramię, powiedział:

– To była żywa szarada.

– Jaka szarada? – zapytałem.

– Bożek Pan przestraszył kilku pasterzy – śmiał się. – Ale niestety były wśród nich także kobiety.

Mało zwracał uwagi na moje historyczne studia. Szybko jednak zaczął podzielać moje niemal egzaltowane uwielbienie dla świętego Franciszka z Asyżu, choć niekiedy nawet z niego umiał stroić żarty, które mnie oburzały. Widzieliśmy świętego Cierpiętnika, jak wędruje z życzliwym entuzjazmem i w pogodzie ducha niby sympatyczne duże dziecko po umbryjskiej krainie, radując się swoim Bogiem i pełen pokornej miłości do wszystkich ludzi. Razem czytaliśmy jego nieśmiertelny hymn do słońca i umieliśmy go prawie na pamięć. Kiedyś, gdy statkiem wracaliśmy z przejażdżki po jeziorze i wieczorny wiatr marszczył złocistą wodę, Ryszard zapytał cicho: – Słuchaj, jak święty w tym miejscu mówi? A ja zacytowałem:

Laudato si, Misignore, perfrate vento  
e per aere e nubilo e sereno et onne tempo!

[Pochwalony bądź, Panie, przez brata naszego, wiatr, I przez powietrze i czas pochmurny i pogodny, i wszelki... (Św. Franciszek z Asyżu, *Pochwała stworzenia*, przekład Leopolda Staffa.)]

Gdy kłóciliśmy się, mówiąc sobie przykre słowa, Ryszard zwyczajem sztubaków obrzucał mnie zawsze półzartem takim stekiem zabawnych przezwisk, że rychło musiałem się roześmiać, przez co sprzeczka od razu traciła swą ostrość. Stosunkowo poważny bywał mój

drogi przyjaciel tylko wtedy, kiedy słuchał lub grał swoich ulubionych kompozytorów. Jednak nawet wtedy potrafił oderwać się od tematu, aby zrobić kawę. Mimo to miłość jego do sztuki była czysta, serdeczna i oddana, a wyczucie prawdziwych i istotnych wartości zdawało mi się nieomyślne.

Cudownie znał się na subtelnej, delikatnej sztuce pocieszania, całym sobą umiał współczuć lub rozweselać, gdy któryś z przyjaciół cierpiał. Jeśli zastawał mnie nie w humorze, potrafił opowiadać mnóstwo krótkich anegdot o groteskowym uroku i miewał wtedy jakiś uspokajający i rozweselający ton, któremu się rzadko kiedy oparłem.

Przedemną miał pewien respekt, ponieważ byłem poważniejszy od niego; jeszcze więcej imponowała mu moja siła fizyczna. Chełpił się nią przed innymi i był dumny z przyjaciela, który mógłby go jedną ręką zadusić. Dużą wagę przypisywał fizycznym uzdolnieniom i zręczności, uczył mnie grać w tenisa, wiosłował i pływał ze mną, zabierał mnie na konną jazdę i nie spoczął, dopóki nie grałem prawie tak dobrze w bilard jak on sam. Była to jego ulubiona gra i uprawiał ją nie tylko z mistrzowskim kunsztem, lecz bywał przy niej zawsze szczególnie ożywiony, dowcipny i wesoły. Często nadawał trzem kulom bilardowym nazwiska znajomych z naszego kółka i przy każdym uderzeniu układał z położenia, bliskości lub oddalenia kul całe powieści pełne dowcipów, aluzji i karykaturalnych porównań. Grał przy tym spokojnie, lekko i niezwykle wytwornie, tak że

obserwowanie go stanowiło przyjemność.

Moją działalność pisarską cenił nie wyżej niż ja sam. Kiedyś powiedział mi:

– Widzisz, ja uważałem cię zawsze za poetę i jeszcze cię zań uważam, ale nie dla twoich felietonów, tylko ponieważ czuję, że żyje w tobie coś pięknego i głębokiego, co kiedyś prędzej czy później wystrzeli. I to wtedy będzie prawdziwa poezja.

Tymczasem semestry przeciekały nam przez palce jak drobna moneta i niespodzianie nadszedł czas, kiedy Ryszard musiał pomyśleć o powrocie do domu. Z nieco sztucznym rozbawieniem przeżywaliśmy uciekające tygodnie i pod koniec uzgodniliśmy, że przed gorzką chwilą rozstania powinno jeszcze jakieś wspaniałe i uroczyste przedsięwzięcie wesoło i obiecująco zakończyć te piękne lata. Zaproponowałem wakacyjną wycieczkę w Alpy Berneńskie, ale była to dopiero pora przedwiośnia i właściwie o wiele za wcześnie na pójście w góry. Kiedy głowiłem się jeszcze nad innymi projektami, Ryszard napisał do swego ojca i przygotowywał mi cichaczem wielką i radosną niespodziankę. Pewnego dnia zjawił się z okazałym czekiem i zaprosił mnie, abym mu towarzyszył jako przewodnik po górnej Italii.

Serce zabiło mi trwożną radością. Najmilsze pragnienie, piastowane od chłopięcych lat, wyśnione po tysiąc razy, wytęsknione, miało się ziścić. Jak w gorączce przeprowadzałem drobne przygotowania, przyswajałem przyjacielowi na poczekaniu jeszcze kilka słów po włosku



i lękałem się do ostatniego dnia, że jednak nic z tego nie będzie.

Bagaż wysłaliśmy na przód, sami siedzieliśmy w wagonie; za oknami migały zielone pola i wzgórza, minęliśmy Jezioro Urneńskie i Świętego Gotharda, potem górskie wioski, potoki, piargi i śnieżne szczyty Tessinu. A wreszcie pierwsze czarniawe domki kamienne w płaskich winnicach i pełna oczekiwania jazda wzdłuż jezior i przez urodzajną Lombardię – do hałaśliwie ruchliwego, dziwnie pociągającego, a zarazem odpychającego Mediolanu.

Ryszard nigdy nie wyrobił sobie jakiegoś pojęcia o katedrze mediolańskiej, lecz wiedział o jej istnieniu jako sławnej, ogromnej budowli. Zabawne było jego oburzone rozczarowanie. Po przełamaniu pierwszego przestachu i odzyskaniu humoru sam zaproponował, aby wejść na dach i powłóczyć się wśród szaleńczego chaosu kamiennych figur na górze. Stwierdziliśmy z pewną satysfakcją, że niewielka szkoda tych setek nieszczęsnych świętych posągów na postumentach, ponieważ większość z nich, a przynajmniej wszystkie nowsze, okazały się fabryczna robota. Leżeliśmy blisko dwie godziny na szerokich, pochyłych płytach marmurowych, ogrzanych z lekka kwietniowym słońcem. Ryszard wyznał mi z zadowoleniem:

– Wiesz, w gruncie rzeczy mogę się zgodzić na więcej takich rozczarowań jak z tą wariacką katedrą. Przez całą drogę bałem się trochę tych wszystkich wspaniałości, na które patrzymy i które miały nas przytłoczyć. A tu sprawa

zaczyna się tak przyjemnie i po ludzku śmiesznie!

Bezładny kamienny tłum posągów, pośród którego leżeliśmy, pobudził go do różnych barokowych fantazji.

– Przypuszczalnie – mówił – tam na głównej wieży, jako na najwyższym szczycie, stoi także największy, najdostojniejszy święty. Ponieważ wieczne balansowanie na tej spiczastej wieżyczce w roli kamiennego linoskoczka nie stanowi bynajmniej przyjemności, należy się najwyższemu świętemu, aby go od czasu do czasu zbawiono i odwołano do nieba. Wyobraź sobie tylko, ile tu zamieszania za każdym razem! Bo naturalnie wszyscy pozostali święci awansują teraz o jedno miejsce, ściśle podług hierarchii, i każdy musi jednym dużym susem wskoczyć na postument poprzednika – jak tam wszyscy się śpieszą, zazdrośnie, na wyprzódki!

Ile razy od tego czasu bywałem w Mediolanie, przypominało mi się owo popołudnie i z rzewnym uśmiechem widziałem setki marmurowych świętych, jak wykonują swe śmiałe skoki.

W Genui wzbogaciłem się o jedną wielką miłość. Był jasny, wietrzny dzień, tuż po godzinie południa. Oparłem ramiona na szerokiej balustradzie, za mną rozpościerała się kolorowa Genua, a u mych stóp wzbierały i tętniły wielkie błękitne wody. Morze. Z głuchym grzmotem i niezrozumiałym wezwaniem rzucało się ku mnie to, co wieczne i niezmienne, i czułem, że coś we mnie wiąże się na śmierć i życie z tą błękitną, pianistą falą.

Ogromnie również wzruszył mnie szeroki widnokrąg

morza. Znowu jak w dzieciństwie ujrzałem omgłoną dal oczekującą mnie jak rozwarta brama. I znowu ogarnęło mnie uczucie, że urodziłem się nie na stałe, zaciszne bytowanie wśród ludzi w miastach i mieszkaniach, tylko na włóczęgę przez nieznanne obszary i błądzenie po morzach. Mroczną falą podnosiło się we mnie stare, zasmucające pragnienie, aby rzucić się w objęcia Boga i złączyć swe małe życie z nieskończonością i bezczasem.

Pod Rapallo po raz pierwszy walczyłem z morzem, kosztując cierpkiego smaku słonej wody i czując potęgę bałwanów. Dokoła błękitne, przejrzyste fale, brunatnożółte skały wybrzeża, głębokie, spokojne niebo i odwieczny wielki szum. Zawsze od nowa wzruszał mnie widok sunących w dali okrętów, czarnych masztów i podniesionych żagli albo mała smuga dymu parowca płynącego w dużej odległości. Obok nieznużenie wędrujących chmur, moich ulubienic, nie znam piękniejszego i poważniejszego obrazu tęsknoty i wędrowności nad okręt, który płynie w wielkiej dali, maleje i niknie w rozwartym widnokregu.

Dotarliśmy do Florencji. Miasto było takie, jakim je znałem z setek obrazów i tysiąca marzeń – widne, przestrzenne, gościnne, przedzielone zieloną, krytą mostami rzeką i opasane kryształowymi wzgórzami. Zuchwała wieża Palazzo Vecchio strzelała śmiało w jasne niebo, piękne Fiesole ścieliło się białe i słoneczne na swej wyżynie i wszystkie wzgórza bielily się i różowiły od kwiecica sadów. Ruchliwie radosne, niefrasobliwe życie

toskańskie objawiło mi się jak cud i wkrótce zadomowiłem się tutaj bardziej niż gdziekolwiek u siebie w domu. Za dnia wałęsaliśmy się po kościołach, placach, po ulicach, loggiach i targach, wieczory spędzaliśmy na marzeniach w ogródkach wśród wzgórz, gdzie już dojrzewały cytryny, albo gwarząc przy butelce chianti w małych, prostych winiarniach. Poza tym uszczęśliwiająco bogate godziny upływały nam w galeriach obrazów i w muzeum Bargello, w klasztorach, bibliotekach i zakrystiach, a popołudnia w Fiesole, San Miniato, Settignano, Prato.

Zgodnie z umową, którą zawarliśmy jeszcze w domu, porzuciłem teraz Ryszarda na tydzień i rozkoszowałem się najszlachetniejszą i najwspanialszą wędrówką mej młodości – przez bogate, zielone wzgórza umbryjskie. Szedłem ścieżkami świętego Franciszka i w niektórych godzinach czułem go obok siebie, z sercem pełnym niezgłębionej miłości, witającego każdego ptaka i źródło, i krzew róży polnej z wdzięcznością i radością. Zrywałem i zjadałem cytryny na słońcem błyszczących stokach, nocowałem w małych wioskach, śpiewałem i układałem w duchu wiersze. Wielkanoc obchodziłem w Asyżu, w kościele mojego świętego.

Wydaje mi się zawsze, że ten tydzień wędrówki po Umbrii był koroną i piękną zorzą wieczorną mej młodości. Co dnia otwierały się we mnie nowe źródła i patrzyłem w jasny, odświeżony krajobraz wiosenny jak w dobrotliwe oczy Boga.

W Umbrii z uwielbieniem szedłem za śladem Franciszka, „bożego grajka”; we Florencji nieustannie rozkoszowałem się obrazami życia quattrocenta. Pisałem już wprawdzie w domu satyry na formy naszego współczesnego życia, ale we Florencji po raz pierwszy odczułem całą śmieszność tandetnej współczesnej kultury. Tam ogarnęło mnie pierwsze przeczucie, że będę zawsze obcy w naszej społeczności, i tam najpierw zbudziło się we mnie pragnienie, aby wieść swe życie poza nią, w miarę możliwości na Południu. Tu mogłem obcować z ludźmi, tu radowały mnie na każdym kroku szczerłość i swoboda życia, uszlachetnione i wysubtelnione tradycją klasycznej kultury i historii.

W blasku i szczęściu mijały nam te piękne tygodnie; również Ryszarda nie widziałem jeszcze nigdy tak rozmarzonego i zachwyconego. Swawolnie i ochoczo wychylaliśmy puchary piękna i rozkoszy. Odkrywaliśmy ustronne wioski na gorących stokach, zawieraliśmy przyjaźń z oberżystami, mnichami, dziewczętami i skromnymi, zadowolonymi ze swego losu proboszczami wiejskimi, podsłuchialiśmy naiwne serenady, karmiliśmy chlebem i owocami opalone ładne dzieciaki i widzieliśmy ze słonecznych wyżyn Toskanii w przepychu wiosny, a w dali lśniące Morze Liguryjskie. Obaj mieliśmy krzepiące uczucie, że godni naszego szczęścia idziemy ku nowemu, bogatemu życiu. Praca, walka, przyjemności i sława leżały tak blisko, tak świetnie i pewnie przed nami, że bez pośpiechu radowaliśmy się

szczęściem tych dni. Nawet niedalekie rozstanie wydawało się łatwe i chwilowe, gdyż byliśmy bardziej niż kiedykolwiek pewni, że jeden jest drugiemu potrzebny i że możemy polegać na sobie do końca życia.

Oto jest historia mojej młodości. Gdy ją rozpamiętuję, wydaje mi się krótka jak noc letnia. Odrobina muzyki, nieco intelektu, trochę miłości, próżności – a przecież była piękna, bogata i barwna niczym eleuzyjskie święto.

I zgasła szybko i biednie jak światełko na wietrze.

W Zurychu Ryszard pożegnał się ze mną. Dwukrotnie wysiadał z wagonu, aby mnie ucałować, i czule machał mi ręką z okna, dopóki tylko się dało.

W dwa tygodnie później utonął w czasie kąpieli w śmiesznie małej rzeczce na południu Niemiec. Nie widziałem go więcej, nie było mnie, gdy go chowano, usłyszałem o wszystkim dopiero w kilka dni później, kiedy złożony w trumnie spoczywał już w ziemi. Rzuciłem się w mej izdebce na podłogę, złorzecząc Bogu i życiu plugawymi i wstrętnymi bluźnierstwami, płacząc i szalejąc. Nie pomyślałem do tej pory nigdy, że jedyną pewną rzeczą, jaką posiadałem w tych latach, była moja przyjaźń. Teraz to się skończyło.

Nie mogłem dłużej wytrzymać w mieście, gdzie mnóstwo wspomnień opadało mnie na każdym kroku i dusiło za gardło. Obojętne mi było, co teraz będzie. Chory był sam rdzeń mej duszy i zgroza mnie ogarniała przed wszystkim, co żyło. Nikła zdawała się nadzieja, że moja

zdruzgotana dusza podniesie się znowu i ze świeżo rozpiętymi żaglami popłynie ku cierpkemu szczęściu wieku męskiego. Bóg chciał, żebym to, co najlepsze we mnie, oddał czystej i pogodnej przyjaźni. Jak dwa szybkie czółna mknęliśmy naprzód, a ja wlepiąłem oczy w kolorowe, lekkie, szczęśliwe, drogie czółno Ryszarda, ufając, że porwie mnie ze sobą ku pięknym celom. Teraz zatoneło z krótkim okrzykiem, a ja tułałem się bez steru po nagle pociemniałych wodach.

Do mnie należało przetrzymać tę ciężką próbę i w nowej wyprawie, kierując się gwiazdami, walczyć o wieniec życia i błędzić. Wierzyłem w przyjaźń, w miłość, w młodość. Skoro mnie teraz jedna po drugiej opuściły, czemu nie wierzyłem w Boga i nie oddałem się w jego silniejsze ręce? Niestety, zawsze byłem chwiejny i uparty jak dziecko i stale czekałem, że właściwe życie wichurą spadnie na mnie, uczyni rozumnym i bogatym i na rozwiniętych skrzydłach zaniesie ku dojrzałemu szczęściu.

Ale mądre i oszczędne życie milczało i pozwalało mi się tułać. Nie przysyłało mi ani wichrów, ani gwiazd, tylko czekało, aż znowu zmaleję, spokornieję i stracę swą hardość. Pozwalało mi się zgrywać chmurnie i górnice, patrząc przez palce; czekało, aż zabłąkane dziecko odnajdzie matkę.

## Rozdział 5

Obecnie nadszedł w mym życiu okres na pozór bardziej ożywiony i barwniejszy, który mógłby od biedy stanowić temat niewielkiej modnej powieści. Powinienem był opowiedzieć, jak pewna niemiecka gazeta powołała mnie na redaktora. Jak sobie za dużo pozwalałem piórem i zjadliwym językiem i jak mnie za to szykanowano i strofowano. Jak uzyskałem potem opinię pijaka i wreszcie po zażartych swarach złożyłem swój urząd i pozwoliłem się wysłać jako korespondent do Paryża. Jak w tej zatraconej dziurze stałem się cyganem, włóczęgą, sadząc się na ekscentryczność w najrozmaitszych dziedzinach.

Ewentualnym świntuchom z grona moich czytelników pokażę w tym miejscu figę - pominię ten krótki okres. I to wcale nie z tchórzostwa. Przyznaję, że błądziłem na coraz to innych manowcach, że widziałem rozmaite bagienka i sam w nich tkwiłem. Zatraciłem od tej pory zrozumienie dla romantyzmu bohemy i musicie mi pozwolić trzymać się tego, co czyste i dobre, co zresztą także istniało w moim życiu, a wykreślić i pominąć ów stracony okres.

Pewnego wieczoru siedziałem sam w Lasku Bulońskim i zastanawiałem się, czy porzucić tylko Paryż, czy też najlepiej od razu całe życie?



Wówczas, po raz pierwszy od niewiadomych czasów, zacząłem rozpamiętywać moje losy i stwierdziłem, że niewiele mam do stracenia.

Wtedy ujrzałem nagle w ostrym błysku wspomnienia pewien dawno miniony i zapomniany dzień - wczesny ranek letni w domu, w ojczystych górach, i zobaczyłem siebie klęczącego przy łóżku, a na nim moją matkę, śmiertelnie chorą.

Przeraziłem się i zawstydzilem, że mogłem tak długo nie wspomnieć owego ranka. Głupie myśli samobójcze przeszły. Sądzę bowiem, że żaden poważny i nie całkowicie wykolejony człowiek nie jest w stanie odebrać sobie życia, jeśli kiedykolwiek przyglądał się zagaśnięciu zdrowego i dobrego ludzkiego żywota. Znowu ujrzałem moją matkę umierającą. Znowu widziałem na jej twarzy cichy, poważny wyraz śmierci, która ją uszlachetniała. Śmierć wygląda gorzko, ale przy tym tak mocarnie i dobrotliwie jak troskliwy ojciec, który zabiera zbłąkane dziecko do domu.

Nagle pojąłem znowu, że śmierć jest naszym mądrym i dobrym bratem, który zna swój czas i którego możemy oczekiwać z całą ufnością. Zrozumiałem również, że żal, rozczarowania i melancholia nie są po to, aby nas zniechęcać i odbierać nam naszą wartość i godność, lecz po to, abyśmy dojrzeli i zaczęli się doskonalić.

W osiem dni później rzeczy moje pojechały do

Bazylei, a ja przewędrowałem piechotą ładny szmat południowej Francji, czując, jak z każdym dniem nieszczęsne paryskie czasy, których wspomnienie prześladowało mnie niczym zaduch, płowiały i zamieniały się w mgłę. Zdawało mi się, że biorę udział w jakimś olśniewającym festynie. Nocowałem w zamkach, młynach, stodołach, ze smagłymi, rozmownymi chłopakami piłem ich ciepłe, słoneczne wino.

Obdarty, chudy, opalony i zmieniony na duszy przybyłem po dwóch miesiącach do Bazylei. Była to moja pierwsza tak długa wędrówka - pierwsza z wielu. Mało jest miejscowości pomiędzy Locarno a Weroną, między Bazyleą a Brig, między Florencją a Perugią, których bym nie przemierzył zakurzonymi butami po dwa i trzy razy - w pogoni za marzeniami, z których się jeszcze żadne nie ziściło.

W Bazylei wynająłem sobie studencka budę na przedmieściu, rozpakowałem manatki i zacząłem pracować. Cieszyłem się, że mieszkam w cichym mieście, gdzie mnie nikt nie zna. Kontakty z kilkoma gazetami i przeglądami jeszcze trwały, miałem więc zajęcie i zarobek. Pierwsze tygodnie były dobre i spokojne, potem z wolna powrócił dawny smutek, trwający dniami, tygodniami, nie mijający nawet przy pracy. Kto sam na własnej skórze nie poczuł, co to jest melancholia, ten jej nie zrozumie. Jak ją opisać?

Miałem wrażenie potwornego osamotnienia. Między mną a ludźmi i życiem miasta, placów, domów i ulic istniała stale głęboka przepaść. Gdzieś wydarzyło się wielkie nieszczęście, gazety donosiły o ważnych sprawach - mnie to nic nie obchodziło. Urządzano święta, chowano zmarłych, odbywały się targi, koncerty - po co? na co? Wybiegałem za miasto, włóczyłem się po lasach, wzgórzach i gościńcach, a dokoła mnie łąki, drzewa, pola milczały, pogrążone w żałobie bez skargi, patrząc na mnie błagalnie, pragnąc mi coś powiedzieć, wyjść naprzeciw, powitać mnie. Ale tkwiły w bezruchu i nie umiały mówić, a ja rozumiałem ich cierpienia i współcierpiałem z nimi, gdyż nie mogłem ich wybawić.

Poszedłem do lekarza. Zaniósłem mu notatki i spróbowałem opisać moją chorobę. Czytał, wypytywał, badał mnie.

- Pozazdrościć panu zdrowia - pochwalił mnie potem. - Fizycznie nic panu nie dolega. Niech pan stara się rozweselić lekturą albo muzyką.

- Z racji mego zawodu codziennie czytam mnóstwo nowości.

- Bądź co bądź powinien pan także zażywać trochę ruchu na świeżym powietrzu.

- Gonię codziennie trzy do czterech godzin po okolicy, a w czasie wakacji co najmniej drugie tyle.

- Wobec tego trzeba się zmusić do pójścia między

ludzi. Przecież panu grozi niebezpieczeństwo, że pan na serio zostanie mizantropem.

- Co to ma do rzeczy?

- Bardzo wiele. Im większa chwilowo niechęć pańska do życia towarzyskiego, tym bardziej winien pan zmusić się do przebywania wśród ludzi. Stan pana nie jest jeszcze chorobą i nie wydaje mi się groźny, ale jeśli pan nie przestanie tłuc się po świecie tak biernie, może pan w końcu stracić kiedyś równowagę.

Lekarz był człowiekiem rozumnym i życzliwym. Współczuł mi. Polecił mnie pewnemu uczonemu, w którego gościnnym domu panował pewien ruch intelektualny i literacki. Wybrałem się tam. Znano moje nazwisko, przyjęto mnie uprzejmie, niemal serdecznie i zacząłem częściej bywać.

Kiedyś udałem się tam w pewien zimowy wieczór późną jesienią. Zastałem jakiegoś młodego historyka i bardzo smukłą, ciemnowłosą dziewczynę; poza nimi nie było gości. Dziewczyna krzątała się przy maszynie z herbatą, mówiła dużo i docinała historykowi. Następnie grała trochę na fortepianie. Potem powiedziała mi, że czytała moje satyry, ale nie podobały się jej. Wydawała mi się mądra, a nawet nieco za mądra i wkrótce poszedłem do domu.

Tymczasem wyszło na jaw, że dużo przesiaduję po knajpach i właściwie jestem cichym pijakiem. Nie dziwiło mnie to zbytnio, bo właśnie wśród kobiet i

mężczyzn ze środowiska akademickiego plotki krzewiły się najbujniej. Moim towarzyskim stosunkom owo zawstydzające odkrycie wcale nie zaszkodziło, przeciwnie, uczyniło mnie ono wielce pożądanym gościem: właśnie w tym czasie entuzjastowano się wstrzeźliwością, panowie i panie należeli do komitetów przeciwalkoholowych i cieszone się z każdego grzesznika, który im wpadał w ręce. Pewnego dnia nastąpił pierwszy uprzejmy atak. Proszono, abym rozważył hańbę wysiadania po szynkach, przekleństwo alkoholizmu i tym podobne sprawy z punktu widzenia zdrowotnego, etycznego i społecznego, i zaproszono mnie na jakąś uroczystość związkową. Byłem niezmiernie zdziwiony, gdyż dotychczas nie miałem pojęcia o tego rodzaju związkach i dążeniach. Zebranie owego związku, połączone z muzyką i dźwięczące nutą religijną, było żenująco śmieszne i bynajmniej nie tałem tego wrażenia. Szereg tygodni dokuczano mi z natrętną uprzejmością. Sprawa znudziła mi się niebywale i pewnego wieczoru, kiedy znowu częstowano mnie tą samą śpiewką, czekając z utęsknieniem na moje nawrócenie, ogarnęła mnie desperacja i stanowczo wyprosiłem sobie te nudziarstwa. Była przy tym owa młoda dziewczyna. Wysłuchiła moich słów uważnie, po czym powiedziała serdecznie: „Brawo!” Ale byłem zbyt zwarzony, aby na to zwrócić uwagę.

Z tym większą przyjemnością zaobserwowałem drobną zabawną wyspę, która przydarzyła się w czasie ogromnej uroczystości abstynenckiej. Największe ze stowarzyszeń wraz z licznymi gośćmi ucztowało i obradowało w swoim lokalu, wygłaszano mowy, zawierano przyjaźnie, śpiewano chóralnie i głośnym hosanna witano rozwój dobrej sprawy. Te bezalkoholowe przemówienia znudziły się posługaczowi, którego zaangażowano do noszenia sztandaru, wymknął się więc do pobliskiej knajpy i kiedy uroczysty pochód demonstracyjny ruszył ulicami, grzesznicy mogli złośliwie cieszyć się zabawnym widowiskiem: oto na czele rozentuzjasmowanych rzesz chwiał się upity na wesoło przywódca, a w jego ramionach sztandar z niebieskim krzyżem niby maszt rozbitego okrętu.

Pijanego posługacza wydalono, ale nie zniszczono rojowiska arcyłudzkich próżnostek, zazdrości i intryg, które wyrósłszy w łonie poszczególnych konkurencyjnych zrzeszeń i komisji, wydawały coraz bujniejsze owoce. Nastąpił rozłam, kilku ambitniejszych członków ruchu chciało całą sławę zagarnąć dla siebie i wymyślali na każdego nie w ich imieniu nawróconego pijaka; szlachetnych i bezinteresownych współpracowników, których też nie brakło, wyzyskiwano bez skrupułów i wkrótce bliżej stojący mieli okazję zobaczyć, jak i tu pod idealistyczną nalepką rozmaite ludzkie brudy woniały

aż pod niebo. o wszystkich tych komediach dowiadywałem się mimochodem od osób trzecich; czułem cichą satysfakcję i nieraz podczas nocnych powrotów z pijatyki myślałem sobie: „Widzicie, a jednak my, dzicy, jesteśmy lepsi. ”

W mojej małej izbie, w domu wznoszącym się wysoko i swobodnie nad Renem, dużo czytałem i rozmyślałem. Byłem niepokieszony, że życie tak spływa po mnie, że żaden silny prąd nie porwie mnie za sobą, żadna gwałtowna namiętność albo zainteresowanie nie rozpali i nie wyrwie z mrocznych marzeń. Wprawdzie poza codzienną konieczną pracą zarobkową siedziałem nad przygotowaniami do dzieła, które miało przedstawiać życie pierwszych minorytów, ale nie była to praca twórcza, tylko żmudne, skromne gromadzenie materiałów, nie zaspokajające mej tęsknoty. Wspominając Zurych, Berlin, Paryż, zaczynałem uświadamiać sobie istotne pragnienia, pasje i ideały współczesnych mi ludzi. Jeden pracował nad tym, aby wyrugować dotychczasowe meble, tapety oraz stroje i przyzwyczaić ludzi do swobodniejszego i piękniejszego otoczenia. Ktoś inny starał się popularnymi broszurami i odczytami rozpowszechniać monizm Haeckla. Inni uważali za wskazane dążyć do wprowadzenia na świat wiecznego pokoju. Jeszcze ktoś inny walczył o sprawę biedujących niższych klas społecznych albo

kwestował i przemawiał za tym, że teatry i muzea powinno się budować i otwierać dla ludu. A u nas w Bazylei zwalczano alkohol.

We wszystkich tych dążeniach było życie, był pęd i ruch, ale żadne z nich nie wydawało mi się ważne ani konieczne i nie zaważyłoby to wcale na moim życiu, gdyby nawet wszystkie te cele nagle osiągnięto. Ogarnięty zwątpieniem opadałem na krzesło, odsuwałem książki i kartki papieru i dumałem, dumałem. Słyszałem wówczas Ren, płynący za oknami, i wiatr szumiący i ze wzruszeniem nasłuchiwałem owej mowy wielkiej, czającej się wszędzie melancholii i tęsknoty. Widziałem blade chmury nocy, lecące porywisto jak spłoszone ptaki po niebie, słyszałem, jak wędruje Ren, i myślałem o śmierci mej matki, o świętym Franciszku, o moich stronach ojczystych w ośnieżonych górach i o Ryszardzie, co zatonął. Widziałem siebie, jak wspinam się po skalnej ścianie, aby zerwać alpejskie róże dla Rosi Girtanner, widziałem siebie w Zurychu, podnieconego książkami, muzyką i rozmowami, płynącego z Erminią Aglietti nocą po jeziorze, widziałem, jak rozpaczam nad śmiercią Ryszarda, podróżuję i powracam, jak zdrowieję i znowu cierpię. Po co? Za co?

O Boże, czyż to wszystko było tylko igraszką, przypadkiem, malowanym obrazkiem? Czyż nie



męczyłem się z pożądania i nie walczyłem o ducha, o przyjaźń, piękno, prawdę i miłość? Czyż nie wzbierała we mnie bez przerwy duszna fala tęsknoty i uczucia? I wszystko to na nic, mnie na udrękę, nikomu na uciechę!

Po takich rozmyślaniach czułem, że dojrzałem do knajpy. Gasilem lampę, po omacku schodziłem stromymi, krętymi schodami i zjawiałem się w winiarni. Tam witano mnie jako dobrego klienta z uszanowaniem, ja zaś byłem zazwyczaj czupurny, a niekiedy grubiański. Czytałem „Simplicissimusa”, który mnie za każdym razem złościł, popijałem wino i oczekiwałem jego pociechy. W końcu słodki bożek kładł na mnie swą kobiecą, miękką dłoń, wlewał w ciało błogie znużenie i prowadził zbłąkaną duszę w krainę pięknych marzeń.

Czasami nawet sam się dziwiłem, że odnoszę się tak szorstko do ludzi i znajduję pewnego rodzaju przyjemność w burczeniu na nich. W restauracjach, gdzie częściej bywałem, kelnerki bały się mnie i przeklinały jako gbura i zrzędę, który wiecznie ma jakieś pretensje. Jeśli wdawałem się w rozmowę z gośćmi, bywałem ironiczny i grubiański; inna rzecz, że na nic lepszego nie zasługiwali. Mimo to znalazła się garstka zawołanych bywalców knajp, sami podstarzali już i nieuleczalni grzesznicy, z którymi miałem znośne stosunki i przesiedziałem wspólnie niejedną wieczór. Był wśród nich zwłaszcza jeden,

wyjątkowy gbur, z zawodu rysownik, wróg kobiet, świntuch i pijak pierwszej klasy. Jeśli spotykałem go wieczorem samego w jakiejś knajpie, odbywała się za każdym razem wielka popijawa. Najpierw rozmawialiśmy i dowcipkowali, popijając mimochodem butelczynę czerwonego wina. Potem z wolna picie wysuwało się na pierwszy plan, rozmowa usypiała i siedzieliśmy w milczeniu naprzeciw siebie, pociągając brissago i opróżniając każdy swoją butelkę. Przy tym jeden nie dawał się wyprzedzić drugiemu, zawsze równocześnie kazaliśmy sobie napełniać flaszki i obserwowaliśmy się wzajemnie na wpół z szacunkiem, na wpół ze złośliwą uciechą.

Kiedyś późną jesienią, w porze młodego wina, wędrowaliśmy razem przez kilka wiosek bogatych w winnice i „Pod Jeleniem” w Kirchen stary dziwak opowiedział mi dzieje swego życia. Zdaje mi się, że były ciekawe i niecodzienne, ale niestety zapomniałem je zupełnie. Zapamiętałem tylko opis jakiejś pijatyki, już z jego późniejszych lat. Było to gdzieś na wsi w czasie chłopskiej uroczystości. Siedząc jako gość między miejscowymi znakomitościami, doprowadził do tego, że ksiądz oraz sołtys rzetelnie sobie podpili. Tymczasem ksiądz miał jeszcze wygłosić przemówienie. Gdy zawleczono go z trudem na podest, począł mówić tak horrendalne rzeczy, że trzeba go było stamtąd sprowadzić, i sołtys wskoczył na jego miejsce.

Zaczął z wielkim rozmachem improwizować, ale wskutek gwałtownej gestykulacji zrobiło mu się nagle niedobrze i zakończył swoją przemowę w sposób niezwykle, ale i niewykwintny.

Później byłbym chętnie jeszcze raz usłyszał tę historię, a także i inne. Ale na jakimś wieczorze bractwa strzeleckiego wybuchła między nami zażarta kłótnia, poczubiliśmy się i rozstali w gniewie. Od tej pory zdarzyło się kilkakrotnie, że siedzieliśmy jako wrogowie w tej samej winiarni, każdy oczywiście przy osobnym stoliku, ale starym zwyczajem obserwowaliśmy się w milczeniu, piliśmy w tym samym tempie i siedzieliśmy, dopóki jako ostatnich gości nie wyproszono nas z lokalu. Do pogodzenia się nigdy nie doszło.

Jałowe i męczące było ustawiczne rozmyślanie o przyczynach mego smutku i niezdolności do życia. Bynajmniej nie miałem wrażenia, że się skończyłem i wyczerpałem, raczej pełno we mnie było niejasnych popędów i wierzyłem, że we właściwym czasie uda mi się jeszcze stworzyć coś głębokiego i dobrego i wydrzeć opornemu życiu przynajmniej garstkę szczęścia. Ale czy ta godzina kiedykolwiek nadejdzie? Z goryczą myślałem o owych nowomodnych, nerwowych panach, którzy tysiącem sztucznych podnieć pobudzali się do artystycznej pracy, gdy we mnie drzemały i marnowały się wielkie siły. I znowu głowiłem się, jaka przeszkoda, jaki

demon sprawił, że w mym odpornym, silnym ciele dusza zakrzepła i stawiała się coraz cięższa. Przy tym nurtowała mnie jeszcze i ta dziwaczna myśl, że uważałem siebie za indywidualność w jakiś sposób poszkodowaną, której cierpień nikt nie zna, nie rozumie i nie podziela. Jest to diabelska cecha melancholii, że czyni człowieka nie tylko chorym, ale także zarozumiałym i krótkowzrocznym, a nawet aroganckim. Człowiek czuje się jak ów pretensjonalny Atlas Heinego, który sam dźwiga na swych barkach wszystkie bóle i zagadki świata, tak jakby tysiące innych nie znosiło tych samych cierpień i nie błędziło w tym samym labiryncie. Odosobniony i oderwany od stron ojczystych, nie wpadłem również na myśl, że większość moich cech i przymiotów stanowi nie tyle moją własność, ile raczej dziedzictwo rodzinnych cnót i przywar Camenzindów.

Co parę tygodni zachodziłem do gościnnego domu uczonego. Z czasem poznałem wszystkich bywających tam gości. Byli to przeważnie młodzi ludzie z wykształceniem akademickim, z wszystkich wydziałów, wśród nich dużo Niemców, ponadto kilku malarzy, paru muzyków oraz garstka obywateli miasta z żonami i córkami. Patrząc na tych ludzi, witających mnie jako rzadkiego gościa, nie mogłem się nadziwić, że widują się aż tyle razy w tygodniu. O czym mówili i co robili ciągle razem? Większość z

nich reprezentowała jednaką stereotypową postać *homo socialis* i wszyscy wydawali mi się nieco spokrewnieni ze sobą dzięki jakiemuś towarzyskiemu, niwelującemu pierwiastkowi, którego ja tylko nie posiadam. Nie brak było wśród nich ludzi subtelnych i wybitnych, którym nieustanne bywanie w towarzystwie widocznie nic albo prawie nic nie zabierało z ich świeżości i osobistej energii. Z poszczególnymi jednostkami spośród nich mogłem rozmawiać długo i z zainteresowaniem. Ale chodzić od jednego do drugiego, zatrzymywać się przy każdym na minutę, na chybił trafił prawić kobietom grzeczności, zwracać uwagę równocześnie na filiżankę herbaty, dwie rozmowy i fortepianowy utwór i przy tym mieć minę zainteresowaną i rozbawioną - tego nie umiałem. Przymus prowadzenia rozmów o literaturze albo sztuce był dla mnie czymś strasznym. Widziałem, że na te tematy bardzo mało myślano, bardzo dużo łgano, a w każdym razie niezmiernie dużo gadano. Kłamałem więc także, ale nie sprawiało mi to przyjemności i uważałem takie bezużyteczne przelewanie z pustego w próżne za rzecz nudną i upadlającą. O wiele chętniej przysłuchiwałem się na przykład jakiejś kobiecie mówiącej o swoich dzieciach albo sam opowiadałem o podróżach, o drobnych wydarzeniach dnia i innych realnych rzeczach. Wówczas potrafiłem nawet czasem wpaść w ton poufały i nieomal wesoły.

Przeważnie jednak pod koniec takich wieczorów zachodziłem jeszcze do winiarni, gdzie veltlinerem splukiwałem czczość w gardle i ospałą nudę.

W czasie jednego z takich zebrań towarzyskich spotkałem znowu tę czarną młodą dziewczynę. Zeszło się mnóstwo ludzi. Grali i hałasowali jak zwykle, a ja usiadłem z teczką rysunków w ustronnym kącie pod lampą. Były to widoki z Toskanii, nie te zwyczajne, tysiąc razy widziane obrazki robione na efekt, lecz bardziej osobiste, dla siebie szkicowane widoki, przeważnie dary towarzyszy podróży i przyjaciół pana domu. Właśnie znalazłem rysunek kamiennego domku o wąskich oknach w samotnej dolinie San Clemente, którą dobrze poznałem, gdyż odbyłem tam niejedyn spacer. Dolina ta leży tuż przy Fiesole, ale tłum podróżnych nie zwiedza jej, ponieważ nie ma w niej zabytków. Jest to dolina o dziwnym, cierpkim pięknie, sucha, prawie niezamieszкана, wepchnięta pomiędzy wysokie, nagie i surowe góry, odległa, melancholijna i odludna.

Dziewczyna podeszła i zajrzała mi przez ramię.

- Czemu pan zawsze siedzi taki samotny?

Zezłościła mnie. „Czuje się zaniedbana przez panów - pomyślałem - i wobec tego przychodzi do mnie. ”

- Cóż, czy nie otrzymam odpowiedzi?

- Przepraszam panią, ale co mam odpowiedzieć?

Siedzę sam, bo mnie to bawi.

- Zatem przeszkadzam panu?

- Jest pani śmieszna.

- Dziękuję, ale mogę powiedzieć to samo o panu.

Usiadła. Uporczywie trzymałem dalej w ręce moją kartkę.

- Pan przecież pochodzi z gór - mówiła. - Chętnie posłuchałabym kiedyś opowiadań pana o tamtych stronach. Mój brat mówi, że w pańskiej wiosce spotyka się tylko jedno nazwisko, samych Camenzindów. Czy to prawda?

- Prawie - mruknąłem. - Ale jest też piekarz, który nazywa się Fussli. I właściciel gospody nazwiskiem Nydegger.

- A poza tym nic, tylko same Camenzindy? I wszyscy są ze sobą spokrewnieni?

- Mniej więcej tak.

Podąłem jej rysunek. Przytrzymała kartkę i spostrzegłem, że umiała taką rzecz odpowiednio wziąć do ręki. Powiedziałem jej o tym.

- Pan mnie chwali - śmiała się - ale tak jak belfer.

- Czy nie zechciałaby pani choć spojrzeć na rysunek? - zapytałem niegrzecznie. - Bo jeśli nie, mogę go odłożyć z powrotem.

- Cóż on takiego przedstawia?

- San Clemente.

- Gdzie to jest?

- Koło Fiesole.

- Pan tam był?

- Tak, kilkakrotnie.

- Jak ta dolina wygląda? Tu mamy przecież tylko jej wycinek.

Zastanowiłem się. Krajobraz o poważnym, gorzkim pięknie stanął mi w oczach i przymknąłem je, aby go utrwalić. Minęła chwila, zanim przemówiłem, i z przyjemnością zauważyłem, że dziewczyna siedzi cicho i czeka. Zrozumiała, że się zastanawiam.

Opisałem San Clemente, jak milczące, wyschnięte i wspaniałe leży w spiekocie letniego popołudnia. Obok w Fiesole uprawia się drobny przemysł, plecie kapelusze słomkowe i kosze, sprzedaje pamiątki i pomarańcze, oszukuje turystów lub prosi ich o jałmużnę. Dalej w dole leży Florencja szumiąca falami dawnego i nowego życia. Ale ani Fiesole, ani Florencji z San Clemente nie widać. Nie pracowali tam malarze, nie ma żadnej budowli rzymskiej, historia pominęła tę ubogą dolinę. Słońce i deszcz walczą tam z ziemią, koślawe pinie z trudem utrzymują się przy życiu i kilka cyprysów chudymi wierzchołkami bada powietrze, czy nie zbliża się nieprzyjazna wichura, skracająca im życie, do którego Igną spragnionymi korzeniami. Niekiedy przejeżdża wóz z pobliskich folwarków, zaprzężony w woły, albo jakaś rodzina chłopska wędruje ku Fiesole, ale są to jedynie przypadkowi goście. Czerwone spódnice kobiet wiejskich, wyglądające na



ogół tak wesoło i zgrabnie, raziłyby tutaj, tak że z przyjemnością stwierdza się ich nieobecność.

Opowiedziałem jej, jak za młodu wędrowałem tam z przyjacielem, kładłem się u stóp cyprysów, opierając się o ich suche pnie, i jak smutne piękno i samotny urok tej dziwnej doliny przypominały mi rodzinne przełęcz.

Milczeliśmy chwilę.

- Pan jest poetą - powiedziała dziewczyna.

Skrzywiłem się.

- Mam na myśli coś innego - dodała. - Nie chodzi mi o to, że pan pisze nowele i tym podobne... pan rozumie i kocha przyrodę. Czymże jest dla innych ludzi szum drzewa albo żarzenie się góry w słońcu? Ale dla pana jest w tym życie, w które potrafi się pan wcielić.

Odpowiedziałem, że nikt nie „rozumie przyrody” i mimo poszukiwań i woli poznania ze smutkiem natrafia człowiek tylko na zagadki. Drzewo stojące w słońcu, zmurszały kamień, zwierzę, góra - to wszystko żyje, ma swoje dzieje, cierpi, opiera się przeciwnościom, używa, umiera, ale my tego nie rozumiemy.

Rozmawiając z nią i ciesząc się jej cierpliwą, milczącą uwagą, zacząłem się jej przyglądać. Oczy dziewczyny spoczywały na mojej twarzy i nie unikały mego wzroku. Twarz jej była spokojna, zasłuchana i z lekka napięta z nadmiaru skupienia. Tak jakby mi

się przysłuchiwało dziecko. Nie, raczej tak, jakby dorosły zapamiętał się w słuchaniu i bezwiednie przybierał oczy dziecka. Przyglądając się jej, odkrywałem stopniowo z naiwną uciechą badacza, że jest bardzo ładna.

Przestałem mówić i dziewczyna również milczała. Potem wzdrygnęła się i przymrużyła oczy w świetle lampy.

- Jak pani właściwie na imię? - zapytałem prawie bezmyślnie.

- Elżbieta.

Odeszła i wkrótce towarzystwo zaczęło nalegać, aby zagrała na fortepianie. Grała dobrze. Ale kiedy przysunąłem się, spostrzegłem, że już nie była taka ładna.

Schodząc wygodnymi staroświeckimi schodami, aby pójść do domu, posłyszałem kilka słów z rozmowy dwóch malarzy, którzy w sieni wdziewali płaszcze.

- No tak, przez cały wieczór zajmował się ładną Elżbietką - powiedział jeden i zaśmiał się.

- Cicha woda! - dorzucił drugi. - Nie najgorzej sobie wybrał.

Ci głupcy więc już o tym mówili. Uprzytomniłem sobie nagle, że niemal wbrew woli odsłoniłem obcej młodej dziewczynie intymne wspomnienia i cały fragment mego osobistego życia. Co mi do głowy przyszło? I już od razu złe języki! Hołota!

Wyszedłem i przez kilka miesięcy nie pokazałem się w domu uczonemu. Przypadkiem jeden z owych dwóch malarzy był pierwszym, który mnie na ulicy w tej sprawie zaczepił:

- Czemu pan już tam nie bywa?

- Ponieważ nie cierpię plotek - odpowiedziałem.

- Wiadomo, nasze panie! - zaśmiał się.

- Nie - odrzekłem - mam na myśli mężczyzn, a w szczególności panów malarzy.

Elżbietę widziałem w tych miesiącach tylko parę razy na ulicy, raz w sklepie i raz w galerii sztuki. Wyglądała zazwyczaj ładnie, ale nie była piękna. Ruchy jej nadmiernie smukłej postaci miały w sobie coś oryginalnego, co ją przeważnie zdobiło i wyróżniało, ale czasem wydawało się przesadne i sztuczne. Piękna, nad wyraz piękna była wtedy w salonie sztuki. Nie widziała mnie. Odpoczywając, siedziałem z boku i wertowałem katalog. Stała w pobliżu przed dużym Segantinim, całkiem zatopiona w obrazie. Przedstawiał kilka wiejskich dziewcząt pracujących na hali porostej skąpą trawą. Tło stanowiły zębate, strome góry, przypominające nieco grupę Stockhornu, a nad nimi w chłodnym, jasnym niebie unosił się genialnie namalowany obłok koloru kości słoniowej. Na pierwszy rzut oka zwracał on uwagę swoją dziwnie skłębioną, zmierzwioną masą; widać było, że go wiatr w tej chwili dopiero zbił i uformował i że gotuje się teraz do wzniesienia i

powolnego odlotu. Widocznie Elżbieta rozumiała tę chmurę, gdyż cała oddała się patrzeniu. Znowu jej zazwyczaj tak ukryta dusza malowała się na twarzy, śmiała się nieznacznie rozszerzonymi oczyma, dziecinnie zmiękczała zbyt wąskie usta i wygładzała przemądrzałą, cierpką zmarszczkę między brwiami. Piękno i prawdziwość wielkiego dzieła sztuki zmusiły jej duszę do przejawienia się w swym pięknie bez obłony.

Siedziałem cicho z boku, obserwując piękny obłok Segantiniego i piękną, zachwyconą nim dziewczynę. Potem zdjął mnie lęk, że odwróci się, zobaczy mnie, zagadnie i straci znowu swój urok, opuściłem więc salę szybko i niepostrzeżenie.

W tym czasie przyjemność, jaką mi sprawiała niema przyroda, i mój stosunek do niej zaczynały się zmieniać.

Ciągle od nowa przemierzałem cudowną okolicę miasta, a najchętniej Jurę. Wciąż na nowo spoglądałem na lasy i góry, na hale, sady i zarośla, stojące i czekające na coś. Może na mnie, w każdym zaś razie na miłość.

I tak zacząłem je kochać. Moje silne, tęskne pragnienie schodziło się z ich milczącym pięknem. I mnie również nurtowało jakieś utajone życie i tęsknota, szukając uświadomienia, zrozumienia, miłości.

Wielu ludzi twierdzi, że „kocha przyrodę”. To

znaczy, że są skłonni od czasu do czasu zachwycić się jej hojnie okazanymi wdziękami. Wychodzą za miasto i cieszą się urodą ziemi, deptają łąki i zrywają naręcza kwiatów i gałęzi, aby je wkrótce znowu wyrzucić albo patrzeć, jak więdną w domu. Tak kochają przyrodę. Przypominają sobie ową miłość w niedzielę, gdy jest ładna pogoda, i są wówczas rozczuleni swoim dobrym sercem. Mogliby się przecież obejść bez tego, bo „człowiek jest koroną przyrody”. A jakże, koroną!

Zaglądałem zatem coraz tęskniej w otchłań wszechrzeczy. Słyszałem wiatr dźwięczący w wierzchołkach drzew na różne tony, słyszałem szum potoków w jarach i ciche szemranie rzek po nizinie i widziałem, że te głosy są językiem Boga, a zrozumienie tego mrocznego języka o pierwotnym pięknie byłoby odnalezieniem raj. Książki mało o tym piszą, tylko Biblia wspomina w cudownych słowach o niewypowiedzianym wzdychaniu stworzenia. Ale przeczuwałem, że od początku świata ludzie porwani tak jak ja tym, co niepojęte, rzucali swe rzemiosło i udawali się w samotność, aby jako pustelnicy, pokutnicy, święci - słuchać pieśni stworzenia, przyglądać się przelotowi chmur i w nieustającej tęsknocie wyciągać ramiona ku wieczności.

Czy nigdy nie byłeś w Pizie, w Camposanto? Zdobia tam ściany spłowiałe obrazy minionych

wieków i jeden z nich ukazuje życie pustelników Tebaidy. Wyblakłe kolory naiwnego obrazu dziś jeszcze tchną urokiem tak błogiego spokoju, że odczuwasz nagły żal, pragniesz gdzieś w świątobliwym odosobnieniu wypłakać z siebie swe grzechy, swoją skalaną naturę i już nie pragniesz powrotu. Niezliczeni artyści próbowali w ten sposób sielskimi obrazami wyrazić swoją nostalgię i jakiś mały sympatyczny obrazek dziecka, ręki Ludwika Richtera, śpiewa mi tę samą pieśń co freski w Pizie. Czemu Tycjan, zwolennik teraźniejszości i cielesności, nadawał czasem swoim wyrazistym i realistycznym obrazom owo tło o najtkliwszym błękicie dali? Jest to tylko kreska ciemnoszafirowego, ciepłego koloru i nie wiadomo, czy ma oznaczać odległe góry, czy też tylko nieograniczony przestwór. Realista Tycjan sam tego nie wiedział. Nie kładł jej - jak chcą historycy sztuki - dla harmonii barw, lecz był to jego hołd dla tego, co nieugaszzone żyło skrycie nawet w duszy tak pogodnego i szczęśliwego człowieka. Wydaje mi się, że sztuka wszystkich czasów starała się właśnie temu milczącemu pragnieniu boskości w nas nadać jakiś wyraz.

Dojrzałej, piękniej, a przy tym o wiele dziecinniej wyraził to święty Franciszek. Dopiero wtedy w pełni go zrozumiałem. Obejmując swoją miłością do Boga całą ziemię, rośliny, gwiazdy, zwierzęta, wiatry i

wody, wyprzedził średniowiecze, a nawet Dantego, i znalazł język tego, co jest po wsze czasy ludzkie. Wszystkie potęgi i zjawiska przyrody nazywa swymi drogimi braćmi i siostrami. Gdy w starszym wieku lekarze skazali go na przypiekanie czoła rozżarzoną żelazem, nawet w lęku i udręce ciężkiej choroby witał w tym straszliwym żelazie „swego drogiego brata, ogień”.

Poczynając więc obecnie kochać przyrodę dla niej samej, przysłuchując się jej jak przyjacielowi i towarzyszowi podróży, mówiącemu obcym językiem, wprawdzie nie wyleczyłem się z melancholii, ale poddałem ją oczyszczeniu i uszlachetnieniu. Moje oko i ucho wyostrzyły się, nauczyłem się dostrzegać subtelne odcienie i różnice i marzyłem o tym, żeby coraz bliżej i wyraźniej słyszeć tętno wszelkiego życia; żeby je kiedyś może zrozumieć i dostąpić łaski wyrażenia go słowem poety, aby także inni zbliżyli się doń i z większym zrozumieniem odwiedzili źródła orzeźwienia, oczyszczenia i dziecięcości. Na razie było to pragnienie, marzenie... Nie wiedziałem, czy może się kiedykolwiek spełnić, robiłem więc to, co było najbliższe: wszystkie widzialne rzeczy darzyłem miłością i przyzwyczałem się nie traktować niczego obojętnie czy pogardliwie.

Nie potrafię powiedzieć, jak odradzająco wpłynął ów zamiar na moje zaćmione życie, ile mi przyniósł pociechy! Nie ma nic szlachetniejszego i nic bardziej

uszcześliwiającego na świecie niż taka milcząca, stała, beznamiętna miłość i niczego nie pragnę goręcej ponad to, żeby z czytelników moich słów kilku albo choćby tylko dwóch czy jeden za moją zachętą zaczął uczyć się tej czystej i błogiej sztuki. Niektórzy posiadają ją z natury i uprawiają przez całe życie nieświadomie - są to ulubieńcy Boga, ludzie dobrzy, o dziecięcych duszach. Niektórzy nauczyli się jej w ciężkim cierpieniu - czy nie zauważyliście nigdy wśród kalek i nędzarzy istot o cichych, błyszczących oczach, pełnych dziwnej wyższości? Jeśli nie chcecie słuchać mnie i moich ubogich słów, idźcie do nich, w których wyzbyta pożądaną miłość pokonała i opromieniła cierpienie.

Od tej doskonałości, którą czciłem u niejednego biednego cierpiętnika, jestem dziś jeszcze bardzo daleki. Ale w ciągu tych lat rzadko tylko traciłem pocieszającą wiarę, że znam właściwą do niej drogę.

Nie mogę powiedzieć, abym zawsze nią szedł. Raczej siadałem po drodze na wszystkich napotkanych ławkach i nie szczędziłem sobie też złych drózek okrężnych. Dwie samolubne a silne skłonności sprzeciwiały się we mnie prawdziwemu uczuciu. Byłem pijakiem i odludkiem. Choć znacznie ograniczyłem swoje kwantum wina, co parę tygodni pochlebny bożek potrafił skusić mnie do rzucenia mu się w objęcia. Co prawda chyba nigdy nie zdarzyło mi się leżeć na ulicy albo wyprawiać jakieś



nocne awantury, wino bowiem kocha mnie i uwodzi zawsze tylko do punktu, gdzie jego duchy obcuja z moim własnym w przyjaznej pogwarce. Ale bądź co bądź po każdym pijaństwie sumienie dokuczało mi przez dłuższy czas. Mimo to nie mogłem swego uczucia skąpić właśnie winu, do którego odziedziczyłem silny pociąg po ojcu. Latami starannie i z pietyzmem hodowałem to dziedzictwo i przyswoiłem je gruntownie, pomogłem sobie zatem, zawierając pół żartem, pół serio umowę między skłonnością i sumieniem. Przyjąłem w poczet pieśni pochwalnych świętego z Asyżu „mego drogiego brata, wino”.

## Rozdział 6

Dużo gorszy był mój drugi grzech. Ludzie mnie nie cieszyli, prowadziłem tryb życia samotnika i dla spraw ludzkich zawsze miałem szyderstwo i pogardę.

Na początku mojego nowego życia wcale jeszcze o tym nie myślałem. Uważałem za słuszne pozostawić ludzi samym sobie i ofiarować swe zainteresowanie, tkliwość i oddanie wyłącznie niemej przyrodzie. Ona też zajęła mnie początkowo całkowicie.

Nocą, kiedy kładłem się do łóżka, przypominał mi się raptem jakiś wzgórek, skraj lasu, jakieś ulubione drzewo, którego już dawno nie odwiedzałem. Stało ono teraz nocą na wietrze, marząc, może śpiąc, wzdychając i ruszając gałęziami. Jak też wyglądało? Opuściłem dom, szedłem do niego i widząc jego niewyraźny kontur w ciemności, oglądałem je z czułym zdziwieniem i zabierałem jego mroczny obraz ze sobą.

Śmiejecie się z tego. Może było to uczucie zabłąkane, lecz nie zmarnowane. Ale jak znaleźć stąd drogę wiodącą do miłości człowieka?

No cóż, tam gdzie zrobiono jakiś początek, to, co najlepsze, zawsze samo przychodzi. Coraz bliżej i realniej jawiła mi się idea mego wielkiego poematu. A gdyby mi moje uczucie pozwoliło przemówić

językiem lasów i rzek - dla kogo bym mówił? Nie tylko dla moich ulubieńców, ale przede wszystkim dla ludzi, którym chciałem być przewodnikiem i nauczycielem miłości. I właśnie dla tych ludzi byłem szorstki, kpiący i nielitościwy. Czułem tę sprzeczność oraz konieczność pokonania obcości, okazywania również ludziom braterstwa. A to było trudne, bo los i osamotnienie uczyniły mnie właśnie na tym punkcie złym i twardym. Nie wystarczało, że starałem się w domu i w restauracji być mniej cierpkim, że po drodze uprzejmie komuś skinałem głową. Zresztą już przy tych próbach widziałem, jak gruntownie zepsułem sobie stosunki z ludźmi. Przyjmowano moje drobne uprzejmości nieufnie i chłodno albo uważano je za ironię. Najgorsze było to, że prawie cały rok unikałem domu owego uczonego, jedyne bliższego mi domu. Zrozumiałem, że przede wszystkim muszę znowu tam zastukać i znaleźć sobie jakąś drogę do tutejszego towarzystwa.

Tu pomogła mi znacznie moja własna wykpiąca ludzka słabość. Ledwie pomyślałem o owym domu, ujrzałem w duchu Elżbietę, piękną jak przed obłokiem Segantiniego, i spostrzegłem nagle, ile udziału miała w mej tęsknocie i melancholii. I stało się tak, że pierwszy raz serio pomyślałem o ożenku. Dotychczas byłem tak mocno przekonany o moim zupełnym antytalencie do małżeństwa, że pogodziłem się z tym ze zgryźliwą ironią. Byłem

poetą, powsinogą, pijakiem, samotnikiem! Teraz zdawało mi się, że poznaję swoje przeznaczenie, które małżeństwem z miłości chce stworzyć mi pomost do świata ludzi. Wszystko wyglądało tak ponętnie i pewnie! Czułem i widziałem, że Elżbieta darzy mnie zainteresowaniem, jak również że posiada wrażliwy i szlachetny charakter. Wspomniałem sobie, jak jej piękność ożyła w czasie rozmowy o San Clemente i przed obrazem Segantiniego. Ja zaś, czerpiąc od lat ze sztuki i przyrody, nagromadziłem bogate wewnętrzne zasoby; ode mnie nauczyłaby się dostrzegać drzemiące wszędzie piękno, ja otoczyłbym ją wszystkim, co ładne i prawdziwe, tak aby jej twarz i dusza wyzbyły się wszystkiego, co zmacone, i w pełni rozkwitły. Dziwnym cudem wcale nie odczuwałem komizmu mej nagłej przemiany. Ja, samotnik i dziwak, stałem się z dnia na dzień zakochanym chłopcem, marzącym o szczęściu małżeńskim i urządzeniu własnego domostwa.

Spiesznie udałem się do gościnnego domu, gdzie przyjęto mnie z życzliwymi wymówkami. Zachodziłem kilkakrotnie i po paru wizytach spotkałem znowu Elżbietę. O, jakże była piękna! Wyglądała tak, jak ją sobie wyobrażałem jako moją oblubienicę: piękna i szczęśliwa. Przez godzinę rozkoszowałem się pogodnym urokiem jej obecności. Przywitała mnie życzliwie, a nawet

serdecznie, z pewną przyjazną poufałością, która mnie uszczęśliwiała.

Czy przypominacie sobie ów wieczór na jeziorze, w łódce, ów wieczór z czerwonymi papierowymi lampionami, muzyką, z moimi w zarodku zdławionymi oświadczeniami? Była to smutna i śmieszna historia zakochanego chłopca.

Śmieszniejsza i smutniejsza jest historia zakochanego mężczyzny Petera Camenzinda:

Zupełnie mimochodem dowiedziałem się, że Elżbieta jest od niedawna zaręczona. Powinszowałem jej, poznałem narzeczonego, który po nią przyszedł, i powinszowałem również jemu. Przez cały wieczór życzliwie protekcyjny uśmiech nie schodził mi z twarzy, dla mnie samego nieznośny jak maska. Nie pobiegłem potem ani do lasu, ani do szynku, tylko siedziałem na moim łóżku, przyglądając się lampie, aż zaczęła kopcić i zgasła; siedziałem zdziwiony i ogłuszony, dopóki moja świadomość nie ocknęła się znowu.

Wtedy ból i rozpacz jeszcze raz rozpostarły nade mną swe skrzydła, tak że leżałem mały, słaby i złamany, szlochając jak dziecko.

Potem spakowałem plecak, udałem się rano na dworzec i pojechałem do domu. Zapragnąłem wspiąć się znowu na Sennalpstock, wspomnieć czasy dzieciństwa i zobaczyć, czy ojciec jeszcze żyje.

Staliśmy się sobie obcy. Ojciec posiwiiał całkiem, pochylił się nieco i wyglądał dość niepozornie. Odnosił się do mnie łagodnie i nieśmiało, nie pytał o nic, chciał mi odstąpić swoje łóżko i zdawał się być moimi odwiedzinami równie zaskoczony, co zakłopotany. Posiadał jeszcze domek, ale łąki i bydło sprzedał, kapitałik ulokował na procencie, a czasem wykonywał jeszcze jakąś lekką robotę.

Kiedy zostawił mnie samego, stanąłem w miejscu, gdzie dawniej stało łóżko matki, i przeszłość przesunęła się koło mnie jak szeroka, spokojna rzeka. Nie byłem już młodzieńcem. Pomyślałem, jak szybko minie parę lat i ja będę takim zgarbionym, siwym człowieczkiem, i ułożę się tu na gorzką śmierć. W prawie nie zmienionej, biednej, starej izbie, w której byłem małym dzieckiem, gdzie uczyłem się łaciny i widziałem śmierć matki, myśli te miały w sobie jakąś kojącą oczywistość. Z wdzięcznością wspomniałem całe bogactwo mej młodości i przypomniał mi się wiersz Lorenza Medici, którego nauczyłem się we Florencji:

Quant'e bella giovnezza,  
Ma si fugge tuttavia.  
Chi vuol esser lieto, sia:  
Di doman non c'e certezza.

[Najpiękniejsza pora – młodość, Choć ulotna, choć pierzchliwa. Kto chce użyć, niech używa,  
Jutro często nas zawodzi. (Przekład Jadwigi Dackiewicz.)]

„Jakie to dziwne - myślałem - że do tej starej rodzinnej izby wnoszę wspomnienia z Italii, z historii, z rozległej dziedziny ducha. ”

Potem dałem ojcu trochę pieniędzy. Wieczorem poszliśmy do gospody i tam było wszystko tak jak wtedy, tylko teraz ja płaciłem za wino i ojciec, opowiadając o gwieździstym winie i szampanie, powoływał się na mnie, ja też obecnie więcej wytrzymywałem od starego. Pytałem o tego zgrzybiałego chłopka, któremu wówczas wylałem wino na łysą pałę. Był to dowcipniś i wykpisz, ale już dawno nie żył i wspomnienie jego facecji zaczynało porastać trawą. Piłem waadtlandera, przysłuchiwałem się rozmowom, sam opowiedziałem coś niecoś, a kiedy wracałem z ojcem przy księżycu do domu i ojciec w pijackim zamroczeniu dalej gadał i gestykulował, czułem się osobliwie jak jeszcze nigdy i jakby zaczarowany. Otaczały mnie obrazy z dawniejszych lat, wuj Konrad, Rosi Girtanner, matka, Ryszard, panna Aglietti, a ja oglądałem je jak ładną książkę z obrazkami, której się człowiek dziwi, że tak pięknie i doskonale wyglądają w niej wszystkie rzeczy, nie będące naprawdę ani w połowie tak wspaniałe. Przemięło to wszystko koło mnie, zatoneło, prawie zapomniane, a jednak jakże zapisało się jasno i wyraźnie: mimo woli zachowane w pamięci pół życia.

Dopiero po powrocie do domu, późno już, kiedy

ojciec umilkł i zasnął, pomyślałem znowu o Elżbiecie. Jeszcze wczoraj witała mnie, a ja podziwiałem ją i życzyłem jej narzeczonemu szczęścia. Zdawało mi się, że od tej chwili minęło wiele czasu. Ale ból się ocknął, zmieszał z falą wypłoszonych wspomnień i wstrząsał moim samolubnym i źle zabezpieczonym sercem jak fen rozdygotanym, walącym się szalasem. Nie mogłem usiedzieć w domu. Wyskoczyłem przez niskie okno, przeszedłem przez ogródek nad jezioro, odwiązałem opuszczone czółno i popłynąłem w bladą noc. Dokoła milczały uroczyście góry w srebrnych oparach, bliski pełni księżyc wisiał w granatowej nocy, schodząc się niemal z wierzchołkiem Schwarzenstocku. Było tak cicho, że od dalekiego Sennalpstocku dochodził mnie cichy szum wodospadu. Duchy ojczyste i duchy mej młodości, wypełniając małe czółno, dotykały mnie bladymi skrzydłami i wyciągały błagalnie ręce w bolesnym, niezrozumiałym geście.

Co więc oznaczało moje życie i dlaczego doświadczyłem tyle radości i cierpień? Czemu miewałem pragnienie prawdy i piękna, skoro jeszcze dziś byłem łaknący? Czemu w uporze i łzach dręczyłem się miłością dla tych pożądania godnych kobiet - ja, który dzisiaj znowu w zawstydzeniu i łzach chyliłem głowę przed smutną miłością? I dlaczego niepojęty Bóg wlał mi w serce palącą tęsknotę za miłością, skoro przeznaczył mi żywot



samotnika i odludka, którego nikt nie kocha?

Woda bulgotała głucho wzdłuż dzioba i kapła srebrzyście z wiosła, góry wznosiły się dokoła bliskie i milczące, nad mgłami przełęczą sunęło chłodne światło księżyca. A duchy mej młodości stały bez słów wokół mnie, spoglądając głębokimi oczami z cichym pytaniem. Zdawało mi się, że widzę wśród nich również piękną Elżbietę i że byłaby mnie kochała i została moją, gdybym się był w porę zjawił.

Zdawało mi się także, że będzie najlepiej, jeśli utonę cicho w tym bladym jeziorze i nikt o mnie nie zapyta. Ale mimo to wiosłowałem szybciej, gdy spostrzegłem, że stare, liche czółno nabiera wody. Nagle zrobiło mi się chłodno i pospieszyłem do domu, do łóżka. Potem leżałem zmęczony, nie mogąc zasnąć, i zastanawiałem się nad własnym życiem, próbując znaleźć, czego mi brak i czego mi trzeba, aby żyć szczęśliwiej i prawdziwiej i zbliżyć się do sedna istnienia.

Wiedziałem wprawdzie, że rdzeniem wszelkiej dobroci i radości jest miłość i że pomimo mojego świeżego bólu z powodu Elżbiety muszę zacząć szczerze kochać ludzi. Ale jak? I kogo?

Wtem przypomniał mi się mój stary ojciec i spostrzegłem po raz pierwszy, że nigdy go nie kochałem tak naprawdę. Będąc chłopcem, zatruwałem mu życie, potem poszedłem z domu, zostawiając go samego nawet po śmierci matki,

często złościłem się na niego, a w końcu prawie całkiem o nim zapomniałem. Wyobraziłem sobie, że leży na łożu śmierci, a ja stoję obok sam, osierocony, widząc, jak uchodzi jego obca mi do końca dusza, o której miłość nigdy nie zabiegałem.

Zacząłem zatem uczyć się owej trudnej i słodkiej umiejętności zamiast na pięknej, podziwianej kochance - na starym, strupieszalym pijaku. Nie rzucałem mu już szorstkich odpowiedzi, w miarę możliwości zajmowałem się nim, czytałem mu powiastki z kalendarza i opowiadałem o winach rosnących i używanych we Francji i Italii. Nie mogłem mu odebrać tej odrobiny pracy, którą wykonywał, ponieważ byłby się bez niej całkiem opuścił. Nie udało mi się również przyzwycząić go do wypicia wieczornej szklanki wina ze mną w domu zamiast w knajpie. Próbowaliśmy przez kilka wieczorów. Przynosiłem wino i cygara i starałem się starca zabawić. Czwartego czy piątego wieczoru był cichy i zacięty, a na moje pytanie, co mu dolega, poskarżył się wreszcie:

- Zdaje mi się, że nie chcesz swego ojca puścić do gospody.

- Nic podobnego - odpowiedziałem - ty jesteś ojcem, a ja synem, i ty decydujesz, jak ma być.

Badawczo spojrział na mnie przymrużonymi oczami, po czym ucieszony sięgnął po czapkę i we dwójkę pomaszerowaliśmy do gospody.

Wyraźnie było widać, że dłuższe przebywanie razem byłoby ojcu niemiłe, chociaż nic o tym nie wspomniał. Również i mnie gnało, aby gdzieś na obczyźnie znaleźć ukojenie skłóconych uczuć i myśli.

- Co byś powiedział, gdybym w tych dniach znowu wyjechał? - zapytałem starego.

Podrapał się w głowę, wzruszył swymi poszczupłymi ramionami i uśmiechnął się chytrze i wyczekująco:

- No, jak tam chcesz!

Przed wyjazdem zaszedłem do kilku sąsiadów, a także do klasztoru i poprosiłem, aby uważali na ojca. Wykorzystałem również jeden ładny dzień na wycieczkę na Sennalpstock. Z jego półokrągłej, szerokiej kopy widziałem góry i zielone doliny, błyszczące wody i opary odległych miast. Wszystko to napełniało mnie za chłopięcych lat nieprzepartą tęsknotą - wyruszyłem, aby zdobyć piękny, szeroki świat, a teraz rozpościerał się on znowu przede mną, tak piękny i obcy jak niegdyś, i byłem gotów znowu wyruszyć i jeszcze raz szukać krainy szczęścia.

Dla dobra moich studiów dawno postanowiłem udać się na dłuższy czas do Asyżu. Wróciłem więc na razie do Bazylei, załatwiłem, co najkonieczniejsze, zapakowałem moje manatki i wysłałem je naprzód do Perugii. Sam dojechałem tylko do Florencji i stamtąd powędrowałem wolno i

wygodnie piechotą na południe. W tamtych stronach nie potrzeba żadnych umiejętności dla przyjaznego obcowania z ludem; życie toczy się tam zawsze na powierzchni i jest tak proste, swobodne i naiwne, że człowiek od miasteczka do miasteczka zawiera beztrąsko przyjaźnię z całym mnóstwem ludzi. Czuję się znowu swojsko zadomowiony i postanowiłem także później w Bazylei szukać ciepłej bliskości ludzkiego życia nie wśród elity, lecz między prostym ludem.

W Perugii i Asyżu moje studia historyczne stały się znowu ciekawe i żywe. Ponieważ nawet codzienne bytowanie stanowiło tam przyjemność, ma okaleczona dusza zaczynała wracać do zdrowia i budować nowe mosty ku życiu. Moja gospodyni w Asyżu, gadatliwa i nabożna handlarka warzyw, zawarła ze mną na podstawie kilku rozmów o świętym serdeczną przyjaźń i wyrobiła mi opinię rzetelnego katolika. Choć zaszczyt ten był niezasłużony, dawał mi jednak przywilej bliższego obcowania z ludźmi, uwalniając od zarzutu pogaństwa, który zazwyczaj czepia się tu każdego cudzoziemca. Niewiasta nazywała się Annunziata Nardini, liczyła lat trzydzieści cztery i była wdową o bardzo dobrych manierach i kolosalnych kształtach. W niedzielę, w kwiecistej kolorowej sukni, wyglądała jak uosobienie święta; nosiła wówczas oprócz kolczyków także złoty łańcuch na piersi,

pobrzękujący i świecący mnóstwem medalików ze złotej blachy. Ponadto dźwigała ciężki, srebrem okuty brewiarz, którego używanie sprawiłoby jej chyba pewien trud, oraz ładny czarno-biały różaniec ze srebrnymi łańcuszkami, którym posługiwała się za to o wiele sprawniej. Gdy między dwoma nabożeństwami siedziała w maleńkiej loggii i zdumionym sąsiadkom wyliczała grzechy nieobecnych przyjaciółek, na jej okrągłym, pobożnym obliczu malował się rozrzewniający wyraz duszy pogodzonej z Bogiem.

Ponieważ ludzie w żaden sposób nie mogli wymówić mego nazwiska, nazywałem się po prostu signor Piętro. W piękne, złociste wieczory siedzieliśmy razem w loggii, wraz z sąsiadami, dziećmi i kotami, albo w sklepie, wśród owoców, koszy z jarzynami, pudeł z nasionami i wiszących pod powałą wędlin, i opowiadaliśmy sobie nawzajem nasze przeżycia, omawialiśmy perspektywy żniw, paliliśmy cygara albo ssaliśmy kawałki melona. Mówiłem im o świętym Franciszku, o historii Porcjunkuli i kościoła tego świętego, o świętej Klarze i pierwszych braciach. Słuchano z powagą, stawiając tysiące drobnych pytań, chwalono świętego, po czym zabierano się do roztrząsania nowszych i bardziej sensacyjnych wydarzeń, z których szczególnym powodzeniem cieszyły się historie o zbójcach i waśnie polityczne. Między nami bawiły się i biły koty,

dzieci i pieski. Z własnej chęci i dla podtrzymania dobrej reputacji szukałem w świecie legendy franciszkańskiej jakichś budujących i wzruszających powiastek i cieszyłem się, że obok nielicznych innych książek zabrałem również *Żywoty patriarchów i innych Bogu miłych osób* Arnolda, którego pocziwe anegdotki tłumaczyłem na prosty, ludowy język włoski. Przechodnie przystawali na chwilę, słuchali, wtrącali się do rozmowy, tak że często towarzystwo zmieniało się w ten sposób trzy i cztery razy jednego wieczoru, a tylko pani Nardini i ja przebywaliśmy tu stale, nie opuszczając żadnego zebrania. Miałem pod ręką swoje czerwone wino *fiasco* i imponowałem biednemu, umiarkowanie żyjącemu ludkowi moimi niemałymi możliwościami. Z czasem oswoiły się też płochliwe dziewczęta z sąsiedztwa i stojąc na progu, brały udział w rozmowie, przyjmowały obrazki i zaczynały wierzyć w moją świętobliwość, ponieważ ani nie pozwalałem sobie na natrętne żarty, ani w ogóle nie zależało mi na spoufalaniu się z nimi. Było wśród nich kilka wielkookich, rozmarzonych piękności, przypominających obrazy Perugina. Lubiałem je wszystkie i cieszyła mnie ich dobroduszna, filuterna obecność, ale nigdy się w żadnej nie zakochałem, ponieważ te ładniejsze wśród nich były tak bardzo do siebie podobne, że uroda ich przemawiała do mnie zawsze tylko jako rasa, a nigdy jako osobisty wdzięk.

Często pokazywał się też Matteo Spinelli, młody chłopaczek, syn piekarza, przebiegły i dowcipny hultaj. Umiał naśladować głosy mnóstwa zwierząt, był poinformowany o każdym skandalu i aż pękał od nadmiaru zuchwałych i chytrych pomysłów. Gdy opowiadałem legendy, przysłuchiwał się z bezprzykładną wprost pokorą i nabożnością, ale potem kpił sobie ze świętych ojców wypowiedzanymi naiwnie i złośliwymi pytaniami, porównaniami i przypuszczeniami, ku zgorszeniu owocarki i nieukrywanej radości większości słuchaczy.

Często też siedziałem sam u pani Nardini, słuchając budujących przemówień i ciesząc się wcale nie po chrześcijańsku z jej rozlicznych ludzkich słabostek. Jej uwagi nie uszedł żaden błąd ani grzech bliźnich, z góry też wyznaczała im po dokładnym rozważeniu należne miejsce w czyścicu. Mnie zaś polubiła i zwierzała mi się szczerze i szczegółowo z najdrobniejszych przeżyć i obserwacji. Po każdym drobnym zakupie dopytywała się, ile zapłaciłem, i czuwała nad tym, by mnie nie oszukiwano. Kazała sobie opowiadać żywoty świętych i w zamian zaznajamiała mnie z tajnikami zakupu owoców, handlu warzywami i kuchni. Pewnego wieczoru siedzieliśmy w walącej się loggii. Ku szalonej radości dzieci i dziewcząt zaśpiewałem piosenkę szwajcarską, kończąc ją jodłowaniem. Wszyscy skręcali się wprost z uciechy, naśladowali

brzmienie obcego języka i pokazywali, jak śmiesznie chodziła mi grdyka w górę i w dół przy jodłowaniu. Wtem ktoś zaczął mówić o miłości. Dziewczęta chichotały, pani Nardini przewracała oczami, wzdychając sentymentalnie, i w końcu zaczęto nalegać na mnie, abym opowiedział własne przeżycia miłosne. Nie wspomniałem o Elżbiecie, ale zrelacjonowałem moją przejażdżkę czółnem z panną Aglietti i moje nieudane oświadczenia. Poza Ryszardem nie zwierzyłem się z tego nikomu ani słowem i dziwnie mi teraz było opowiadać tę historię mojemu ciekawemu umbryjskiemu towarzystwu, w obliczu wąskich, jak wszędzie na Południu, kamiennych uliczek i wzgórz, nad którymi pachniał czerwonozłoty wieczór. Opowiadałem bez szczególnych refleksji, na sposób starych nowel, a jednak serce me brało udział w tej opowieści i bałem się skrycie, że słuchacze będą się śmiali i kpili ze mnie.

Ale kiedy skończyłem, oczy wszystkich wpatrywały się we mnie ze współczuciem i smutkiem.

- Taki przystojny mężczyzna! - zawołała żywo jedna z dziewczyn. - Taki przystojny i kocha się nieszczęśliwie!

Pani Nardini zaś pogłaskała mnie miękką, pulchną dłonią ostrożnie po włosach, mówiąc:

- *Poverino!* [Biedaczek! (wł.)]

Jakaś dziewczyna podarowała mi dużą gruszkę, a



kiedy ją poprosiłem, aby sama ją napoczęła, uczyniła to, patrząc na mnie z powagą. Ale gdy chciałem również inne dziewczęta poczęstować, nie zgodziła się:

- Nie, niech ją pan sam zje! Podarowałam ją panu, ponieważ opowiedział nam pan o swoim nieszczęściu.

- Ale teraz pan zapewne kocha inną - powiedział pewien ogorzały winiarz.

- Nie - odrzekłem.

- O, pan ciągle jeszcze kocha tę niedobrą Erminię?

- Obecnie kocham świętego Franciszka i on nauczył mnie kochać wszystkich, was i ludzi z Perugii, a także wszystkie te dzieci tutaj i nawet kochanka Erminii.

Tej sielance zaczęły zagrażać pewne komplikacje i niebezpieczeństwa, z chwilą kiedy odkryłem, że zacna signora Nardini żywi gorące pragnienie, abym pozostał na stałe i ożenił się z nią. Ta drobna afera przekształciła mnie w przebiegłego dyplomata, nie było bowiem rzeczą łatwą burzyć te marzenia, nie psując przy tym harmonii i nie tracąc wygodnej dla mnie przyjaźni. Zresztą musiałem już myśleć o powrocie. Gdyby nie myśl o przyszłym poemacie i grożąca mi pustka w kieszeni, pozostałbym tam. Byłbym może nawet, właśnie z powodu owej pustki, ożenił się z signorą Nardini. Chociaż nie, powstrzymywał mnie jeszcze nieukoiony ból po

utracie Elżbiety i pragnienie ponownego zobaczenia jej.

Pulchna wdowa wbrew przewidywaniom pogodziła się jakoś z nieodwołalnym losem i nie dała mi odczuć swego rozczarowania. Gdy wyjeżdżałem, pożegnanie było dla mnie może nawet smutniejsze niż dla niej. Porzucałem więcej niż kiedykolwiek w ojczyźnie i nigdy jeszcze tyle drogich osób nie ścisnęło mi tak serdecznie ręki przy rozstaniu. Dali mi na drogę owoce, wino, słodką wódkę, chleb i kiełbasę i przeżywałem nieznane dotąd wrażenie, że rozstaję się z przyjaciółmi, którym nie jest obojętne, czy odchodzę, czy zostaję. A pani Annunziata Nardini pocałowała mnie na pożegnanie w oba policzki i miała łzy w oczach.

Dawniej myślałem, że musi stanowić szczególną przyjemność być kochanym, nie kochając samemu. Obecnie dowiedziałem się, jak przykra jest taka oddana miłość, której nie można odwzajemnić. A jednak byłem trochę dumny z tego, że obca kobieta kocha mnie i pragnie za męża.

Już ta drobna próżnostka oznaczała krok naprzód na drodze do mego wyzdrowienia. Żał mi było pani Nardini, a jednak nie pragnąłem, aby się to wszystko nie było stało. Poza tym rozumiałem z biegiem czasu coraz lepiej, że szczęście ma niewiele wspólnego ze ziszczeniem realnych marzeń oraz że cierpienia zakochanych młodzieńców pomimo całej swej

przykrości pozbawione są tragizmu. Oczywiście, było to bolesne, że nie mogłem osiąść Elżbiety. Ale moje życie, moja wolność, praca i poglądy nie poniosły przez to szwanku, a na odległość mogłem ją przecież kochać do woli tak jak i przedtem. Tego rodzaju rozumowanie, a jeszcze bardziej naiwna pogoda mego życia podczas umbryjskich miesięcy podziały na mnie niezwykle kojąco. Zawsze posiadałem zmysł dla wszystkiego, co śmieszne i cudaczne, ale niestety sam sobie psułem zabawę swoją ironią. Teraz otworzyły mi się z wolna oczy na wesołe strony istnienia i pogodzenie się z losem oraz uszczknięcie jeszcze niejednego dobrego kęsa z biesiadnego stołu życia wydawało mi się coraz możliwe i łatwiejsze.

Oczywiście, zawsze tak jest, gdy wraca się z Italii. Człowiek gwizdże wtedy na zasady i przesady, uśmiecha się pobłaźliwie, trzyma ręce w kieszeniach i uważa siebie za chytrego poskromiciela życia. Wraz z tamtejszym ludem popływał chwilę w przyjemnie ciepłym nurcie Południa i wyobrażał sobie, że w domu nic się nie zmieni. Tak było i ze mną za każdym powrotem z Italii, a wtedy najbardziej. Kiedy wróciłem do Bazylei i zastałem tam dawne, sztywne życie, nie odmłodzone i nie zmienione, zniechęcony i zwarzony zstępowałem stopień po stopniu z wyżyn mej pogody. Ale coś z tej zdobyczy kiełkowało jednak dalej i od tej pory moja

łódeczka już nigdy nie tłuła się po czystych czy mętnych wodach bez jednej przynajmniej małej kolorowej chorągiewki, furkoczącej zawadiacko i poufale na wietrze.

Również pod innymi względami pojęcia moje zmieniały się stopniowo. Bez wielkiego żalu czułem, że wyrastam z okresu młodzieńczego i zbliżam się ku owemu dojrzałemu wiekowi, kiedy to człowiek uczy się uważać własne życie za krótki odcinek drogi, a siebie samego za wędrowca, który swą wędrówką czy nawet ostatecznym zniknięciem ani nie poruszy, ani nie zainteresuje świata. Nie tracimy wprawdzie wówczas z oczu celu życia, swego ulubionego marzenia, ale już nie czujemy się niezbędnymi i po drodze niejednokrotnie pozwalamy sobie na opuszczenie jednego dnia bez wyrzutów sumienia, aby ułożyć się w trawie, zagwizdać piosenkę i cieszyć się miłą teraźniejszością bez jakichkolwiek ukrytych myśli. Dotychczas, mimo że nigdy nie należałem do wyznawców Zaratustry, byłem jednak „nadczołowiekiem” i nie zbywało mi na samouwielbieniu, jak również na pogardzie względem ludzi podlejszego stanu. Obecnie rozumiałem coraz lepiej, że nie ma jakichś sztywnych granic i że wśród ludzi małych, uciśnionych i biednych życie jest nie tylko tak samo różnorodne, ale przeważnie też serdeczniejsze, prawdziwsze i cnotliwsze niż w błyskotliwych sferach

ludzi uprzywilejowanych.

Wróciłem zresztą w samą porę do Bazylei, aby wziąć udział w pierwszym przyjęciu w domu Elżbiety, która tymczasem wyszła za mąż. Byłem w dobrym humorze, jeszcze świeży i opalony z podróży, i przywoziłem mnóstwo drobnych wesołych wspomnień. Piękna kobieta raczyła wyróżniać mnie pełną wdzięku poufałością i cały wieczór cieszyłem się z mego szczęścia, które mi swego czasu zaoszczędziło kompromitacji spóźnionych oświadczeń. Mimo bowiem moich włoskich doświadczeń miałem ciągle jeszcze lekkie podejrzenie, że kobiety doznają okrutnej przyjemności na widok beznadziejnych mąk zakochanych w nich mężczyzn. Za doskonały przykład tej hańbiącej i niemilej prawdy posłużyła mi krótka powiastka z życia dzieci, którą kiedyś usłyszałem z ust pięcioletniego chłopca. W szkole, do której uczęszczał, panował następujący dziwny i symboliczny zwyczaj. Jeśli chłopak dopuścił się jakiegoś nazbyt wielkiego przestępstwa i miał za to dostać w skórę, delegowano sześć małych dziewczątek, aby przytrzymały opornego delikwenta na ławce w tym krępującym położeniu, jakiego owa kara wymagała. Ponieważ funkcja ta uchodziła za nie lada przyjemność i wielki zaszczyt, zawsze tylko sześć najgrzeczniejszych i wzorowych dziewczątek doznawało okrutnej uciechy. Ta zabawna historia

dziecięca zastanowiła mnie i wkradła się nawet parę razy w moje sny, tak że przynajmniej z doświadczenia snu wiem, jak podle człowiek czuje się w takiej sytuacji.

## Rozdział 7

Dla mojej pisaniny podobnie jak i przedtem nie żywiłem szacunku. Mogłem żyć ze swej pracy, odłożyć drobne oszczędności, a niekiedy także ojcu posyłać trochę pieniędzy. Zanosił je ochoczo do karczmy, gdzie wygłaszał pochwalne mowy o mnie i myślał nawet o tym, żeby mi się odwdzięczyć. Powiedziałem mu kiedyś, że zarabiam na życie przeważnie pisaniem artykułów do gazety. Uważał mnie zatem za redaktora albo reportera, w rodzaju tych, jakich posiadają wiejskie gazety okręgowe, i podyktował dla mnie trzy listy donoszące o wypadkach, które wydały mu się ważne, a mnie, jak mniemał, dostarczą materiału do pisania i pieniędzy. Raz był to pożar stodoły, potem śmierć dwóch turystów w górach, a za trzecim razem wyniki wyborów sołtysa. Nowiny te były od razu podane przezeń w groteskowo brzmiącym stylu dziennikarskim i szczerze się nimi ucieszyłem; stanowiły bowiem dowód przyjaznego kontaktu między ojcem a mną, a poza tym były to od wielu lat pierwsze listy otrzymane z domu. Ubawiły mnie też jako niezamierzone wykpienie mojej pisaniny, ponieważ miesiąc w miesiąc omawiałem niejedną książkę, której ukazanie się doniosłością i konsekwencjami nie dorównywało owym wiejskim wydarzeniom.

Właśnie wtedy wyszły dwie książki autorów, których swego czasu poznałem w Zurychu jako ekstrawaganckich młodocianych liryków. Jeden z nich mieszkał obecnie w Berlinie i miał dużo do powiedzenia o bagienku kawiarni i burdeli stołecznych. Drugi wybudował sobie w okolicy Monachium luksusową pustelnię i pełen pogardy miotał się beznadziejnie między neurasteniczną samoobserwacją a spirytystycznymi podnietami. Musiałem te książki omówić i oczywiście wykpiłem obie w nieszkodliwy sposób. Od neurastenika nadszedł tylko wzgardliwy list napisany w iście książęcym stylu. Ale berlińczyk zrobił awanturę w jednym z czasopism, uważając, że zapoznają jego poważny zamysł, powołał się na Zolę i z mej nierozumnej krytyki uczynił zarzut nie tylko mnie, ale w ogóle zarozumiałemu i prozaicznemu duchowi Szwajcarów. Przy tym w Zurychu właśnie przeżył on może jedyny jako tako zdrowy i godny okres swego życia literackiego. Nigdy nie byłem szczególnym patriotą, ale tej pychy berlińskiej było mi jednak trochę za dużo; odpowiedziałem więc niezadowolonemu długą epistołą, w której nie ukrywałem mego lekceważenia dla nadętego modernizmu metropolii.

Ta kłótnia dobrze mi zrobiła i zmusiła do ponownego zastanowienia nad moim stosunkiem do współczesnego życia kulturalnego. Była to praca



żmudna i długa, o niekoniecznie przyjemnych wynikach. Książeczka moja nic nie straci, jeśli o niej zamilczę.

Równocześnie jednak rozważania te zmusiły mnie, abym wnikliwiej zastanowił się nad samym sobą i od dawna projektowanym dziełem mego życia.

Jak wiadomo, pragnąłem w utworze większych rozmiarów przybliżyć dzisiejszym ludziom wielkie, nieme życie przyrody i zachęcić do pokochania go. Chciałem nauczyć ich wsłuchiwać się w tętno ziemi, brać udział w życiu całej przyrody, aby w natłoku swych małych losów nie zapomnieli, że nie jesteśmy bogami stworzonymi przez nas samych, tylko dziećmi i częstkami ziemi i całego kosmosu. Chciałem przypomnieć, że na równi z pieśniami poetów i snami naszych nocy także rzeki, morza, sunące chmury i wichry są symbolami i nosicielami tęsknoty; rozpina ona swe skrzydła między niebem i ziemią, a jej celem jest nie znająca wątpliwości pewność o prawie obywatelstwa i nieśmiertelności wszystkiego, co żywe. Najgłębszy rdzeń każdej istoty jest pewien tych praw, jest dziecięciem Boga i spoczywa bez lęku na łonie wieczności. Wszystko zaś, co złe, chore, zepsute w nas, popycha ku przeczeniu i utrwała wiarę w śmierć.

Ale chciałem też nauczyć ludzi szukania źródeł radości i życia w bratniej miłości do przyrody; chciałem głosić sztukę patrzenia, wędrowania,

rozkoszowania się rzeczywistością. Chciałem, żeby góry, morza i zielone wyspy przemówiły do was kusząco, ze zniewalającą siłą, i chciałem was zmusić, abyście zobaczyli, jakie niezmiernie różnorodne, bujne życie kwitnie co dzień i kipi poza obrębem waszych domów i miast. Chciałem dopiąć tego, abyście się zawstydzili, iż więcej wiecie o zagranicznych wojnach, o modzie, plotkach, literaturze i sztuce niż o wiosnie, która za waszymi miastami wybucha swym nieokiełznanym życiem, i o rzece płynącej pod waszymi mostami, i o lasach i wspaniałych łąkach, przez które pędzą wasze koleje. Chciałem wam opowiedzieć, jaki złoty korowód niezapomnianych rozkoszy ja, samotnik i mizantrop, znalazłem na tym świecie, i pragnąłem, żebyście wy, którzy może jesteście szczęśliwsi i weselsi ode mnie, z jeszcze większą radością odkrywali ten świat. I chciałem przede wszystkim złożyć piękną tajemnicę miłości w wasze serca. Spodziewałem się nauczyć was, jak macie być prawdziwie braćmi wszystkiego, co żywe, tak pełnymi miłości, żebyście się już nawet nie lękali cierpienia ani śmierci, tylko przyjęli je poważnie i po bratersku, gdy jak poważne rodzeństwo do was przyjdą.

Wszystko to spodziewałem się opisać nie w hymnach i peanach, tylko po prostu, prawdziwie i rzeczowo, serio i żartobliwie, tak jak powracający do kraju turysta opowiada o świecie swoim kolegom.

Chciałem - pragnąłem - spodziewałem się - to rzeczywiście brzmi śmiesznie. Ciągłe czekałem dnia, kiedy te rozliczne zamiary ułożą się w jakiś plan i nabiorą konturów, ale tymczasem przynajmniej wiele nagromadziłem. Nie tylko w głowie, lecz także w dużej ilości wąskich notatników, jakie zabierałem ze sobą w podróże i marsze, a z których co parę tygodni jeden się zapełniał. Zapisywałem w nich krótko i zwięźle swoje wrażenia, nie wdając się w refleksje ani nie dążąc do syntezy. Były to jakby szkicowniki rysownika, zawierające w krótkich słowach same realia: obrazki z ulic i gościńców, sylwetki gór i miast, podsłuchane rozmowy wieśniaków, czeladników, przekupek, przepowiednie o pogodzie, wzmianki o słońcu, wiatrach, deszczach, skałach, roślinach, zwierzętach, locie ptaków, kształtach fal, grze kolorów morza i formacjach chmur. Czasami opracowywałem na ich podstawie krótkie opowiadania i drukowałem je jako studia z przyrody i wędrówek, ale wszystko to bez jakiegokolwiek związku z człowiekiem. Uważałem, że nawet bez ludzi historia jakiegoś drzewa, żywot zwierzęcia lub podróż chmury jest dostatecznie ciekawa.

Nieraz przychodziło mi już do głowy, że większe dzieło bez jakichkolwiek postaci ludzkich jest rzeczą nie do pomyślenia, ale od lat prześladował mnie ten ideał i żywiłem niewyraźną nadzieję, że może kiedyś w wielkim jakimś natchnieniu dopiąłbym tego, co

niemożliwe. Obecnie zrozumiałem wreszcie, że muszę moje piękne krajobrazy wypełnić ludźmi, odmalowując ich jak najbardziej naturalnie i wiernie. W tej dziedzinie miałem nieskończenie dużo do nadrobienia i dziś jeszcze nadrabiam. Dotychczas ludzie stanowili dla mnie jakąś ogólnikową całość, obcą mi w gruncie rzeczy. Ostatnio jednak przekonałem się, że warto zamiast abstrakcyjnej ludzkości poznawać i zgłębiać jednostki, i moje notesy oraz pamięć wypełniały się całkiem nowymi obrazami.

Początek tych studiów był dość zachęcający. Porzuciłem moją naiwną obojętność i zacząłem się interesować różnymi ludźmi. Spostrzegłem, ile spraw oczywistych pozostało dla mnie obcymi, ale zorientowałem się też, jak otworzyły mi i wyostrzyły oczy rozliczne wędrówki i obserwacje. A ponieważ od dawna czułem szczególne zamiłowanie do dzieci, chętnie i często zacząłem z nimi przestawać.

Jednakże obserwacja chmur i fal była przyjemniejsza od studiów nad człowiekiem. Ze zdumieniem spostrzegłem, że człowiek różni się od reszty przyrody przede wszystkim tą jakąś śliską galaretą zakłamania, która otacza go i chroni. Wkrótce zaobserwowałem u wszystkich moich znajomych to samo zjawisko - będące wynikiem okoliczności, że każdy jest zmuszony reprezentować jakąś osobowość, jakąś wyraźnie zarysowaną

postać, gdy tymczasem nikt nie zna swej najgłębszej istoty. Z dziwnym uczuciem stwierdziłem to samo u siebie, wobec czego porzuciłem zamiar zgłębienia ludzi do dna. U większości z nich galareta była dużo ważniejsza. Znajdywałem ją nawet już u dzieci, które stale, świadomie lub podświadomie, wolą grać jakąś rolę, niż objawiać się bezpośrednio i bez obstępów.

Po pewnym czasie wydało mi się, że nie robię już postępów i gubię się w nieistotnych szczegółach. Najpierw szukałem błędu w sobie samym, ale wkrótce nie mogłem już wątpić, że się rozczarowałem i że w moim otoczeniu nie spotykam takich ludzi, jakich szukam. Nie potrzeba mi było ciekawostek, lecz typów. Nie dawał mi ich ani świat uniwersytecki, ani ludzie z towarzystwa. Z żalem wspominałem Italię oraz jedyne przyjaciół i towarzyszy moich rozlicznych pieszych wędrówek - czeladników. Dużo się z nimi nachodziłem i spotkałem wśród nich wielu wspaniałych chłopców.

Bez skutku odwiedziłem gospodę „Pod Ojczystym Niebem” oraz kilka innych ponurych zajazdów. Nic mi nie przyszło z tłumu stale zmieniających się łazików. Czułem zatem znowu jakiś czas bezradny, trzymałem się dzieci i uprawiałem liczne studia po szynkach, w których oczywiście też nic się nie udawało znaleźć. Nadeszły smutne tygodnie, kiedy sobie nie ufałem, uważając moje nadzieje i pragnienia za śmieszny przesadę, wałęsałem się

znów dużo za miastem i ślęczałem nocami przy winie.

Na moich stołach nagromadziło się wtedy od nowa kilka stert książek, które byłbym chętnie zatrzymał, zamiast oddać je antykwariuszowi, ale w szafach już nie było miejsca. Chcąc temu wreszcie zaradzić, zaszedłem do małej stolarni i poprosiłem majstra, aby przyszedł do mnie wziąć wymiary na półkę biblioteczną.

Przyszedł. Był to mały, powolny człowiek o statecznych ruchach, zalatujący nieco zapachem kleju; wymierzył powierzchnię, ukląkł na podłodze, podciągnął miarę pod sufit i zapisywał starannie liczbę po liczbie calowymi cyframi w notesie. Przypadek zrządził, że w czasie tej krzątania potracił krzesło obładowane książkami. Kilka tomów spadło i majster schylił się, aby je podnieść. Wśród książek znajdował się mały podręczny słownik gwary czeladniczej. Spotyka się ów nieduży tomik oprawiony w karton niemal we wszystkich niemieckich zajazdach czeladniczych; jest to dobrze zrobiona, pocieszna książeczka.

Stolarz, ujrawszy dobrze mu znany tomik, spojrzął na mnie osobliwie, ni to rozbawiony, ni to nieufny.

- No, cóż tam? - zapytałem.

- Za pozwoleniem, widzę tu książkę, którą ja też znam. Czy pan się z niej naprawdę uczył?

- Gwary czeladników nauczyłem się na gościńcu - odparłem - ale miło raz po raz sprawdzić jakieś wyrażenie.

- Coś podobnego! - zawołał. - A czyż pan sam był kiedyś na wędrownicy?

- Niezupełnie tak, jak pan myśli. Ale dość się nawędrowałem i nocowałem w niejednym zajeździe.

Ułożył tymczasem książki na miejsce i zabierał się do odejścia.

- A gdzie pan się swego czasu obijał? - zapytałem.

- Stąd wędrowałem ku Koblencji, a później dalej jeszcze, w stronę Genewy. Nienajgorsze to były czasy.

- A w mamrze pan czasem nie siedział?

- Tylko raz, w Durlach.

- Musi mi pan jeszcze coś opowiedzieć, jeśli pan ma ochotę. Może spotkamy się kiedyś przy szklaneczce?

- Niechętnie, panie. Ale się nie sprzeciwię, jeśli pan kiedy po fajrancie zajdzie do mnie i zapyta, co słyhać. O ile pan oczywiście nie zamierza żartów sobie ze mnie stroić!

W parę dni później, w wieczór przyjęć u Elżbiety, przystanąłem na ulicy i zastanawiałem się, czy nie pójść raczej do mego stolarza. Zawróciłem, zostawiłem wizytowe ubranie w domu i udałem się do majstra. W warsztacie było już ciemno. Potykając się, przeszedłem przez mroczną sień i wąskie

podwórko, wdrapałem się w oficynie na schody i odkryłem wreszcie na jakichś drzwiach szyld z jego nazwiskiem. Wchodząc, znalazłem się od razu w bardzo małej kuchni, gdzie chuda kobieta przygotowywała wieczerzę, pilnując równocześnie trójki dzieci, które napełniały tę izbę życiem i niepowszednim gwarem. Zdziwiona zaprowadziła mnie do sąsiedniej izby, gdzie stolarz siedział z gazetą przy szarzejącym oknie. Mruknął niezachęcająco, ponieważ uważał mnie w zmierzchu za natrętnego klienta, po czym, poznawszy, podał mi rękę.

Był zaskoczony i zakłopotany, zwróciłem się zatem do dzieci; te jednak uciekły przede mną do kuchni, gdzie i ja poszedłem za nimi. Na widok gospodyni domu, która przyrządzała jakąś potrawę z ryżu, ocknęły się we mnie wspomnienia kuchni mojej umbryjskiej padrony i przyłączyłem się do pichcenia. U nas przeważnie rozgotowuje się ryż bez krzty sumienia na rodzaj klajstru, który nie ma żadnego smaku i jest obrzydliwie papkowaty. Tu również zanosilo się już na katastrofę i ledwie zdołałem uratować potrawę, sięgając po garnuszek oraz warząchew i zabierając się osobiście do doprowadzenia ryżu. Kobieta, zdziwiona, nie sprzeciwiała się, ryż udał się jako tako, podaliśmy go na stół, zapaliliśmy lampę i mnie także dostał się talerz.

Tego wieczoru stolarzowa wciągnęła mnie w tak



wnikliwą rozmowę na tematy kuchenne, że mąż prawie nie doszedł do głosu i musieliśmy opowiadanie jego przygód wędrownych przełożyć na inny raz. Szybko zresztą wyczuli, że tylko z pozorów byłem panem, a tak naprawdę jestem synem chłopskim i dzieckiem biednego ludu, toteż od razu pierwszego wieczoru spoufaliliśmy się ze sobą i zaprzyjaźnili. Tak bowiem jak oni poznali we mnie równe im pochodzenie, tak też ja poczułem w tym ubogim środowisku rodzinną atmosferę małych ludzi. Nie mieli tu czasu na finezję, na pozy, komedie; nawet bez wykształcenia i wyższych zainteresowań miłe im było ich cierpkie, biedne życie, o wiele za dobre na to, aby je jeszcze tapetować pięknymi frazesami.

Przychodziłem coraz częściej, zapominając w domu stolarza nie tylko o nędznym blichtrze życia towarzyskiego, ale także o moich smutkach i niedolach. Miałem wrażenie, że odnajduję tu częśćkę przechowanego dla mnie dzieciństwa i podejmuję na nowo życie, które braciszkuje swego czasu przerwali, wysyłając mnie do szkół.

Schylony nad przepoconą i popękaną przestarzałą mapą, stolarz śledził wraz ze mną swoje i moje wędrówki i cieszyliśmy się z każdej bramy miejskiej, z każdej uliczki, którąśmy obaj znali; wywlekaliśmy dowcipy ze środowiska czeladniczego, a raz nawet zaśpiewaliśmy kilka piosenek z niestarzejącego się

repertuaru wędrownych czeladników. Mówiliśmy o kłopotach rzemiosła, o gospodarstwie domowym, o dzieciach, o sprawach miejskich; z wolna i niepostrzeżenie role się zmieniły: ja byłem tym, który odczuwał wdzięczność, majster zaś dawał i pouczał. Z ulgą poczułem, że otacza mnie tu atmosfera prostych realiów, a nie salonowego snobizmu.

Wśród dzieci pięcioletnia dziewczynka zwracała na siebie uwagę swoją subtelną odrębnością. Nazywała się Agnes, ale wołano na nią Agi. Błada, o wątych rączkach i nóżkach, miała jasne włosy, nieśmiałe, duże oczy i łagodną płochliwość w obejściu. Pewnej niedzieli, kiedy chciałem całą rodzinę zabrać na spacer, Agi była chora. Matka została przy niej, a my powędrowaliśmy wolno za miasto. Za Sankt Margreten usiedliśmy na ławce, dzieci pobiegły szukać kamyczków, kwiatów i żuków, a my, mężczyźni, spoglądaliśmy na łąki, na cmentarz w Binning i piękne, niebieskie zarysy Jury.

Majster był zmęczony, osowiały i małomówny. Zdawał się być przygnębiony jakimiś troskami.

- Co się stało, majstrze? - zapytałem, kiedy dzieci odbiegły już dość daleko. Podniósł na mnie zadumane i smutne oczy.

- Nie wie pan, co? - zaczął. - Agi chce mi umrzeć. Wiem o tym już dawno i dziwiłem się nawet, że tylu lat dożyła, bo zawsze miała śmierć w oczach. Ale teraz przyszła już ona naprawdę.

Zacząłem go pocieszać, ale po krótkim czasie przestałem.

- Widzi pan - zaśmiał się niewesoło - pan przecież też nie wierzy w to, aby dziecko wydobrzało. Wie pan, nie jestem bigotem i tylko od wielkiego święta chodzę do kościoła, ale dobrze czuję, że teraz Pan Bóg chce sobie ze mną pogadać. To wprowadzie tylko dziecko i nigdy nie była zdrowa, ale Bóg mi świadkiem, że jest mi miłsza od całej reszty.

Z jodłowaniem i tysiącem nieważkich pytań przybiegły dzieci. Otoczyły mnie, każąc sobie wymienić nazwy kwiatów i traw, i w końcu zażądały opowiastek. Opowiedziałem im tedy o kwiatkach, drzewach i krzakach, że na podobieństwo dzieci każde z nich ma duszę i swojego anioła. Również ojciec przysłuchiwał się i od czasu do czasu z uśmiechem przytakiwał moim słowom. Widzieliśmy, jak góry błękitniały, usłyszeliśmy dzwony wieczorne i poszliśmy do domu. Nad łąkami unosił się rdzawy opar wieczoru, dalekie wieżycy katedry wzbijały się, małe i cienkie, w ciepłe przestworza, na niebie błękit lata przemieniał się w piękny zielonkawy i złocisty kolor, drzewom wydłużyły się cienie. Malcy zmęczeni się i ucichli. Myśleli o aniołach maków, goździków i dzwoneczków, my starzy zaś myśleliśmy o małej Agi, której dusza była już gotowa do przyjęcia skrzydeł i opuszczenia naszej stroskanej gromadki.

Przez następne dwa tygodnie wszystko szło

dobrze. Zdawało się, że dziewczynka przychodzi do zdrowia. Mogła na parę godzin dziennie opuszczać łóżko, a w swej chłodnej pościeli wyglądała tak ładnie i wesoło jak nigdy. Potem nastąpiło kilka przegorączkowanych nocy i teraz, nie mówiąc nawet o tym, widzieliśmy wyraźnie, że dziecko pozostanie z nami zaledwie kilka tygodni albo nawet dni. Raz tylko ojciec jej poruszył ten temat. Było to w warsztacie. Szperał w zapasie desek i odgadłem, że zabiera się do wyszukiwania materiału na trumienkę.

- Koniec nadejdzie lada chwila - powiedział - wolę więc sam to zrobić po fajrancie.

Siedziałem na warsztacie, a on pracował przy drugim. Kiedy schludnie wyheblował deski, pokazał mi je z pewną dumą. Było to ładne, zdrowe drzewo sosnowe bez skazy.

- Toteż nie wbiję gwoźdźcia, tylko dopasuję części do siebie, tak żeby z tego była dobra i mocna całość. Ale na dzisiaj dość, chodźmy na górę do żony.

Dni mijały, gorące, cudowne dni w pełni lata, a ja siedziałem co dzień godzinę albo dwie przy małej Agi, opowiadałem jej o ślicznych łąkach i lasach, trzymałem jej leciutką, szczupłą rączkę w swej szerokiej dłoni i całą duszą chłonałem miły, świetlany wdzięk, który promieniował z niej do ostatniej chwili.

Wkrótce ujrzeliśmy z trwogą i smutkiem, jak maleńkie, chude ciało jeszcze raz zbiera siły, aby odeprzeć silną śmierć - ale ta pokonała je szybko i

bez trudu. Matka była cicha i dzielna, ojciec leżał w poprzek łóżka i żegnał się bez końca ze swą ulubienicą, głaskając jej jasne włosy i pieszcząc ją.

Nastąpiła skromna, krótka uroczystość pogrzebu i bolesne wieczory, kiedy dzieci w sąsiedniej izbie płakały w swych łóżkach. Nadeszły piękne spacery na cmentarz, gdzie świeżą mogiłę obsadziliśmy kwiatami i siedzieliśmy w milczeniu obok siebie na ławce w chłodnych alejach, myśląc o Agi i spoglądając innymi niż dotychczas oczami na ziemię, w której spoczywało nasze drogie dziecko, na drzewa i murawę rosnącą na grobie i na ptaki, których igraszki dźwięczały swobodnie i wesoło po cichym cmentarzu.

Dokoła surowy dzień powszedni toczył się swoim biegiem, dzieci zaczęły znowu śpiewać, bić się, śmiać i domagać powiastek, a my wszyscy przyzwyczailiśmy się niepostrzeżenie, że już naszej Agi nie zobaczymy i że mamy pięknego, małego anioła w niebie.

Z tego wszystkiego przestałem w ogóle bywać na towarzyskich zebraniach u profesora i z rzadka tylko odwiedzałem dom Elżbiety, gdzie w mdłym potoku rozmów czułem się wyjątkowo bezradny i nieswój. Obecnie zaszedłem do obu domów i zastałem zamknięte drzwi, ponieważ wszyscy dawno wyjechali na wieś. Teraz dopiero spostrzegłem ze zdziwieniem, że zajęty przyjaźnią z rodziną stolarza i

chorobą dziecka zupełnie zapomniałem o gorącej porze roku i wakacjach. Dawniej byłoby nie do pomyślenia, żebym lipiec i sierpień spędził w mieście.

Pożegnałem się zatem na krótki czas i ruszyłem piechotą w podróż przez Schwarzwald, Bergstrasse i Odenwald. Po drodze sprawiało mi niezwykłą przyjemność posyłać dzieciom stolarza widokówki z ładniejszych miejscowości i wyobrażać sobie, jak wróciwszy do Bazylei będę im i ich ojcu opowiadał o mej wyprawie.

We Frankfurcie postanowiłem przedłużyć jeszcze o kilka dni swą podróż. W Aschaffenburgu, Norymberdze, Monachium i Ulm rozkoszowałem się z nowym zainteresowaniem dziełami starej sztuki i wreszcie urządziłem sobie jeszcze całkiem niewinny postój w Zurychu. Dotąd przez cały czas omijałem to miasto jak grób. Teraz wałęsałem się po znajomych ulicach, zaglądałem do starych knajp i ogrodów i potrafiłem bez bólu myśleć o minionych pięknych latach. Malarka Aglietti wyszła za mąż i podano mi jej adres. Pod wieczór poszedłem tam. Na bramie domu odczytałem nazwisko jej męża, spojrzałem w górę ku oknom i zawahałem się. Wtedy ożyły we mnie dawne czasy i moja młodzieńcza miłość na wpół obudziła się ze snu z uczuciem lekkiego bólu. Zawróciłem i nie popsułem sobie niepotrzebnym spotkaniem pięknego obrazu ukochanej południowej kobiety.

Przechadzając się dalej, odwiedziłem ogród nad jeziorem, gdzie artyści urządzali wówczas swoje święto nocy letniej, spojrzałem też na domek, w którego mansardzie spędziłem trzy krótkie, dobre lata, i wśród tych wszystkich wspomnień imię Elżbiety znalazło się niepostrzeżenie na mych ustach. Nowa miłość była jednak silniejsza od swych starszych siostrzyc. Była też cichsza, skromniejsza i wdzięczniejsza.

Chcąc zachować dobry nastrój, wzięłem łódkę i powiosłowałem wolno, nie spiesząc się, na ciepłe, jasne jezioro. Miało się ku wieczorowi i na niebie zawisł jeden jedyny śliczny, śnieżnobiały obłok. Nie spuszczałem go z oka i kiwnąłem mu głową, myśląc o moim zamiłowaniu do chmur za czasów dzieciństwa, o Elżbiecie, a także o owym obłoku Segantiniego, przed którym widziałem raz Elżbietę taką piękną i zachwyconą. Nigdy jeszcze nie zdałem sobie tak dokładnie sprawy z czystości i szczęścia tej nie zamęczonej żadnym słowem ani nieczystym pożądaniem miłości do niej, jak w tej chwili, kiedy na widok obłoku objąłem spokojnym i wdzięcznym wspomnieniem wszystkie dobre chwile mego życia i zamiast dawniejszego chaosu i namiętności czułem w sobie tylko starą tęsknotę lat chłopięcych - również ona ściszyła się i dojrzała.

Od dawien dawna przywykłem coś sobie nucić lub

śpiewać pod spokojny takt wiosła. Teraz też cicho nuciłem i dopiero nucąc, zorientowałem się, że były to wiersze. Utkwiły mi w pamięci i zapisałem je w domu na pamiątkę pięknego wieczoru nad Jeziorem Zuryskim.

Podobnaś do obłoku,  
Co snuje się po niebie,  
Elżbieto piękna moja,  
Daleko mi do ciebie.

Maleńka, lekka chmurka  
Ucieka przed mym okiem.  
Sny twoje najtajniejsze  
Są właśnie tym obłokiem.

Ku niemu, srebrystemu,  
Posyłasz bez wytchnienia  
I całą twą tęsknotę,  
I wszystkie twe rojenia.  
[Przekład Jadwigi Dackiewicz.]

W Bazylei zastałem list z Asyżu. Napisała go pani Annunziata Nardini i zawierał same dobre wiadomości. Znalazła w końcu drugiego męża. Zresztą najlepiej będzie, jeśli podam tu cały list bez zmian.

„Wielce szanowny i bardzo drogi Panie Peterze!



Niech Pan wybaczy swojej wiernej przyjaciółce, że ośmiela się napisać list do Pana. Spodobało się Bogu ofiarować mi wielkie szczęście i chciałabym zaprosić Pana na moje wesele w dniu dwunastego października. On nazywa się Menotti i ma wprawdzie mało pieniędzy, ale kocha mnie bardzo i już dawniej handlował owocami. Jest przystojny, ale nie tak wysoki i ładny jak Pan, Panie Peterze. Będzie sprzedawał owoce na placu, a ja zostanę w sklepie. Również piękna Marietta od sąsiada wyjdzie za mąż, ale jej trafia się tylko murarz z obczyzny.

Myślałam co dzień o Panu i wielu ludziom o Panu opowiadałam. Bardzo lubię Pana, a także świętego, któremu ofiarowałam cztery świece na Pańską intencję. Również Menotti ucieszy się bardzo, jeśli Pan przyjedzie na wesele. Gdyby miał być niegrzeczny dla Pana, zabronię mu tego. Niestety okazało się, że mały Matteo Spinelli naprawdę jest gałganem, tak jak to zawsze twierdziłam. Często kradł mi cytryny. Teraz go zabrano, ponieważ swemu ojcu, piekarzowi, ukradł dwanaście lirów oraz otruł psa żebraka Giangiacomo.

Niech Pan Bóg i święty błogosławią. Bardzo za Panem tęsknię.

Pańska oddana i wierna przyjaciółka  
Annunziata Nardini

Dopisek:

Nasze zbiory były średnie. Winogrona były bardzo marne, także gruszek nie dostawało, za to cytryny obrodziły bardzo obficie, tylko że musieliśmy je za tanio sprzedać. W Spello stało się okropne nieszczęście. Pewien młody człowiek zabił gracą swego brata, nie wiadomo dlaczego, ale pewnie był zazdrosny o niego, choć to jego rodzony brat."

Niestety nie mogłem skorzystać z ponętnego zaproszenia. Wysłałem gratulacje i obiecałem swój przyjazd na przyszłą wiosnę. Potem udałem się do mojego stolarza z listem i przywiezionym z Norymbergi podarunkiem dla dzieci.

Tam zastałem niespodziewaną, ogromną zmianę. Z dala od stołu, bliżej okna, jakaś groteskowa, koślawa postać tkwiła skulona w krześle zaopatrzonym w poprzeczkę jak krzeselko dla dzieci. Był to Boppi, brat majstrowej, biedny, na wpół sparaliżowany kaleka, dla którego po niedawnej śmierci jego starej matki nigdzie nie znalazł się żaden inny kącik. Z niechęcią majster przyjął go na razie u siebie i stała obecność chorego kaleki ciążyła jak zmora na całym domu, burząc jego ład. Nie przywykli jeszcze do niego; dzieci czuły wstręt, matka, pełna litości, była zakłopotana i przybita, ojciec wyraźnie niezadowolony.

Boppi dźwigał na brzydkim podwójnym garbie, bez szyi, dużą głowę o wyrazistych rysach, szerokim

czole, wydatnym nosie i pięknych, cierpiących ustach. Oczy były jasne, ale ciche i z lekka spłoszone, a osobliwie drobne i ładne ręce, białe i spokojne, spoczywały ciągle na wąskiej poprzeczce. Również i ja czułem się zmieszany i zniechęcony obecnością biednego intruza, a zarazem było mi nieprzyjemnie słuchać krótkiej historii chorego, gdy ten siedział obok i patrzył na swoje ręce, nie zagadnięty przez nikogo. Od urodzenia był kaleką, ale skończył szkołę powszechną i umiał przez kilka lat okazać się pożytecznym, plotąc przedmioty ze słomy, dopóki powtarzające się napady gościa częściowo go nie sparaliżowały. Odtąd od wielu lat leżał w łóżku albo siedział w osobliwym krześle, podparty poduszkami. Majstrowa twierdziła, że dawniej śpiewał dużo i ładnie, ale już od lat go nie słyszała, a w ich domu jeszcze nigdy nie śpiewał. W trakcie tej relacji kaleka siedział obok, patrząc przed siebie. Czułem się niewyraźnie i wkrótce poszedłem sobie i nie pokazałem się przez następne dni.

Całe życie byłem silny i zdrowy, nigdy poważnie nie chorowałem, toteż na cierpiących, a zwłaszcza kaleki, spoglądałem z litością zmieszaną z pewną pogardą. Wcale mi się nie podobało, że moje przyjemne, pogodne stosunki z rzemieślniczą rodziną zakłóca obecnie przykry balast tej opłakanej egzystencji. Z tego też powodu z dnia na dzień odsuwałem następne odwiedziny, daremnie

przemyśliwując, jak by się tu pozbyć ułomnego Boppi. Trzeba było znaleźć jakąś możliwość umieszczenia go za niewielką opłatą w szpitalu albo przytułku. Kilkakrotnie chciałem zajść do stolarza, aby naradzić się z nim na ten temat, ale lękałem się zacząć o tym rozmowę nie pytany, a przed spotkaniem z chorym czułem dziecienną odrazę. Jego widok czy podanie ręki przejmowało mnie wstrętem.

Tak minęła jedna niedziela. Na drugą już miałem zamiar wyfrunąć pociągiem do Jury, ale potem zawstydzilem się jednak na myśl o moim tchórzostwie. Zostałem i po obiedzie udałem się do stolarza.

Z niechęcią podałem kalece rękę. Stolarz był zły. Zaproponował spacer. Miał dosyć tej wiekuistej biedy, jak mi mówił. Ucieszyłem się jego słowami, przypuszczając, że będzie przystępnym uchem słuchał moich projektów. Żona chciała zostać, ale wtedy Boppi poprosił, żeby poszła z nami, ponieważ zupełnie dobrze może zostać sam. Jeśli tylko będzie miał pod ręką książkę i szklankę wody, można go zamknąć i bez obawy zostawić.

I my, którzy uważaliśmy się przecież wszyscy za dość przyzwoitych i litościwych ludzi, zamknęliśmy go i poszliśmy na spacer! Byliśmy weseli, dzieci nas bawiły, radowaliśmy się pięknym, złocistym słońcem jesiennym i nikt z nas nie wstydził się, nikomu nie zabiło serce na myśl, że zostawiliśmy ułomnego

samego w domu! Przeciwnie, byliśmy zadowoleni, że pozbyliśmy się go na chwilę, z ulgą chłoniliśmy czyste powietrze, ciepłe niczym w lecie, i sprawialiśmy wrażenie zacnej rodziny, która z umiarem i wdzięcznością korzysta z dnia Pańskiego.

Dopiero gdy przy Grenzacher Hornli wstąpiliśmy na szklankę wina i zasiedliśmy przy stole w ogrodzie gospody, ojciec zaczął mówić o Boppim. Skarżył się na niepożądanego gościa, wzdychał z powodu zagęszczenia w domu oraz zwiększenia się kosztów utrzymania i śmiejąc się, zakończył następującą uwagą:

- No, przynajmniej tu człowiekowi nie zawadza i można się z godzinkę zabawić!

Przy tych nierozważnych słowach zobaczyłem nagle przed sobą ułomnego biedaka o błagalnych i cierpiących oczach, jego, którego nie kochaliśmy, którego staraliśmy się pozbyć i który w tej chwili, zamknięty przez nas, siedział samotnie i smutno w mroczniejszej izbie. Przyszło mi na myśl, że wkrótce zapadnie zmierzch i kaleka nie będzie mógł zapalić światła ani przysunąć się do okna. Odłoży książkę i będzie musiał siedzieć w półmroku, pozbawiony możliwości rozmowy czy jakiegokolwiek rozrywki, gdy tymczasem my pijemy tu wino, śmiejemy się i zabawiamy. Przypomniało mi się również, jak mówiłem sąsiadom w Asyżu o świętym Franciszku i jak przechwalałem się, że nauczył mnie kochać

wszystkich ludzi. Po cóż studiowałem życie świętego, po cóż uczyłem się na pamięć jego wspaniałego hymnu o miłości oraz szukałem jego śladów na umbryjskich wzgórzach, skoro w tej chwili biedny, ułomny człowiek złożony niemocą musiał cierpieć, a ja, choć o tym wiedziałem i mogłem go pocieszyć, nie czyniłem tego?

Potężna dłoń Niewidzialnego dotknęła mego serca, ścisnęła je i napełniła takim wstydem i bólem, że zadrżałem i poddałem się. Czułem, że teraz Bóg chce ze mną pomówić.

„Ty poeto! - mówił. - Ty uczniu Umbryjczyka, ty proroku, który chcesz uczyć miłości i uszczęśliwiać ludzi! Ty marzycielu, który chciałbyś usłyszeć mój głos w wichrach i wodach!

Ty kochasz dom - mówił - gdzie cię miło przyjmują, gdzie spędzasz przyjemne chwile! A kiedy ja zaszczytam go moimi odwiedzinami, uciekasz i medytujesz nad tym, jak mnie zeń wypędzić! Ty święty! Ty proroku! Ty poeto!”

Miałem wrażenie, jakby postawiono mnie przed czystym, nieomylnym zwierciadłem, w którym ujrzałem siebie jako kłamcę, jako mocnego w gębie, wiarołomnego tchórza. Taka bolesna prawda jest gorzka, przykra i okropna, ale to, co w owej chwili łamało się we mnie, buntowało i cierpiało, zasługiwało na złamanie i unicestwienie.

Gwałtownie i szybko pożegnałem się, zostawiając

nie dopite wino oraz nie dojezdzony chleb na stole, i wróciłem do miasta. Byłem wzburzony, dręczyła mnie nieznośna obawa, że mogło się wydarzyć jakieś nieszczęście. Mógł wybuchnąć pożar, bezwładny Boppi mógł spaść z krzesła i może cierpiący albo martwy leży na ziemi. Widziałem go już niemal, jak leżał, zdawało mi się, że stoję obok i dostrzegam niemy wyrzut w oczach kaleki.

Bez tchu dotarłem do domu, wbiegłem po schodach na górę i dopiero teraz uświadomiłem sobie, że nie mam klucza. Ale mój lęk natychmiast ustąpił. Zanim bowiem doszedłem do drzwi kuchni, usłyszałem stamtąd śpiew. Była to osobliwa chwila. Z bijącym sercem, zadyszany, stałem na ciemnym podeście schodów i uspokajając się z wolna, słuchałem śpiewu zamkniętego kaleki. Śpiewał cicho, miękko i trochę rzewnie ludową piosenkę miłosną o „kwiatuszku białym i czerwonym”. Wiedziałem, że od dawna nie śpiewał, i wzruszało mnie, że podsłuchiwałem, jak korzystał ze spokojnej chwili, aby na swój sposób nieco się rozweselić.

Tak to już jest: obok poważnych wydarzeń i głębokich wzruszeń życie lubi umieścić komizm. Toteż natychmiast odczułem zawstydzającą śmieszność mojej sytuacji. W nagłym przerażeniu godzinę gnałem na przełaj, aby teraz bez klucza stać przed zamkniętymi drzwiami. Miałem do wyboru albo odejść, albo donośnym głosem przez dwoje drzwi

powiadomić kalekę o moich dobrych chęciach. Stałem na schodach z zamiarem pocieszenia biedaka, okazania mu współczucia i skrócenia samotności, a on siedział w pokoju, nic nie przeczuwając, śpiewał i niewątpliwie wystraszyłby się tylko, gdybym dał znać o sobie pokrzykiwaniem lub pukaniem.

Nie pozostało nic innego, jak odejść. Powąłęsałem się z godzinkę po świątecznie ożywionych ulicach, po czym wróciłem i zastałem całą rodzinę w domu. Tym razem już bez przewyciężania się uścisnąłem Boppiemu rękę. Usiadłem przy nim i nawiązałem rozmowę, zapytując, co czytał. Sposobność do ofiarowania mu lektury nasuwała się sama i przyjął ją z wdzięcznością. Kiedy poleciłem mu Jeremiasza Gotthelfa, okazało się, że znał prawie wszystkie jego dzieła. Natomiast nie znał Gottfrieda Kellera i obiecałem pożyczyć mu jego książki.

Przyniósłszy mu je następnego dnia, miałem możliwość być z nim sam na sam, ponieważ majstrowa chciała właśnie wyjść, a jej mąż pracował w warsztacie. Wtedy wyznałem mu, jak bardzo się wstydę, że zostawiliśmy go wczoraj samego i że cieszyłbym się, gdybym mógł czasem przy nim posiedzieć i być jego przyjacielem.

Mały kaleka zwrócił swoją dużą głowę nieco ku mnie, popatrzył i powiedział:

- Pięknie dziękuję.



Nic więcej. Ale ów obrót głowy sprawił mu trudność i był tyle wart co dziesięć uścisków człowieka zdrowego, a wzrok miał tak jasny i dziecięco piękny, że zaczerwieniłem się z zawstydzenia.

Teraz czekało mnie trudniejsze zadanie - rozmowa z majstrem. Zdawało mi się, że najlepiej będzie wyznać mu wprost mój wczorajszy lęk i wstyd. Niestety, nie zrozumiał mnie; mimo to jednak dogadaliśmy się zupełnie dobrze. Zgodził się zatrzymać chorego u siebie jako naszego wspólnego gościa, podzieliliśmy się niewielkim kosztem jego utrzymania, a mnie dozwolono bywać u Boppiego, ile zechcę, i uważać go jakby za własnego brata.

Jesień była niezwykle długo ładna i ciepła. Dlatego pierwszą rzeczą, którą uczyniłem dla Boppiego, było wystaranie się o fotel na kółkach - wozłem go nim codziennie na spacer, przeważnie w towarzystwie dzieci.

## Rozdział 8

Taki już jest mój los, że o wiele więcej otrzymywałem od życia i od moich przyjaciół, niż sam mogłem im dać. Tak było z Ryszardem, z Elżbietą, z panią Nardini i ze stolarzem, a teraz zdarzyło się, że w dojrzałym wieku i przy dość dużej dozie szacunku dla samego siebie miałem zostać, ku własnemu zdumieniu, wdzięcznym uczniem nędznego kaleki. Jeśli rzeczywiście pewnego dnia ukończę i ogłoszę moje dawno zaczęte dzieło, niewiele w nim będzie rzeczy dobrych, których bym nie zawdzięczał Boppiemu. Rozpoczął się dla mnie szczęśliwy okres, z którego będę mógł przez resztę życia obficie czerpać. Dane mi było zajrzeć w głąb wspaniałej duszy, nad którą choroba, samotność, ubóstwo i złe traktowanie przesuwają się jedynie jak rzadkie, niezbyt ciężkie chmury.

Wszystkie te drobne występki, którymi zatruwamy sobie i psujemy piękne, krótkie życie, jak gniew, niecierpliwość, podejrzliwość, kłamstwo - wszystkie te uprzykrzone, obrzydliwe przywary, które nas wypaczają, zostały w tym człowieku przez długą i ciężką chorobę boleściwie wypalone. Nie był mędrce, ani też aniołem, ale był człowiekiem pełnym zrozumienia i ofiarności, który dzięki wielkim, strasznym cierpieniom i wyrzeczeniom nauczył się

nie wstydzić swej słabości i oddać się w ręce Boga.

Kiedyś zapytałem go, w jaki sposób udaje mu się pogodzić ze swym zbolałym i bezwładnym ciałem.

- To bardzo łatwe - zaśmiał się życzliwie. - Po prostu toczy się nieustanna wojna między mną a chorobą. Raz wygrywam bitwę, to znów przegrywam, i tak się wciąż ze sobą bijemy; czasem przycichamy oboje, zawieramy umowę o zawieszenie broni, pilnujemy siebie nawzajem i czatujemy, dopóki któryś z nas nie rozzuchwali się i wojna nie zacznie się na nowo.

Dotychczas mniemałem zawsze, że posiadam nieomyłne oko i jestem dobrym obserwatorem. Ale Boppi również w tej dziedzinie stał się moim nauczycielem i budził mój podziw. Ponieważ przyroda, a zwłaszcza zwierzęta sprawiały mu dużą przyjemność, prowadziłem go często do ogrodu zoologicznego. Tam spędzaliśmy wyjątkowo miłe chwile. Po krótkim czasie Boppi znał już każde zwierzę, a ponieważ zabieraliśmy ze sobą zawsze chleb i cukier, niektóre zwierzęta znały także nas obu i zawarliśmy przyjaźń z tym i owym. Szczególnie polubiliśmy tapira, którego jedyną cnotę stanowiło zamiłowanie do czystości, niespotykane na ogół u przedstawicieli jego gatunku. Poza tym zresztą uznaliśmy, że jest zarozumiały, mało inteligentny, nieuprzejmy, niewdzięczny i wielce żarłoczny. Inne zwierzęta, szczególnie słoń, sarny i kozice, a nawet

kudłaty bizon, okazywały zwykle jakąś wdzięczność za ofiarowany im cukier, czy to patrząc na nas poufale, czy to zezwalając chętnie na pogłaskanie. Ani śladu tego u tapira. Gdy zbliżaliśmy się do niego, zjawiał się natychmiast przy siatce, zjadał powoli wszystko, co od nas dostawał, i wycofywał się znudzony, kiedy widział, że już nic dla niego nie mamy. Uważaliśmy to za oznakę dumy i charakteru, a ponieważ ani nie zebrał o przyznaną mu porcję, ani nie dziękował za nią, tylko przyjmował ją protekcjonalnie jako należny mu haracz, nazwaliśmy go Celnikiem. Boppi przeważnie nie mógł sam karmić zwierząt i niekiedy powstawał spór o to, czy tapir ma już dosyć, czy też należy mu się jeszcze jedna kostka cukru. Rozważaliśmy i badaliśmy tę kwestię rzeczowo i dokładnie, jakby chodziło o jakąś sprawę państwową.

Kiedyś minęliśmy już tapira, gdy Boppi zauważył, że jednak powinniśmy byli dać mu jeszcze jedną kostkę cukru. Wobec tego wróciliśmy się, tapir zaś, spoczywający na słomie na swym legowisku, spozierał na nas wyniośle przymrużonymi oczyma i nie podszedł do siatki.

- Raczy pan łaskawie wybaczyć, panie Celniku - krzyknął Boppi - ale wydaje mi się, że omyliliśmy się o jedną kostkę.

Poszliśmy dalej, do słonia, który wyczekująco kołysał się na obie strony, wyciągając ku nam swoją

ciepłą, ruchliwą trąbę. Słonia Boppi mógł karmić sam i wówczas przyglądał się z dziecinnym zadowoleniem, jak olbrzym wygina ku niemu zwinną trąbę i bierze chleb z wyciągniętej na płask dłoni, łypiąc na nas przebiegle i życzliwie wesołymi, malusieńkimi oczkami.

Uzgodniłem z jednym z dozorców, że w razie braku czasu będę mógł zostawiać Boppiego w fotelu w ogrodzie, aby również i w takie dni mógł przebywać na słońcu i przyglądać się zwierzętom. Później opowiadał mi wszystko, co widział. Szczególnie imponowała mu uprzejmość, z jaką lew odnosił się do swojej małżonki. Z chwilą gdy ona kładła się na spoczynek, on zmieniał kierunek swej nieprzerwanej wędrówki, tak że ani jej nie dotykał i nie potraçał, ani nie przechodził nad nią. Najbardziej zaś bawiła Boppiego wydra. Nigdy nie znudził się obserwowaniem zwinności oraz sztuczek pływackich i gimnastycznych tego ruchliwego zwierzątka. Sprawiały mu tym większą radość, że sam był unieruchomiony w fotelu i z trudem jedynie zdobywał się na każdy ruch głowy i rąk.

W jeden z najpiękniejszych dni owej jesieni opowiedziałem Boppiemu o moich dwóch miłościach. Tak bardzo zżyliśmy się ze sobą, że nie mogłem przed nim zataić tych, zresztą ani miłych, ani chwalebnych, przeżyć. Wysłuchał mnie życzliwie i z powagą, nie mówiąc ani słowa. Ale później wyznał

mi, że pragnąłby raz zobaczyć Elżbietę, ów „biały obłok”, i prosił mnie, abym o tym pamiętał, gdybyśmy ją kiedyś spotkali na ulicy.

Ponieważ jakoś do tego nie dochodziło, a dni zaczynały być chłodne, udałem się sam do Elżbiety i poprosiłem ją, aby sprawiła tę przyjemność biednemu garbusowi. Była tak łaskawa, że zgodziła się; nazajutrz poszedłem po nią i zaprowadziłem do zwierzyńca, gdzie Boppi już na nas czekał. Kiedy piękna, dobrze ubrana, wytworna dama podała kalece rękę, schylając się z lekka ku niemu, a biedny Boppi o rozpromienionej twarzy z wdzięcznością i niemal czułością podniósł na nią swe duże, poczciwe oczy, nie potrafiłbym powiedzieć, kto z nich dwojga był w tym momencie piękniejszy i bliższy memu sercu. Dama powiedziała kilka uprzejmych słów, kaleka nie spuszczał z niej błyszczących oczu, a ja stałem obok i dziwiłem się, że tych dwoje najmilszych mi ludzi, rozdzielonych zrzędzeniem losu głęboką przepaścią, widzę na przelotną chwilę razem przed sobą. Boppi całe popołudnie o niczym innym nie mówił, tylko o Elżbiecie. Wychwalał jej urodę, dystynkcję, dobroć, jej suknię, żółte rękawiczki i zielone pantofelki, jej chód i wzrok, głos i ładny kapelusz, mnie zaś bolało i śmieszyło zarazem, iż byłem świadkiem, jak moja ukochana dawała memu najlepszemu przyjacielowi jałmużnę.

Tymczasem Boppi przeczytał *Zielonego Henryka* i

*Ludzi z Seldwili* i tak zadomowił się w świecie tych jedynych w swoim rodzaju ksiązek, że mieliśmy odtąd wspólnych przyjaciół w Pankracym Schmollerze, Albercie Zwiehanie i sprawiedliwych grzebieniarzach. Przez chwilę wahałem się, czy nie dać mu czegoś z dzieł Konrada Ferdynanda Meyera, ale przypuszczałem, że nie oceni klasycznej niemal zwięzłości jego zbyt skondensowanego języka, a poza tym miałem zastrzeżenia, czy odśłaniać przepaść historii przed jego pogodnym, spokojnym okiem. Zamiast tego opowiedziałem mu o świętym Franciszku i dałem jako lekturę opowiadania Morikego. Zdziwiło mnie jego wyznanie, że nie mógłby ocenić opowiadania o pięknej Lau, gdyby nie spędził tyle czasu nad sadzawką wydry, snując tam najróżniejsze baśniowe fantazje na temat wody.

W dość zabawny sposób przeszliśmy z czasem na braterskie „ty”. Nigdy mu tego nie proponowałem, nie byłby się zresztą zgodził; ale tak jakoś samo z siebie wypłynęło, że coraz częściej mówiliśmy do siebie „ty”, a kiedy spostrzeżliśmy się pewnego dnia, roześmialiśmy się i nie odeszliśmy już od tej formy.

Gdy bliska zima uniemożliwiła nasze wyjazdy i znowu zacząłem przesiadywać całe wieczory w izbie szwagra Boppiego, zorientowałem się, że nowa przyjaźń nie spadła mi bynajmniej z nieba i nie obejdzie się całkowicie bez ofiar. Stolarz bowiem był stale chmurny, nieuprzejmy i mrukliwy.

Złościła go nie tylko uciążliwa obecność nieużytecznego darmozjada, lecz również moja z nim zażyłość. Bywało, że przegadaliśmy sobie z ułomnym wesoło cały wieczór, a gospodarz zły siedział obok z gazetą. Poróżnił się nawet na ten temat z żoną, osobą na ogół niezwykle uległą, która jednak tym razem upierała się przy swoim i żadną miarą nie chciała się zgodzić na umieszczenie Boppiego gdzie indziej. Kilkakrotnie próbowałem go nastroić życzliwie, podsuwałem nowe propozycje, ale wszystko bezskutecznie. Zaczął nam dogryzać, szydzić z mej przyjaźni z kaleką i jemu samemu zatruwać życie. Jasne, że chory wraz ze mną, który codziennie dużo czasu przy nim spędzałem, stanowił nieznośny ciężar dla tego i tak ciasnego domu, ale ciągle jeszcze żywiłem nadzieję, że stolarz przylgnie do nas i polubi kalekę. W końcu doszło już do tego, że cokolwiek robiłem lub nie robiłem, urażałem stolarza albo krzywdziłem garbusa. Ponieważ nienawidzę wszelkich szybkich i naglących decyzji - już w okresie zuryskim Ryszard nazwał mnie Peterem Kunktatorem - zwlekałem z nią całymi tygodniami, dręczony obawą, że utracę przyjaźń jednego z nich, a może obu.

Niemiała, pogarszająca się wciąż atmosfera, będąca wynikiem tych niejasnych stosunków, coraz częściej wypędzała mnie znowu do knajpy. Pewnego wieczoru, kiedy mnie ta uprzykrzona sprawa



porządnie zezłościła, poszedłem do małej winiarni i zabrałem się do przegnania złych nastrojów za pomocą kilku litrów waadtlandera. Po raz pierwszy od dwóch lat z trudem zaszedłem do domu. Nazajutrz miałem, jak zwykle po dużym pijaństwie, przyjemnie chłodną głowę, zebrałem się więc na odwagę i udałem do stolarza, aby wreszcie zakończyć tę komedię. Zaproponowałem mu, żeby oddał Boppiego pod moją wyłączną opiekę, a on nie sprzeciwił się temu, lecz rzeczywiście zgodził się po kilku dniach namysłu.

Wkrótce potem wprowadziłem się z biednym garbusem do nowego mieszkania. Czułem się tak, jakbym się ożenił, ponieważ zamiast kawalerki, do której przywykłem, miałem teraz rozpocząć solidne, małe gospodarstwo we dwoje. Ale jakoś szło, chociaż na początku podejmowałem niejedną nieudany eksperyment gospodarczy. Do sprzątania i prania przychodziła posługaczka, jedzenie kazaliśmy sobie przynosić do domu, i wkrótce czuliśmy się bardzo miło i swojsko w tej symbiozie. Nie przerażała mnie na razie konieczność zrezygnowania z moich beztroskich małych i większych wycieczek.

Podczas pracy cicha obecność przyjaciela wywierała na mnie kojący, a nawet pobudzający wpływ. Drobne usługi przy chorym były dla mnie czymś nieznanym i początkowo dość niemiłym,

zwłaszcza rozbieranie i ubieranie; ale mój przyjaciel był tak cierpliwy i wdzięczny, że zawstydzał mnie, i starałem się go jak najtroskliwiej obsłużyć.

Do profesora zachodziłem już rzadko, częściej natomiast do Elżbiety, której dom mimo wszystko pociągał mnie niesłabnącym urokiem. Przesiadywałem tam, piłem herbatę albo lampkę wina, przyglądałem się, jak pani domu gra na fortepianie, i miewałem czasami sentymentalne nastroje, chociaż stale zwalczałem w sobie z pomocą szyderstwa wszelkie werterowskie uczucia. Inna rzecz, że definitywnie pozbyłem się ślamazarnego, młodzieńczego i egoistycznego uczucia miłości. Pewien kokieteryjny, poufały stan wojenny był właściwym stosunkiem między nami i rzeczywiście rzadko kiedy obeszło się bez przyjacielskiej sprzeczki. Żywa i na sposób niewieści nieco zmanierowana inteligencja tej mądrej kobiety zgadzała się nie najgorzej z moim zakochanym i zarazem czupurnym sposobem bycia, a ponieważ w gruncie rzeczy oboje poważaliśmy się wzajemnie, potrafiliśmy tym goręcej ścierać się z powodu byle głupstwa. Śmieszyło mnie zwłaszcza, gdy broniłem stanu kawalerskiego przed nią - kobietą, z którą byłbym jeszcze do niedawna ożenił się choćby za cenę życia. Wolno mi było nawet żartować z nią na temat męża, poczciwego chłopca, dumnego ze swej światłej żony.

W skrytości serca stara miłość dalej płonęła we mnie, lecz nie był to już ten dawny, zachłanny płomień, tylko dobry, nieustający żar, który podtrzymywał młodość serca i przy którym zatwardziały stary kawaler mógł sobie czasem ogrzać ręce w zimowe wieczory. A odkąd jeszcze Boppi stał mi się bliski, dając to cudowne przeświadczenie, że jestem szczerze i niezmiennie kochany, śmiało mogłem przyzwolić na istnienie we mnie tego uczucia jako sfery młodości i poezji.

Zresztą Elżbieta swoimi iście kobiecymi uszczypliwościami dawała mi raz po raz sposobność do ochłonięcia i szczerzej radości z mojego starokawalerstwa.

Od czasu kiedy biedny Boppi dzielił ze mną mieszkanie, zaniedbywałem jednak coraz bardziej dom Elżbiety. Czytałem z przyjacielem książki, przeglądałem albumy z podróży i pamiętniki, grałem w domino; ku naszemu rozweseleniu sprawiliśmy sobie pudła, z okna obserwowaliśmy nadejście zimy i wiedliśmy codziennie mnóstwo mądrych i głupich rozmów. Chory nauczył się patrzeć na świat rzeczowo, z pobłażaniem zaprawionym ciepłym, dobrotliwym humorem i każdego dnia mogłem się od niego wiele uczyć. A kiedy spadły duże śniegi i zima roztoczyła za oknami swe czyste piękno, my ze sztubacką radością urządziliśmy sobie pod piecem przytulną domową sielankę. Przy tej sposobności

zupełnie mimochodem nauczyłem się sztuki poznawania ludzi, dla której zdobyć tyle czasu daremnie schodziłem sobie nogi. Boppi bowiem, jako milczący i bystry obserwator, pełen był wspomnień z życia swoich dawnych znajomych i umiał, jeśli już raz zaczął, cudownie opowiadać. Kaleka poznał w swym życiu chyba nie więcej niż trzy tuziny osób i nigdy nie żył w masie, mimo to znał życie o wiele lepiej niż ja, gdyż przywykł dostrzegać każdy najdrobniejszy szczegół i doszukiwać się w każdym człowieku źródła przeżyć, radości i prawdy.

Najwięcej przyjemności sprawiał nam jednak, tak jak i przedtem, świat zwierząt. Nie mogąc już odwiedzać zwierząt w ogrodzie zoologicznym, wymyślaliśmy sobie o nich najprzeróżniejsze opowiadki i bajeczki. Większość z nich nie stanowiła niczego skończonego; wytrząsaliśmy je jak z rękawa w formie dialogów. Na przykład oświadczyły miłosne między dwiema papugami, niesnaski rodzinne wśród bizonów, wieczorne pogwarki dzików.

- Jak się pan ma, panie Kuno?

- Dziękuję, panie Lisie, jako tako. Wie pan przecież, że wtedy, kiedy mnie schwytano, straciłem moją najdroższą żonę. Nazywała się Ogonek-Pędzelek, jak już miałem zaszczyt panu oznajmić. Istna perła, zapewniam pana...

- Ach, niechże pan nie wraca do tych spraw, sąsiedzie. Już nieraz opowiadał mi pan o tej perle,

jeśli mnie pamięć nie myli. Boże wielki, ostatecznie żyje się tylko raz i nie należy sobie psuć tej odrobiny przyjemności.

- Przepraszam, panie Lisie, gdyby pan znał moją małżonkę, prędzej by mnie pan zrozumiał.

- No, zapewne, zapewne. Więc nazywała się Ogonek-Pędzelek, prawda? Ładne imię. Wprost prosi się, żeby pogłaskać! Ale co to ja właściwie chciałem rzec? Zauważył pan chyba, jak bardzo nasila się znowu ta nieznośna plaga wróbli? Ułożyłem sobie taki oto mały plan.

- W sprawie wróbli?

- W sprawie wróbli. Widzi pan, wyobraziłem to sobie tak: rzucimy trochę chleba przed siatkę, sami zaś ułożymy się spokojnie i będziemy na nie czatować. Chybaby nieczyste siły się w to wdały, żebyśmy takiego bydlaka nie mieli złapać. Co pan o tym sądzi?

- Doskonały pomysł, panie sąsiedzie.

- Niech więc pan będzie łaskaw położyć trochę chleba. Tak, dobrze! Ale może przesunie go pan nieco w prawo, wtedy obaj będziemy mieli z niego pożytek. Ja, bo jestem, niestety, pozbawiony w tej chwili wszelkich środków do życia. Tak jest dobrze. A więc, uwaga! Kładziemy się teraz, zamykamy oczy - cicho, o, już jakiś nadlatuje! - (Chwila ciszy. )

- No, panie Lisie, jeszcze nic?

- Jaki pan niecierpliwy! Tak jakby pan był pierwszy

raz na polowaniu! Myśliwy musi umieć czekać, czekać i jeszcze raz czekać. A więc jeszcze raz!

- No, dobrze, ale gdzie podział się chleb?

- Co proszę?

- Przecież chleba już nie ma!

- Niemożliwe! Chleb? Doprawdy... zniknął! A niechże to lichy! Oczywiście znowu ten przeklęty wiatr!

- Hm, mnie się jakoś nie wydaje. Odniosłem wrażenie, że pan coś jadł.

- Co? Ja coś jadłem? Niby co?

- Chyba ten chleb.

- Pan jest obelżywie jednoznaczny w swoich przypuszczeniach, panie Kuno. Od sąsiadów trzeba wprawdzie niejedno znieść, ale tego już za wiele. Za wiele, powiadam. Zrozumiał mnie pan? Ja miałbym zjeść chleb! Co pan sobie w ogóle myśli? Najpierw muszę po raz tysięczny wysłuchiwać nudnej historii o pańskiej perle, potem ja mam świetny pomysł, wykładamy chleb...

- To ja! Ja dałem chleb!

- ... wykładamy chleb, ja się czaję i pilnuję, wszystko idzie jak z płatka, wtem pan wpada ze swoją gadaniną... wróble naturalnie czmychają, polowanie bierze w łeb i teraz jeszcze okazuje się, że to ja zeżarłem chleb! No, długo pan poczeka, zanim się znowu do pana odezwę!

Na takich zabawach lekko i wartko mijały

popołudnia i wieczory. Miałem doskonały humor, pracowałem chętnie i szybko i dziwiłem się, że byłem dawniej taki ospały, zwarzony i nieruchawy. Najlepsze czasy z Ryszardem nie były piękniejsze od tych spokojnych, pogodnych dni, kiedy za oknem wirowały płatki śniegu, a my dwaj wraz z pudłem siedzieliśmy sobie przyjemnie koło pieca.

I właśnie wtedy mój drogi Boppi musiał popełnić swoje pierwsze i ostatnie głupstwo! Ja w moim zadowoleniu byłem naturalnie ślepy i nie dostrzegłem, że cierpi więcej niż zazwyczaj. On zaś z nadmiaru skromności i uczucia udawał weselszego niż kiedykolwiek, nie skarżył się nigdy, nie zabraniał mi nawet palenia, a potem w nocy cierpiał, kaszłał i cichutko jęczał. Zupełnie przypadkowo, gdy kiedyś pisałem do późnej nocy w przyległym pokoju, a on sądził, że już dawno śpię, usłyszałem, jak jęknął. Biedak był po prostu przerażony i oniemiał, kiedy wszedłem nagle z lampą do jego pokoiku sypialnego. Odstawiłem światło, usiadłem przy nim na łóżku i rozpocząłem śledztwo. Długo próbował się wykręcać, w końcu jednak wyznał prawdę.

- To wcale nie takie straszne - powiedział nieśmiało. - Tylko przy niektórych ruchach taki kurcz w sercu, a czasem też przy oddychaniu.

Usprawiedliwiał się po prostu, jak gdyby pogorszenie się jego stanu zdrowia było przestępstwem!

Rano udałem się do lekarza. Dzień był ładny, mroźny, po drodze moje zaniepokojenie i troska nieco się zmniejszyły; myślałem nawet o Bożym Narodzeniu i zastanawiałem się, czym mógłbym Boppiemu sprawić przyjemność. Lekarza zastałem jeszcze w domu i na moje usilne prośby poszedł od razu ze mną. Jechaliśmy jego wygodnym powozem, potem udaliśmy się schodami na górę, weszliśmy do pokoiku Boppiego i zaczęło się badanie, opukiwanie, osłuchiwanie, a w miarę jak lekarz poważniał i głos jego nabierał nieco dobrotliwszego brzmienia - we mnie gasła cała wesołość.

- Gościec, osłabienie serca, przypadek poważny - słuchałem i nawet zapisywałem sobie wszystko, i sam się sobie dziwiłem, że wcale się nie sprzeciwiam, gdy lekarz nakazał przewiezienie go do szpitala.

Po południu przyjechała karetka, a gdy wróciłem ze szpitala, poczułem się strasznie w tym mieszkaniu, gdzie pudel tulił się do mnie, gdzie duży fotel chorego odsunięto na bok, a za ścianą stał pustką jego pokoik.

Tak to jest z kochaniem. Przynosi ono ze sobą ból, toteż dużo wycierpiałem w tym okresie. Ale to takie nieważne, czy się cierpi, czy nie! Żeby tylko istniało bliskie współzycie, żeby człowiek czuł tę ciasną więź, która łączy z nami wszystko, co żyje, żeby tylko miłość nie ostygła! Oddałbym wszystkie pogodne



dni, które kiedykolwiek przeżyłem, wraz ze wszystkimi moimi przygodami miłosnymi i poetyckimi zamierzeniami, gdybym mógł jeszcze raz tak jak wtedy zajrzeć w samą głąb sanktuarium. Jest to gorzki ból dla oka i serca, wyrafinowana duma i pycha otrzymują cięgi, ale potem człowiek jest taki cichy, taki pokorny, o tyle dojrzałszy i w głębi duszy bardziej żywy!

Już z małą jasnowłosą Agi umarła jakaś część mego dawnego usposobienia. Teraz widziałem, jak mój garbus, któremu oddałem całą moją miłość i z którym dzieliłem życie, cierpi i powoli, powoli umiera; co dzień cierpiałem z nim i brałem udział w całej potworności i świętości śmierci. Byłem jeszcze nowicjuszem w ars amandi, a już miałem zacząć poważnym rozdziałem z ars moriendi. O tym okresie nie będę milczał, tak jak milczałem o Paryżu. O nim chcę mówić głośno, jak kobieta o czasach narzeczeństwa, a starzec o latach chłopięcych.

Patrzyłem, jak umiera człowiek, którego życie było tylko cierpieniem i miłością. Słyszałem, jak żartował niczym dziecko, czując w sobie drażnienie śmierci. Widziałem, jak w chwilach dojmującego bólu wzrok jego szukał mnie, nie aby żebrać, lecz aby mnie wesprzeć i pokazać mi, że skurcze i cierpienia nie naruszyły w nim tego, co najlepsze. Wtedy źrenice jego olbrzymiały i nie dostrzegałem już wędnącej twarzy, tylko blask jego dużych oczu.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić, Boppi?

- Opowiedz mi coś. Może o tapirze.

Mówiłem tedy o tapirze. Boppi przymykał oczy, a ja z trudem jedynie mówiłem tak jak zwykle, ponieważ ciągle wzbierały we mnie łzy. Gdy sądziłem, że już nie słucha albo że usnął, milkłem natychmiast. Wtedy otwierał znowu oczy.

- A dalej?

I opowiadałem dalej o tapirze, o pudlu, o moim ojcu, o małym, niedobrym Matteo Spinellim, o Elżbiecie.

- Tak, wyszła za głupca. I tak bywa, Peterze!

Często zaczynał ni stąd, ni zowąd mówić o śmierci.

- To nie żarty, Peterze. Najcięższa robota nie jest tak ciężka jak umieranie. Ale człowiek i to ścierpi.

Albo:

- Będę się śmiał, gdy się ta męka skończy. Mnie się opłaci umrzeć, pozbędę się przecież podwójnego garbu, przykrótkiej nogi i bezwładnego biodra. Ciebie będzie kiedyś szkoda z twoimi szerokimi barami i ładnymi, zdrowymi nogami.

A raz, w ostatnich dniach, obudził się z krótkiej drzemki i powiedział całkiem głośno:

- Nie ma wcale takiego nieba, jak mówi ksiądz. Niebo jest ładniejsze. Dużo ładniejsze.

Często przychodziła żona stolarza, okazując w zupełnie mądry sposób swe współczucie i

uczynność. Stolarz ku mojemu wielkiemu ubolewaniu nie pokazał się w ogóle.

- Jak myślisz - zapytałem kiedyś Boppiego - czy w niebie będzie też tapir?

- O tak - powiedział, przytakując jeszcze głową. - Są tam wszystkie rodzaje zwierząt, również kozice.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia i odprawiliśmy małą uroczystość przy jego łóżku. Chwylił silny mróz, przyszła znowu odwilż, świeży śnieg spadł na gołoledź, ale ja tego wszystkiego nie zauważyłem. Dowiedziałem się, że Elżbieta urodziła chłopca, i zaraz o tym zapomniałem. Nadszedł pocieszny list od pani Nardini, przeczytałem go pobieżnie i odłożyłem. Pracę moją odwalałem w niezwykłym pośpiechu, ze stałym przeświadczeniem, że każdą godzinę kradnę sobie i choremu. Potem gnałem na łeb na szyję do szpitala, gdzie zastałem pogodną ciszę, i przesiadywałem pół dnia przy łóżku Boppiego, nad którym roztaczał się jakiś nierealnie głęboki spokój.

Tuż przed końcem miał jeszcze kilka lepszych dni. Zadziwiający przy tym było, że czas dopiero co miniony zgasł jak gdyby w jego wspomnieniu, a on żył jedynie pamięcią dawniejszych lat. Dwa dni nie mówił o niczym innym, jak tylko o swej matce. Nie mógł wprawdzie mówić długo, ale widać było, że w przerwach, trwających całe godziny, myślał o niej.

- O wiele za mało ci o niej opowiedziałem - skarżył

się - nie zapomnij nic z tego, co się jej tyczy, bo inaczej wkrótce nie będzie nikogo, kto by o niej wiedział i czuł wdzięczność dla niej. Byłoby dobrze, Peterze, gdyby wszyscy ludzie mieli taką matkę. Nie oddała mnie do domu ubogich, kiedy już nie mogłem pracować.

Oddychał z wysiłkiem. Minęła godzina, gdy znowu zaczął:

- Mnie lubiła najbardziej ze wszystkich swoich dzieci i trzymała mnie u siebie, dopóki nie umarła. Bracia wyemigrowali, siostra wyszła za stolarza, ale ja siedziałem w domu, a matka, choć była tak biedna, nigdy nie dała mi tego odczuć. Nie wolno ci zapomnieć o mej matce, Peterze. Była maleńka, może nawet mniejsza niż ja. Gdy mi podawała rękę, to tak, jak gdyby malusieńki ptaszek siadł na mej dłoni. „Starczy dla niej trumna dziecięca” - mówił sąsiad Rutimann, kiedy umarła.

Także dla niego wystarczyłaby niemal dziecięca trumna. Drobny i mały, ginął w swym czystym łóżku szpitalnym, a jego ręce wyglądały teraz jak ręce chorej kobiety: długie, wąskie, białe i lekko wygięte. Kiedy przestał snuć marzenia o matce, przyszła kolej na mnie. Mówił o mnie, jak gdyby mnie przy nim nie było.

- Pechowiec z niego, oczywiście, ale mu to nie zaszkodziło. Jego matka za wcześnie umarła.

- Czy poznajesz mnie jeszcze, Boppi? - spytałem.

- Owszem, panie Camenzind - odpowiedział żartobliwie i zaśmiał się cichutko. - Gdybym tylko mógł śpiewać - dorzucił zaraz potem.

Ostatniego dnia zapytał jeszcze:

- Słuchaj, czy ten szpital dużo kosztuje? Bo może wypaść za drogo.

Nie oczekiwał już odpowiedzi. Delikatny rumieniec uderzył mu na białą twarz; zamknął oczy i wyglądał przez chwilę jak człowiek nad wyraz szczęśliwy.

- Zbliża się koniec - powiedziała pielęgniarka.

Boppi otworzył jeszcze raz oczy, spojrzał figlarnie i poruszył brwiami, jak gdyby chciał mnie przywołać. Wstałem, podłożyłem rękę pod jego lewą łopatkę i ostrożnie uniosłem go z lekka, co mu zawsze sprawiało ulgę. Leżąc tak na mej dłoni, wykrzywił jeszcze raz usta w krótkim skurczu bólu, po czym odwrócił nieco głowę i wzdrygnął się, jakby mu się nagle zrobiło zimno. To było wyzwolenie.

- Czy dobrze tak, Boppi? - zapytałem jeszcze. On już jednak wyzbył się swoich cierpień i stygł na mych rękach. Było to siódmego stycznia, o pierwszej godzinie po południu. Pod wieczór przygotowaliśmy wszystko i jego drobne, ułomne ciało leżało spokojnie i schludnie, bez jakichś większych zniekształceń, dopóki nie nadszedł czas, aby je zabrać i pochować. W ciągu tych dwóch dni dziwiłem się bezustannie, że nie byłem szczególnie smutny ani bezradny i nawet nie chciało mi się płakać. Tak

dojmująco odczułem rozstanie i pożegnanie w czasie choroby, że teraz już niewiele pozostało i chwiejna szala mego bólu podnosiła się znowu wolno i z ulgą w górę.

Mimo to zdawało mi się, że nadeszła pora, aby cichaczem opuścić miasto i wypocząć gdzieś, w miarę możliwości na Południu, oraz wziąć się na serio do mego dzieła, z grubsza dopiero naszkicowanego. Miałem trochę pieniędzy, zawiesiłem więc moje literackie zobowiązania na kołku i urządziłem się tak, aby zaraz na początku wiosny spakować manatki i wyjechać. Najpierw do Asyżu, gdzie jarzyniarka spodziewała się moich odwiedzin, a potem na rzetelną robotę do jakiejś możliwie spokojnej dziury gdzieś w górach. Zdawało mi się, że już tyle napatrzyłem się życia i śmierci, iż mogę śmiało wymagać od innych, aby posłuchali teraz moich uwag. Z błogą niecierpliwością oczekiwałem marca i już naprzód dźwięczały mi w uszach soczyste powiedzonka włoskie, a w nosie łaskotała aromatyczna woń rizotta, pomarańcz i wina chianti.

Projekt był pierwszorzędny i im dłużej go obmyślałem, coraz więcej mnie zadowalał. Tymczasem dobrze się stało, że najpierw nacieszyłem się chianti, ponieważ wszystko potoczyło się zupełnie inaczej.

W lutym właściciel gospody, Nydegger, doniósł mi w barwnym, fantastycznie wystylizowanym liście, że

spadły duże śniegi i w wiosce z ludźmi i bydłami nie wszystko jest tak, jak się należy, zwłaszcza z moim ojcem jest krucho i krótko mówiąc, byłoby dobrze, gdybym posłał pieniądze albo sam się zjawił. Ponieważ posyłanie pieniędzy mi nie odpowiadało, a rzeczywiście zaniepokoiłem się o starego, musiałem wybrać się sam. Przyjechałem w ponury dzień, gór ani domów nie było widać z powodu zadymki śnieżnej i wiatru i przydało mi się, że umiałem tam trafić nawet po omacku. Wbrew moim przypuszczeniom stary Camenzind nie leżał w łóżku, tylko siedział żałośnie i potulnie pod piecem, oblegany przez sąsiadkę, która przyniosła mleko i właśnie prawiała mu długie i solidne kazanie na temat jego bezecnego trybu życia, w czym nie przeszkodziło jej nawet moje wejście.

- Patrzcie ino, Peter przyjechał - powiedział osiwiąły grzesznik, mrugając na mnie lewym okiem.

Ale kobieta, niezrażona, ciągnęła dalej swoje morały. Usiadłem na stołku i odczekałem, aż potok tej miłości bliźniego wyschnie, przy czym znalazłem w jej przemówieniu kilka rozdziałów, które i mnie się przydały. Tymczasem przyglądałem się, jak topniejący śnieg kapie z płaszcza, tworząc dokoła krzesła najpierw mokrą plamę, a potem spokojną sadzawkę. Dopiero gdy niewiasta skończyła, mogło się odbyć oficjalne powitanie, w którym zresztą wzięła życzliwy udział.

Ojciec bardzo podupadł na siłach. Przypomniła mi się moja dawna, krótkotrwała próba otoczenia go opieką. Mój wyjazd zatem nic nie pomógł, za to zdażyłem jeszcze teraz, kiedy rzeczywiście zaszła potrzeba, zająć się nim naprawdę.

Koniec końców, nie można wymagać od starego, sękatego chłopca, który nawet w lepszych czasach nie był zbiorem cnót, ażeby w okresie starczych dolegliwości złagodniał i rozrzewniał się na widok miłości synowskiej. Toteż mój ojciec wcale tego nie robił, tylko im więcej chorował, tym bardziej stawał się nieznośny, odpłacając mi za wszystko, czym go dawniej kiedykolwiek dręczyłem, jeśli już nie z nawiązką, to w każdym razie pełną miarką. W słowach co prawda był oszczędny i skromny, ale rozporządzał całym arsenałem drastycznych sposobów, aby bez słów wyrazić niezadowolenie, gorycz i zaczepność. Pytałem się nierzadko ze zdziwieniem, czy na starość też będę takim przykrym i drażliwym dziwakiem. Z pićmiem jakby się skończyło, a szklanekę dobrego wina południowego, którą nalewałem mu dwa razy dziennie, wychylał ze złą miną, ponieważ za każdym razem odnosiłem butelkę natychmiast z powrotem do pustej piwnicy, nie zostawiając mu nigdy do niej klucza.

Dopiero pod koniec lutego nadeszły owe jasne tygodnie, które czynią zimę alpejską tak wspaniałą. Wysokie, zaśnieżone turnie odcinały się wyraźnie od



chabrowego nieba i wydawały się nieprawdopodobnie bliskie w przeźroczystym powietrzu. Łąki i hale leżały zasłane śniegiem - owym śniegiem górskiej zimy, tak białym, kryształowym i cierpkim w zapachu, jakiego nie spotyka się nigdy w dolinach. Na mniejszych wzniesieniach słońce urządza w południe świetlne obchody, w kotlinach i na stokach ścielą się nasycone błękitem cienie, a powietrze po tygodniowych opadach śnieżnych jest tak oczyszczone, że każdy oddech w słońcu stanowi rozkosz. Na niskich stokach młodzież saneczkuje, w godzinie poobiedniej widać na uliczkach staruszków grzejących się w słońcu, a nocą krokwie dachów trzaskają na mrozie. Wśród białych pól śnieżnych rozpościera się ciche i modre, nigdy niezamarzające jezioro, piękniejsze niż kiedykolwiek latem. Codziennie przed obiadem pomagałem ojcu wyjść przed drzwi i przyglądałem się, jak wyciągał swe sękate, zakrzywione palce na słoneczne ciepło. Po chwili zwykle zaczynał kaszleć i skarżyć się na zimno. Był to jeden z jego niewinnych kruczków, aby wyłudzić ode mnie kieliszek wódki, gdyż oczywiście ani chłodu, ani kaszlu nie należało traktować poważnie. Dostawał więc nalewkę goryczkową albo mały absynt, przestawał w artystycznej gradacji kaszleć i cieszył się w skrytości ducha, że mnie przechytrył. Po obiedzie zostawiałem go samego,

nakładałem kamasze i wędrowałem parę godzin pod górę, póki się dało, po czym powrotną drogę odbywałem, zjeżdżając na plecaku przez pochyłe pola śniegowe.

Gdy nadeszła pora, w której mniej więcej chciałem się wybrać do Asyżu, śnieg leżał jeszcze na metr wysoko. Dopiero w kwietniu zaczęła się wiosna i naszą wioskę nawiedziły złośliwe szybkie roztopy, jakich nie pamiętano od lat. Dzień i noc rozlegało się wycie fenu, huk dalekich lawin i nieubłagany grzmot rwących potoków, które strącały duże bloki skalne i strzaskane drzewa, ciskając je na nasze nędzne, wąskie poletka i łąki. Halna gorączka nie dawała mi spać, noc w noc słuchałem z przejęciem i trwogą, jak skarży się wichura, jak grzmia lawiny i jezioro wściekłą falą uderza o brzeg.

W tym rozgorączkowanym okresie straszliwych zmagañ wiosny przebyta choroba miłosna ogarnęła mnie jeszcze raz tak przemożnie, że wstawałem nocą, wychylałem się z okna, w gorzkim cierpieniu przekrzykiwałem ogłuszający huk i słałem gorące słowa do Elżbiety. Od tej pogodnej nocy w Zurychu, kiedy szalałem z miłości na wzgórzu koło domu włoskiej malarki, nigdy jeszcze namiętność nie opanowała mnie tak strasznie i nieodparcie. Zdawało mi się nieraz, że piękna kobieta stoi tuż przede mną i uśmiecha się do mnie, cofając się przy każdym moim kroku, którym się do niej zbliżam. Myśli moje,

obojętnie, na czym by się zatrzymały, wracały niezmiennie do tego obrazu i podobnie jak ranny człowiek nie mogłem się powstrzymać, aby nie rozdrapywać ciągle jątrzącej rany. Wstydzilem się sam przed sobą, co było równie męczące, jak bezużyteczne, przeklinałem fen, choć skrycie odczuwałem poza wszystkimi męczarniami jakąś utajoną, ciepłą rozkosz, zupełnie tak samo jak w czasach chłopięcych, kiedy myślałem o pięknej Rosi i tonąłem w łagodnej, mrocznej fali.

Zrozumiałem, że na tę chorobę nie ma lekarstwa, i próbowałem przynajmniej coś niecoś popracować. Zabrałem się do swego dzieła, zrobiłem kilka szkiców i zorientowałem się wkrótce, że nie pora na to. Tymczasem zewsząd dobiegały niedobre wieści o fenie, a i w samej wiosce rozpanoszyła się bieda. Tamy na potokach były na wpół zerwane, niektóre domy, stodoły i obory mocno ucierpiały, z dalszych stron gminy zjawiało się kilka osób pozbawionych dachu nad głową; wszędzie rozbrzmiewały skargi, wdzierał się niedostatek, a nigdzie nie było pieniędzy. W tych to dniach sołtys wezwał mnie na moje szczęście do swej kancelaryjki i zapytał, czy jestem skłonny przystąpić do komisji w celu ulżenia ogólnej nędzy. Żywi nadzieję, że potrafię przedstawić położenie gminy w kantonie, a zwłaszcza z pomocą gazet poruszyć kraj do współczucia i datków. Mnie było w tym czasie

szczególnie na rękę zapomnieć o własnych jałowych cierpieniach na rzecz poważniejszej i godniejszej sprawy. Zabrałem się z całą pasją do dzieła. Dzięki listom szybko pozyskałem w Bazylei kilku kwestarzy. Kanton nie miał pieniędzy, jak z góry przewidywaliśmy, i mógł przysłać jedynie parę brygad roboczych do pomocy. Następnie zwróciłem się do gazet z apelami i opisem nieszczęść. Nadeszły listy, datki pieniężne, zapytania, a poza pisaniną musiałem jeszcze wyklócać się w sprawach rady gminnej z zaciętymi chłopskimi łbami w Nimikon.

Tych kilka tygodni forsownej, nieprzerwanej pracy dobrze mi zrobiło. Kiedy sprawa weszła nareszcie na uregulowane tory i mój udział w niej stał się mniej potrzebny, dokoła zieleniły się łąki, niewinnie i słonecznie błękitniało jezioro, odbijając wolne od śniegów stoki. Ojciec miewał całkiem znośne dni, a moje cierpienia miłosne zniknęły i roztopiły się na podobieństwo brudnych resztek lawin. O takim czasie ojciec dawniej powlekał czółno pokostem, matka przyglądała mu się z ogrodu, ja zaś bacznie obserwowałem krzątanicę starego, obłoczki unoszące się z jego fajki i latające w powietrzu żółte motyle. Obecnie nie było już czółna do pomalowania, matka dawno nie żyła, a ojciec przesiadywał osowiały w zaniedbanym domu.

Również wuj Konrad przypominał mi dawne czasy.

Często zabierałem go, niezauważony przez ojca, na szklaneczkę wina i przysłuchiwałem się, jak z dobrodusznym śmiechem i nie bez dumy wspominał swe rozliczne dawne projekty. Teraz już nie snuł nowych planów, a i poza tym piętno starości wyraźnie było na nim widoczne. Mimo to miał na twarzy, zwłaszcza w śmiechu, coś chłopięcego czy młodzieńczego, co na mnie dobrze wpływało. Często był moją pociechą i rozrywką, gdy już nie mogłem wytrzymać w domu ze starym. Jeśli go zabierałem na wino, dreptał pospiesznie obok mnie wykoślawionymi, wychudłymi nogami, starając się skwapliwie dotrzymać mi kroku.

- Rozwiń żagiel, wuju - zachęcałem go i od żagla przechodziliśmy za każdym razem do nieistniejącego już czółna, którego żałował niczym drogiego zmarłego. Ponieważ ja także lubiłem ten stary grat i brak mi go było, wspominaliśmy go i wszystkie związane z nim przeżycia aż do najdrobniejszych szczegółów.

Jeziro było tak błękitne jak ongiś, słońce nie mniej świąteczne i ciepłe, a ja, stary chłop, przyglądałem się nieraz żółtym motylom i odnosiłem wrażenie, jakby od tamtych czasów w gruncie rzeczy mało co się zmieniło i mógłbym znowu tak samo położyć się na łące i roić chłopięce marzenia. Że tak nie jest i że już zużyłem bezpowrotnie sporą część mego życia, mogłem stwierdzić każdego dnia przy

myciu, kiedy z zardzewiałej blaszanej miednicy błyskała ku mnie głowa z wydatnym nosem i kwaśno zaciętymi ustami. Jeszcze bardziej dbał Camenzindsenior o to, abym się nie omylił co do biegu lat; a jeśli chciałem całkowicie znaleźć się w chwili obecnej, wystarczyło mi otworzyć zacinającą się szufladę w moim pokoju, gdzie spało moje przyszłe dzieło, składające się z paczki przedawnionych szkiców oraz z sześciu czy siedmiu konspektów na ćwiartkach papieru. Ale rzadko otwierałem tę szufladę.

Poza pielęgnowaniem starego sporo roboty nastęrczało mi utrzymanie naszego zapuszczonego domostwa. W deskach podłóg ziały istne przepaście, piece w izbach i kuchni były w złym stanie, szedł od nich dym i swąd, drzwi się nie domykały, a drabiniaste schodki wiodące na strych, dawniejsze miejsce ojcowskich kar, groziły poważnym niebezpieczeństwem. Zanim dało się tu coś zrobić, trzeba było wyostrzyć siekierę, naprawić piłę, pożyczyć młotek i poszukać gwoździ, potem zaś chodziło o to, aby z butwiejących resztek starego zapasu drzewa wybrać i przyciąć jakieś kawałki nadające się do użytku. Przy naprawie narzędzi i starej osełki wuj Konrad pomagał mi coś niecoś, ale zbyt się postarzał i pokrzywił, abym mógł z niego mieć prawdziwą pociechę. Zdzierałem więc sobie miękkie ręce pisarza na opornym drewnie,

poruszałem nogą chwiejącą się osetkę, łąziłem po dachu, który wszędzie był nieszczelny, wbijałem gwoździe, tłukłem młotkiem, kładłem gonty i ciąłem drzewo, przy czym moje z lekka już opaste ciało uрониło niejedną kroplę potu.

Czasami też przerywałem w samym środku roboty, zwłaszcza podczas uprzykrzonej łątaniny dachu, poprawiałem się wygodnie, od nowa pociągałem na wpół wygaste cygaro, spoglądałem w głęboki błękit nieba i rozkoszowałem się lenistwem w błogim przeświadczeniu, że ojciec już nie może mnie teraz poganiać ani łątać. Gdy mijali mnie sąsiedzi, kobiety, starcy, dzieci, dla upiększenia mego nieróbstwa wdawałem się z nimi w sąsiedzko-przyjacielskie pogwarki i z wolna pozyskałem sobie opinię człowieka, z którym można rozsądnie pogadać.

- Ciepło dziś, co, Lisbeth?

- A owszem. Co robisz, Peter?

- Łątam dach.

- Nie zawadzi, już dawno mu się to należało.

- A juści.

- Co porabia stary? Będzie chyba miał ze siedemdziesiątkę?

- Osiemdziesiątkę, Lisbeth, osiemdziesiątkę. Cóż myślisz, starość zwali się kiedyś i na nas! To nie fraszka!

- Pewnie, ale teraz muszę iść, mąż czeka na obiad. Tymczasem powodzenia!

- Bywaj, Lisbeth!

I gdy szła dalej z garnuszkim owiazanym chustką, ja wypuszczałem w niebo obłoczki dymu, spoglądałem za nią i zastanawiałem się, jak to się dzieje, że wszyscy ludzie tak pilnie chodzą wokół swoich spraw, a ja tymczasem majstruję tu dwa bite dni przy tej samej krokwi. Ale w końcu dach jednak połątałem. Ojciec wyjątkowo interesował się tą robotą, a ponieważ nie sposób było zawlec go na dach, musiałem mu wszystko dokładnie opisać i złożyć sprawozdanie o każdej krokwi, przy czym nie omieszkałem trochę się pochwalić.

- No to dobrze - przyznał - to dobrze, a już nie myślałem, że w tym roku skończysz.

Kiedy rozpamiętuję obecnie moje życie i zastanawiam się nad jego kolejami i przypadkami, cieszy mnie, a zarazem złości, że doświadczyłem również na sobie owej starej prawdy, iż ryby winny pozostać w wodzie, a chłopci na wsi i że z nimikońskiego Camenzinda żadną sztuką nie zrobisz mieszczucha ani światowca. Już się z tym pogodziłem i jestem zadowolony, że moja niezdarna pogoń za szczęściem świata wbrew woli sprowadziła mnie na powrót do tego starego zakątka między jeziorem i górami, gdzie jest moje miejsce i gdzie moje cnoty i występki, a zwłaszcza występki, są czymś zwykłym i codziennym. Na obczyźnie



zapomniałem o rodzinnych stronach i skłonny byłem sam siebie uważać za rzadką i osobliwą roślinę; obecnie widzę znowu, że to tylko duch Nimikonu straszył we mnie, nie mogąc się pogodzić z obyczajami reszty świata. Tu nikomu nie przyjdzie do głowy uważać mnie za dziwaka, a gdy spojrzę na mego starego papę albo na wuja Konrada, wydaję się sobie poprawnym synem i siostrzeńcem. Tych kilka zygzakowatych wzlotów w krainę ducha i tak zwanej wiedzy można doskonale porównać do słynnej historii z żaglówką wuja Konrada, tylko że kosztowały mnie one dużo więcej pieniędzy, trudu i lat życia. Także zewnątrznie stałem się znowu całkowicie tubylcem, odkąd kuzyn Kuoni strzyże mi brodę i chodzę w spodniach przepasanych rzemieniem, w samej koszuli; gdy zaś kiedyś posiwieję i zestarzeję się, niepostrzeżenie zajmę miejsce mego ojca i zagram jego niewielką rolę w życiu wioski. Ludzie wiedzą tylko, że byłem długie lata w obcych stronach, a ja wystrzegam się wyznać im, jaki parszywy zawód uprawiałem i w ilu bagienkach tkwiłem, bo zaraz urągano by i jeszcze by mi się dostało jakieś przezwisko. Ile razy opowiadam o Niemczech, Italii i Paryżu, zaczynam się trochę puszyć i czasami nawet w najuczciwszych miejscach powątpiewam o własnej prawdomówności.

No i jakież jest ostatecznie wynik tylu błędnych

wypraw i zmarnowanych lat? Kobieta, którą kochałem i nadal jeszcze Kocham, wychowuje w Bazylei dwoje swoich ładnych dzieciaków. Druga, która mnie kochała, pocieszyła się i handluje dalej owocami, warzywami i nasionami. Ojciec, dla którego wróciłem do gniazda, ani nie umarł, ani nie wyzdrowiał, tylko siedzi naprzeciwko mnie na swym wyrku, przygląda mi się i zazdrości posiadania klucza od piwnicy.

To jednak nie wszystko. Poza matką i przyjacielem młodości, który się utopił, mam jeszcze jasnowłosą Agi i małego garbatego Boppiego jako aniołów w niebie. I doczekałem się, że we wsi naprawiono znów domy i wzniesiono obie kamienne tamy. Gdybym chciał, zasiadałbym także w radzie gminnej, ale tam jest już dosyć Camenzindów.

Ostatnio otwarła się przede mną nowa możliwość. Właściciel gospody, Nydegger, w którego izbie ojciec i ja wypiliśmy niejedyn litr veltlinera, wallisera czy waadtlandera, zaczyna podupadać i interes już go nie cieszy. W tych dniach użalał się przede mną. Najgorsze przy tym jest to, że o ile nie znajdzie się nikt z tutejszych ludzi, jakiś browarnik spoza wioski kupi dom, a wtedy wszystko przepadnie i stracimy w Nimikonie naszą przytulną knajpę. Wsadzą jakiegoś obcego dzierżawcę, który będzie wolał szynkować piwo niż wino i oczywiście zmarnuje, i zaprzepaści dobrą piwnicę Nydeggera. Odkąd wiem o tym, myśl

ta nie daje mi spokoju; w Bazylei mam jeszcze trochę pieniędzy w banku i stary Nydegger znalazłby we mnie nienajgorszego następcę. Tylko w tym sęk, że nie chciałbym za życia ojca zostać karczmarzem. Przede wszystkim nie mógłbym wtedy starego człowieka odsuwać od szpuntowania wina, a poza tym triumfowałby, że mimo całej edukacji zaszedłem nie dalej jak tylko do stanowiska karczmarza Nimikonu. To nie wypada i wobec tego zaczynam z wolna wyczekiwać śmierci starego, wcale nie niecierpliwie, tylko tak po prostu, dla dobra sprawy.

Wuja Konrada po długich, cicho przedrzemanych latach ogarnęła od niedawna znowu jakaś niezwykła energia i to mi się nie podoba. Ma stale wskazujący palec na ustach, a na czole zmarszczkę zamyślenia; drepce szybkimi, małymi kroczkami po izbie i przy ładnej pogodzie często spogląda na wodę.

- Coś mi się zdaje, że chce znowu budować swoje okręciki - mówi jego stara Cenzine i wuj rzeczywiście wygląda znowu tak żywo i śmiało, jak już od wielu lat nie wyglądał, i ma taki chytry wyraz wyższości na twarzy, jak gdyby tym razem dokładnie wiedział, jak się zabrać do rzeczy. Myślę jednak, że nic z tego nie będzie i że to tylko jego znużona dusza domaga się skrzydeł, aby wkrótce wrócić do domu. Rozwiń żagiel, mój staruszkule! Ale gdy kiedyś nadejdzie ta chwila, mężczyźni z Nimikonu przeżyją coś niespotykanego. Postanowiłem bowiem nad jego

grobem sam wygłosić po przemówieniu księdza parę słów, co się u nas jeszcze nie zdarzyło. Wspomnę o wuju jako o błogosławionym ulubieńcu Boga, a po tym budującym wstępie wysypię sporą garść soli i pieprzu na pozostałą w żalu kochaną rodzinę - nie tak szybko mi to zapomną i wybaczą. Mam nadzieję, że mój ojciec jeszcze tego doczeka.

W szufladzie leżą początki mego wielkiego utworu. Dzieła mego życia, mógłbym powiedzieć. Ale brzmi to nazbyt patetycznie i wolę tak nie mówić, gdyż wyznać muszę, że dalszy ciąg i zakończenie są raczej słabe. Może nadejdzie jeszcze kiedyś czas, że zacznę na nowo i wreszcie skończę; spełniłoby się wtedy moje młodzieńcze marzenie i okazałoby się, że jednak byłem poetą.

Warte by to dla mnie było tyleż albo nawet więcej aniżeli cała rada gminna i jej kamienne tamy. Choć nie dorównałoby temu, co przeszło, a jednak nie zaginęło wraz ze wszystkimi drogimi postaciami ludzkimi, od smukłej Rosi Girtanner aż do biednego Boppi.